

Jeffrey Archer  
**Conan i prorok ciemności**

Łaknący zemsty osiągną ją. W Dzień Ostatni, w godzinie Oślepiającego Światła. W kraju, gdzie ostatni ze Starożytnych wstąpił na Szare Ziemie.

I dany będzie Znak. Gdy Czarna Moc zniszczy samą siebie, ujrzą wzlatujące czarne światło. Niechaj gotują się do Nieuniknionego. I rozewrą się Wrota, które są wszczeg aż po krańce ziemi, w głąb do czarnych wrzących kamieni i jeszcze głębiej.

I załopocze Sztandar Zemsty. I wystąpi Starożytny Legion. A na przodzie będzie ten, którego poznają po Hełmie jego. A z tyłu — idący śladem. I w proch się obrócą grody i sioła. I wniwecz się obrócą narody i rasy. I odrzucą bogów swoich. Ażeby pokornym być Starożytnym i ich przykazaniom. Albowiem ci, którzy zwyciężyli, nie będą mieć litości dla pokonanych...

Ale jeśli z woli bogów umrze nie ten, kto umrzeć powinien, przychodzący w ślad za pierwszymi rozleją się czernią po świecie i nie stanie ni ziemi, ni wody, ni ludzi, ni bydła. A tylko ten, kto przeżył, zdoła dwa razy zabić martwego i zawrzeć Wrota...

Khorajskie warowne miasto Vagaran było bogate i kwitnące -leżało bowiem na skrzyżowaniu kupieckich szlaków. Haszyd, nominalny władca Vagaranu, był jedynym panem okolicznych ziem. Życie w samym mieście i pobliskich wsiach, kierowane żelazną ręką Haszyda, płynęło spokojnie i równomiernie, bez zamieszek i powstań;

-5-

potężna armia odpierała rzadkie najazdy cudzoziemców, przede wszystkim Semitów. Vagarańscy wojownicy pod przywództwem swojego władcy także składali wizyty pogranicznym siołom sąsiednich państw i wracali z bogatym łupem. Dlatego pieniądze z Vaga-ranu wpływały do skarbcza stolicy regularnie i bez opóźnień, a posłańcy królowej Kothu, którego prowincją była Khoraja, nie narzucali się zbyt często Haszydowi.

Miasto leżało w zachodniej części Khorai. W przeciwieństwie do pozostałych terenów kraju, gdzie dominowały piaszczyste pustynie, tutaj przeważały skały i kamieniste pustkowia.

Vagaran, zbudowany na wznoszącym się łagodnie wzgórzu, z lotu ptaka przypomina ogromny nieregularny pięciokąt, otoczony przerażającym murem. Trzy jego kąty spoglądają na południowy zachód, południe i południowy wschód, w stronę Shemu, a dwa pozostałe - na wschód, w głąb Khorai. Każdy z kątów zwieńczony jest wysoką wieżą, na której dzień i noc trzymają wartę zmieniające się straż. W Va-garanie są dwie bramy: Wschodnia - będąca wschodnią tylko z nazwy, przy której zazwyczaj trzyma straż pięciu strażników, zajmujących się wyłącznie sprawdzaniem przywożonych przez kupców towarów, i Południowo-Wschodnia - potężna, zbudowana z trzech części.

Jej pierwsza część to znajdująca się po zewnętrznej stronie bramy płyta ze ściśle przylegających do siebie cisowych desek spiętych metalowymi klamrami. Podniesiona płyta całkowicie zamyka przejście. Na sygnał naczelnika straży Jassina spuszczana na łańcuchach, kładzie się w poprzek fosy z pionowymi ścianami i zamienia w most - po nim i tylko po nim mogą wjechać do miasta goście z innych państw, kupcy, wędrowcy... albo nieprzyjacielskie wojska. Za płytą znajduje się dwuskrzydłowa brama, zamykana na ogromny skobel, wyciosany z całego dębowego pnia - pokonać tę przeszkodę można tylko taranem. Ale jeśli wrogowi mimo wszystko uda się sforsować fosę, opuścić most, czyli przecinać utrzymujące go w pionie łańcuchy, i staranować bramę pod deszczem strzał i strumieniami wrzącej smoły, to na samym końcu przejścia czekać będzie na niego przeszkoda praktycznie nie do pokonania: krata z mocnych metalowych prętów grubości ludzkiego ramienia.

Zazwyczaj krata jest podniesiona, dwuskrzydłowa brama otwarta, most zaś od świtu do zmroku opuszczony. Wszak to główna droga do miasta. Co prawda, jest jeszcze tajne przejście, prowadzące

z podziemi pałacowych do granicy Khorai, ale o nim można nie wspominać: w tej historii nie odegra żadnej roli.

-6-

Na szczycie wzgórza stoi pałac Haszyda - złowieszcza szara bryła wzniesiona z gigantycznych granitowych bloków. Sąw nim setki przestronnych komnat i dziesiątki bogato urządzonych sal. Głęboko pod nimi, w skale pod fundamentem wyrąbano labirynt; kamienne ciało ziemi zryto siecią wijących się korytarzy z chytrymi zasadzkami i ślepych uliczkami, studniami ponurych cel, gdzie zamknięto licznych więźniów, i podziemiami, w których ukryto niezliczone skarby Haszyda. Ten, kto nie zna planu labiryntu, nigdy nie znajdzie skarbów, a ten, kto zdoła wydostać się z podziemnej celi, nigdy nie wyjdzie na powierzchnię i nie zobaczy słońca...

Pałac ma przestronny półokrągły taras. Z niego Haszyd często ogląda walki gladiatorów - ulubioną rozrywkę vagarańczyków, co tydzień spędzających wolny czas na położonej pod tarasem ogromnej arenie. Na tym tarasie Haszyd przyjmuje zazwyczaj ważnych gości, posłów, a także przyjaciół.

Wokół pałacu, nieco poniżej zbocza wzgórza, leżą dzielnice miejscowej arystokracji - wielmożów, urzędników, dworaków satrapy, kupców. Im niżej, tym domy są biedniejsze - aż do murów, gdzie mieszczą się chałupy nędzarzy, nory włóczęgów i zbudowane z byle czego szopy bezdomnych.

Półtora księżycy temu woj sko Haszyda odniosło zwycięstwo nad kolejną armią cudzoziemców, których skusiło bogactwo miasta, oddalonego od najbliższych cywilizowanych miejsc o trzy dni jazdy wielbłądem. Armia pod przywództwem shemskiego księcia Baru-cha, składająca się głównie z okrutnych synów plemion koczowniczych, włóczęgów, zubożałych wojowników i szukających łatwej zdobyczy najemników, próbowała wziąć miasto szturmem. Werbownicy obiecywali łatwą zdobycz, okazało się jednak, że lepiej im nie wierzyć.

Nocne strażę, obchodząc dalekie przedpoła miasta, zauważyły blask ognisk rozpalonych na granicy skał i pustyni przez nieprzyjaciela, gotującego się do porannego ataku. Zaalarmowane oddziały obrońców z pierwszymi promieniami słońca rozpoczęły kontratak, uprzedzając najeźdźców.

Wróg został zaskoczony: konny oddział szturmowy, dwadzieścia pięć razy mniejszy od wojsk przeciwnika, bezszelestnie przejechał przez Zawodzący Wąwóz, wbił się w obóz Shemitów, tratując senne warty, podpalając namioty, zabijając każdego, kto stanął na

-7-

jego drodze, i niemal osiągając kwaterę samego Barucha. Ale rozległ się niegłośny głos rogu i jeźdźcy, którzy podczas ataku stracili zaledwie pięciu ludzi, zawrócili - zanim przeciwnik opamiętał się i otoczył atakujących.

Pojąwszy, że zostali zdemaskowani i dalsze ukrywanie się nie ma sensu, Barach rozkazał swoim wojownikom stanąć w szyku bojowym i rozpocząć pościg za rozzuchwalonymi khorajczykami, wyciąć ich w pień, a następnie szturmem wziąć bogate miasto Vagaran. Załopotwały sztandary i chorągwie, rozległ się głoszący atak warkot bębnow.

Może Shemitom udałoby się dogonić vagarańczyków, zanim ci ukryli się w skałach Zawodzącego Wąwozu, ale upór jednego z ostatnich dziesiątników, barbarzyńcy z pewnego nie znanego nikomu kraju, który ośmielił się przeciwstawić samemu Barachowi, opóźnił pościg.

Gdy konnica Shemitów wdarła się do wąwozu, po beczelnych vagarańczykach pozostał już tylko wzburzony końskimi kopytami wirujący w powietrzu pył, j edyny ślad, że niedawno przejechali tędy jeźdźcy.

Od strony Shemu Vagaran otaczał nieprzebyty masyw skalny -uroczyisko światła i ciemności, ostrych odłamków kamieni i ogromnych omszałych głazów. Jedyna droga do miasta wiodła przez Zawodzący Wąwóz, zawdzięczający swą nazwę jesiennym wiatrom, szczególnie nieprzyjemnie wyjąłym i skomlącym wśród szczelin i rozpadlin wąskiego przejścia, nasuwając mieszkańcom okolicznych wsi myśl o wiecznym płaczu zagubionych dusz. W rzeczywistości nie był to wąwóz, lecz jedynie głęboki skalisty parów, który powstał w miej scu dawnego potoku - niegdyś dopłytem rzeki przepływającej przez Khauran i wpadającej do morza Vilayet. Pustynia jednak atakowała,

potok wysechł sto lat temu i nikt już nie pamiętał, że dawno temu wody było tutaj pod dostatkiem. Pozostała tylko nazwa.

Pierwsze oddziały Baracha cwałem wpadły do wąwozu i dojechały niemal do połowy, gdy z góry, ze skalnych kryjówek, spadł na nie grad strzał wypuszczonych przez najlepszych łuczników Vagara-nu. Promienie wschodzącego słońca przesłoniły chmury rażących żądań. Rozpadlinę wypełniły krzyki umierających, które spotęgowane echem zlały się w jeden zgłęb rozpaczy i cierpienia, potwierdzając złowieszczą nazwę tego miejsca.

Łucznicy nie mogli (i nie mieli zamiaru) powstrzymać fali atakujących. Dosłownie po trupach armia Barucha rzuciła się ku ujściu wąwozu...

.. .gdzie czekały na nią wyborowe vagarańskie oddziały.

Atakujący wpadli na zaporę z ciężkozbrojnych mieczowników i gorzko tego pożałowali.

Wojownicy nie mieli zamiaru pozwolić żadnemu Shemicie wyjechać z Zawodzącego Wąwozu, umiejętnie i bezlitośnie powitali nieprzyjaciela u ujścia dawnego koryta rzeki. Ariergarda nie wiedząc jeszcze, co się stało, napierała z tyłu, wypierając przednie szeregi na otwarte pole, prosto pod ostrza vagarań-czyków. W powietrze buchnął szcęk stali, rozpaczliwe rżenie koni i wycie rannych. Nagle nad szeregami atakujących przetoczył się zew rogu bojowego i osypywani śmiercionośnymi strzałami z wierzchołków skał, wojownicy Barucha zawrócili.

Armia z Shemu, trzykrotnie zmniejszona liczebnie, rzuciła się z powrotem do swojego spustoszonego obozu - z nie mniejszym zapałem niż podczas nieudanego ataku. Co prawda, teraz pośpiech wywołany był paniką i groźbą nieuchronnej śmierci. Jednakże wojownicy Vagaranu zdążyli zatrzasnąć pułapkę: na uciekających nieprzyjaciół u wyjścia z wąwozu czekały już oddziały Haszyda. Pułki Barucha ogarnął chaos i zamęt. Shemicy jak ślepe kociaki miotali się pomiędzy ścianami wąwozu, z obu stron witała ich zimna stal, a z góry razila latająca, pierzasta śmierć. Do końca życia Barach nie dowiedział się, że z tych zgubnych kleszczy pomógł mu się wyrwać krnąbrny dziesiętnik, barbarzyńca...

Jakkolwiek jednak było, nędznym resztkom shemickich wojsk udało się wydostać z przeciwległego ujścia wąwozu i pomknąć w stronę Eruku. Oddziały obrońców, pokrzykując, ścigały ich do samej granicy, dopiero tam zawróciły.

- .. .1 tak, mój czcigodny gościu - ciągnął Haszyd, który w czasie efektownej pauzy zdążył obgryźć indyche skrzydełko - zmusiwszy nędznych Shemitów do wykąpania się w piaskach pustyni, rozkazałem trąbić odwrót i wróciliśmy do miasta... A cóż mieliśmy więcej do roboty? Wróg rozbity, jeńców tłum, ludzi straciliśmy niewielu, a głupek Barach nie zbliżył się do bram miasta nawet na dwie ligi. Dlatego z triumfalnymi pieśniami na ustach wróciliśmy do domu, kolejny raz udowadniając obmierzłym Shemitom, że walczyć z nami nie warto.

-9-

IHaszyd, i prawa ręka Haszyda-dowódca Sdemak, i jego lewa ręka - mędrzec i doradca mag Aj-Berek, i jego czcigodny gość -szach Dzumal, władający jedną z prowincji Turami, siedzieli za stołem, specjalnie z tej okazji wyniesionym na taras.

Słońce jasno świeciło, na dole huczały świętujące tłumy mieszkańców miasta, które w przedsmaku jutrzejszego widowiska na arenie zapełniły miejscowe oberże i gospody, zawczasu wlewając w siebie schłodzone piwo i mocne wina. Na tarasie było cicho i rześko; wieczerza miała się ku końcowi.

Wielmoże - Haszyd i Dzumal - już omówili wszystkie bieżące sprawy polityczne, wymienili się obowiązkowymi prezentami i uprzejmościami, przyjemnie spędzili razem czas w siarkowych łaźniach, gdzie rozmawiali o klejnotach, koniach i kobietach (przy czym obaj nie szczędząc pochwał, zapewniali o wyższości drugiej strony w tychże kwestiach), a potem rozkoszowali się towarzystwem pięknych tancerek. Za dwa dni szach zbierał się w drogę powrotną i Haszyd na ostatek postanowił pochwalić się przed nim swoją ulubioną zabawką.

Za plecami Haszyda i jego gości czekało na rozkazy czworo sług, zajmujących się zmienianiem dań i napojów. Dwóch uzbrojonych strażników zastygło pod drzwiami, czterech innych stało w

rogach tarasu. Ci ostatni nie mieli broni - ściskali w rękach końce błyszczących, mocnych łańcuchów. Naciągnięte łańcuchy tworzyły krzyż. W jego środku, twarzą do wielmożów, nieruchomo górował nagi śniady mężczyzna. Drugi koniec każdego z czterech łańcuchów był przykuty do grubej obręczy zapiętej na szyi jeńca. Gdyby spróbował zrobić choćby najmniejszy ruch, łańcuchy natychmiast cofnęłyby go na środek tarasu.

Ale jeniec stał bez ruchu; jego przenikliwe błękitne oczy wpatrzone były w wieczność, grzywa granatowoczarnych włosów nawet nie zafalowała. Nie drgnął ani jeden mięsień gigantycznego ciała i gdyby nie fioletowa żyłka, która szaleńczo pulsowała na potężnej szyi, postronny obserwator mógłby przypuszczać, że ma przed sobą mistrzowsko wykonany w brązie posąg olbrzyma.

- Cóż - powiedział donośnym basem dowódca Sdemak, wznosząc złoty puchar - to była wielka bitwa i wielki triumf. Jeszcze nigdy nie odnieśliśmy tak łatwego zwycięstwa. Twoje zdrowie, władco Haszydzie! Za twój talent stratega i taktyka! Za nasze powodzenie! - był niezbyt wysoki, ale dobrze zbudowany, ubrany w odświętny mundur. Przy boku miał krótki ceremonialny miecz, z rozszerzającym się ku końcowi ostrzem.

10

- I ja piję twoje zdrowie, Haszydzie! - dodał dumnie turański szach i również osuszył swój puchar. Gruby, łysiejący, cierpiący na zadyszkę i podagrę Turańczyk, chociaż równy Haszydowi pod względem pozycji, zewnątrznie nie przypominał potężnie zbudowanego władcy Vagaranu. - Wspaniale poradziłeś sobie ze wszystkimi trudnościami i po raz kolejny udowodniłeś, że królowa Jasmela nie przypadkiem powierzyła ci zaszczytne stanowisko władcy Vagaranu... Jednakże, monarcho, odpowiedz mi: kim jest ten dzikus, który stoi tu już trzecią godzinę i przez cały ten czas ani razu się nie poruszył?

- Mój drogi gościu! - Haszyd klasnął w ręce i fałdy purpurowego płaszcza zakołysały się za jego plecami. - Przed nami najdziwniejsze i najcenniejsze trofeum tej bitwy! Najemnik ten, walczący po stronie Shemitów jak lew, sam jeden zabił więcej moich żołnierzy niż wszyscy ludzie Barucha razem wzięci... I gdyby nie pomoc mojego wiernego maga, dobrałby się również do mnie, a wtedy nie siedziałbym tu z wami przy jednym stole!... Czyż nie tak, drogi Sdemaku? Nawet ty nie zdołałeś mnie przed nim obronić!

Sdemak, ponuro milcząc, potarł niedawno zabliznioną ranę od uderzenia kindżałem. Haszyd odwrócił się do czwartego uczestnika uczty - czarownika Aj-Bereka, który okutany w szeroki czarny płaszcz z kapturem, srebrną nicią wyszywany w magiczne runy, przez cały czas siedział w milczeniu, niewiele jedząc i pijąc.

- A ty, Aj-Bereku, co powiesz? Czy zabiłby mnie ten dzikus, gdyby nie twoja pomoc? W twarzy czarownika, pomarszczonej jak oblicze stuletniego starca, zaślniły zielone, młodzieńcze oczy. Aj-Berek również nic nie odpowiedział, poruszyły się tylko cienkie niteczki jego długich, zwisających na podbródek wąsów.

Szach Dżumał, nic nie rozumiejąc, wzruszył ramionami i dolał sobie wina. Szybko się upijał.

- Być może, masz rację, szlachetny władco. Ale nieruchome i bezmyślne spojrzenie... ee... tego trofeum świadczy o jego bezgranicznej tępotcie. Która jest zresztą charakterystyczna dla wszystkich dzikusów... nawet jeśli umieją walczyć jak lwy.

Haszyd zachichotał.

- Czcigodny gościu, w ciągu dwóch tygodni niewoli ten człowiek cztery razy próbował zbiec z mojego podziemnego więzienia i dwa razy prawie udało mu się wydostać, gołymi rękami wykończył pięciu strażników. Nie wątpię, że udałoby mu się uciec, nawet nie znając planu labiryntu, ale głód i wycieńczenie jeszcze nikomu nie

-11-

pomogły... Nie, drogi Dżumału, uwierz mi, jeszcze nigdy nie spotkałem równie silnego, przebiegłego i kochającego życie wroga! Opróżniwszy kolejny puchar, szach uśmiechnął się.

- Trudno po nim poznać, mój drogi gospodarzu, że jest głodny i wycieńczony. Czyżby w twoim więzieniu aż tak dbano o więźniów? Sam bym nie odmówił spędzenia w nim kilku dni, może i u mnie pojawiłaby się taka muskulatura...

- Jeśli tylko zechcesz, mój potężny gościu, z radością zaproponuję najciemniejszą i najwilgotniejszą celę w moim labiryncie. Ale nie sądzę, żeby wypoczynek w takich warunkach dobrze ci zrobił. Co się zaś tyczy tego dzikus, niedawno kazałem specjalnie dla niego przygotowywać jedzenie w mojej kuchni - żeby nie zdechł, jak inni lokatorzy moich podziemi, ale by zachował siłę i zręczność.

- A nie sądzisz, jaśnie oświecony władco - zapytał ze zdziwieniem Dżumal - że tak dobrze karmiony, spróbuje jeszcze raz ucieczki i tym razem może mu się udać?

Haszyd wytarł tłuste palce i usta kawałkiem białej tkaniny i uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Miłościwy gościu, jeszcze nikomu nie udało się wyrwać z oko-wów zaklęcia Żółtego Pajaka, które na moją prośbę rzucił na niego szanowny Aj-Berek. Jak widzisz, dzikus przez cały czas jest unieruchomiony i zniewolony. Jego ciało i mózg śpią - i będą spać, póki nie nadejdzie pora. Jego tu nie ma..., a gdzie błądzącego myśli, wie tylko bogini Isztar. Zachował zdolność jedynie do jedzenia, picia i wypróżniania się. Nie musisz się nim niepokoić, szanowny gościu. Chociaż wygląda jak lew, nie jest groźniejszy od ślepego szczenięcia.

Szach głośno beknął, odchylił się na oparcie wysokiego fotela, zmrużył oczy i zaczął się przyglądać olbrzymowi. Potem chrząknął, napełnił złoty puchar po brzegi, podniósł go i bełkotliwie zawołał:

- Ej, ty, dzikusie! Słyszysz mnie? Chcę, żebyś wypił za zdrowie i zwycięstwo mojego przyjaciela, wspaniałego Haszyda! I tym samym podziękował mu, że w swojej wspaniałomyślności zostawił cię przy twoim żalonym życiu, zamiast rzucić na pożarcie lwom!... Ej, który tam - odwrócił się do zastygłych za ich plecami sług i na chybił trafił dźgnął w jednego z nich palcem - o, ty. Tak, tak, ty! Podaj no naszemu przyjacielowi ten łyk wina. Twój pan Haszyd go częstuje!

- Nie warto tego robić, mój szlachetnie urodzony gościu - zauważył łagodnie Haszyd.

- A to dlaczego, sławny władco? - zacietrzewił się pijany Dżumal. - Powiedziałeś przecież, że on nie ma o niczym pojęcia, że może

-12-

tylko jeść i pić. No to niech wypije za twoje zdro... zdrowie! —W jego głosie zabrzmiała groźba. - A może masz coś przeciwko mojemu toastowi?

- Ależ skądże... - wzruszył ramionami Haszyd i ledwo zauważalnie skinął słudze głową.

Sługa zawahał się, nieśmiało podszedł i wziął kubek z niepewnej ręki szacha.

- Szybciej, ruszaj się! - popędził sługę Dżumal. - Naszemu przyjacielowi na pewno zaschło w gardle.

Sługa powoli podszedł do jeńca, zatrzymał się dwa kroki przed nim i podał puchar. Drżały mu ręce. Strażnicy trzymający łańcuchy, naciągnęli je jeszcze bardziej i zamarli, gotowi przy pierwszym nieostrożnym ruchu więźnia zwalić go na podłogę. Gwardia przy drzwiach pewniej chwyciła piki. Dowódca Sdemak zmarszczył brwi, położył dłoń na rękojeści ceremonialnego miecza. Mag Aj - Berek złożył ręce na brzuchu i z zainteresowaniem śledził rozwój wydarzeń.

Początkowo nic się nie działo, potężny jeniec pozostawał w bezruchu. Zapadła głęboka cisza, aż było słyhać, jak przestraszony sługa przełknął ślinę.

Potem olbrzym spostrzegł puchar, i na jego twarzy zamigotał złoty blask. Powoli, urywanymi ruchami, jeniec wyciągnął ręce, objął nimi czarę z winem i podniósł do ust. W tym czasie sługa, zdecydowawszy, że rozkaz został niewątpliwie wykonany, pospiesznie wrócił na swoje miejsce. Spojrzenie giganta oderwało się od wina i spoczęło na weselącym się turańskim szachu.

- No, co z tobą? - osmielił jeńca pijany Dżumal. - Pij, nie bój się. Płacić nie musisz, władca cię częstuje! Pij za zdrowie naszego dobrego Haszyda. Pij i wyraż wdzięczność za darowanie życia!

Olbrzym powoli opuścił ręce, odwrócił puchar do góry dnem i wino polało się pienistym bursztynowym potokiem na podłogę. Zastygłe spojrzenie więźnia przez cały czas utkwione było w Dżumalu.

A potem stało się coś niewiarygodnego.

II

- Stój, Sdemak! - ryknął Haszyd, gdy dowódca, odrzuciwszy fotel i wyciągając w biegu miecz, wyskoczył zza stołu. - Nie waż się

-13-

ruszyć, bo każę cię zdegradować!... Ciebie, Aj-Berek, też to dotyczy! - odwrócił się gwałtownie do maga, który podniósł się z fotela i wyciągnął ręce w stronę rozciągniętego na podłodze giganta. Końcówki palców maga świeciły się złowieszczym zielonkawym światłem. Wykonywał gwałtowne gesty, jakby szarpał za niewidoczne nici i przy każdym jego ruchu ciało pokonanego giganta drgało. -Jeśli chociaż jeden włos spadnie z głowy tego człowieka, wyślę cię z powrotem na Xapur!... Może już zapomniałeś, kto cię stamtąd wydostał?

Czarownik wahał się przez chwilę, potem opuścił ręce i usiadł na swoim miejscu. Przez cały czas milczał.

- Ale przecież ten... ten... - duszący się z wściekłości Sdemak wskazywał palcem jeńca. Sprawnie, zgodnie i szybko pracując łańcuchami, ochroniarze powalili go na podłogę i teraz w milczeniu kopali.

- Zostawcie go! - rozkazał im gniewnie Haszyd. - Na miejsca, durnie! Macie tylko trzymać łańcuchy! Potrzebuję go żywego!

Gdy żołnierze niechętnie wrócili na swoje miejsca i znowu naciągnęli łańcuchy, władca Vagaranu zwrócił się do dowódcy. Mówił cicho, ale w jego głosie słychać było syk węża:

- Powiedziałem, siadaj, Sdemak! Szach żyje. Podnieś fotel i siadaj! Szybko, nie żartuj!

Mamrocząc coś niezrozumiałego, dowódca wykonał rozkaz.

Gdy wszystko się uspokoiło, władca Vagaranu podniósł puchar, który potoczył się na drugi koniec stołu, i obejrzał go. Przed chwilą był to puchar o kunsztownym kształcie. Teraz, spłaszczony uderzeniem o potwornej sile, zmienił się w bezużyteczne złote świecidełko. Haszyd zmarszczył brwi i pokręcił głową, chociaż wzbierał w nim śmiech. Potem odrzucił puchar i nachylił się nad nieprzytomnym Dżu-malem. Szach oddychał - słabo, ale równo; na jego czole pojawił się liliowy guz. Haszyd poklepał gościa po policzkach, a gdy to nie pomogło, wlał mu do gardła hojną porcję wina. Satrapa triumfował w duchu-jeszcze nigdy nie miał do czynienia z takim wojownikiem.

Dżumal rozkasnął się, wypluł wino i otworzył zmętniałe oczy.

- Co... ? - wyszeptał ochryple. - Kto... ?

- Nic, nic - uspokoił go satrapa Vagaranu. - Wszystko w porządku, mój wspaniały gościu. Drobne nieporozumienie, które już zostało zażegnane. - Odwrócił się na sekundę do Aj-Bereka i złowieszczu wyszeptał: - Przecież mówiłeś, że czarów nie można pokonać!

14

- To prawda - odezwał się po raz pierwszy mag. Wydawało się, że jego głuchy głos dobiega z najgłębszych głębin piekła. - Jednakże bywają ludzie, których wola zdolna jest na chwilę przełamać zaklęcie. Takich ludzi jest bardzo niewiele, ale są. Wybacz mi, panie, nie sądziłem, że właśnie on...

Haszyd tylko niecierpliwie opędził się od swojego doradcy.

Szach uniósł się z fotelu, obrzucił spojrzeniem taras - niewzruszone straże przy drzwiach, spokojnego i opanowanego Aj-Bereka, kipiącego nienawiścią Sdemaka i zakłopotanego Haszyda. Jedyne, co pamiętał, to puchar, który śmignął w powietrzu jak złota błyskawica, potem - uderzenie, a potem... potem była już tylko kompletna ciemność. I potworny ból głowy.

I wtedy wreszcie zrozumiał, co się stało.

- Przecież to ścierwo chciało mnie zabić! - zaryczał Dżumal i fioletowy guz na jego czole spurpurowiał. - Gdzie on jest? Jeszcze żyje?! Lepiej, żeby żył - chcę go zabić własnymi rękami!

- Uspokój się. - Haszyd delikatnie posadził gościa w fotelu. -Dzikus na razie żyje i ciągle jest tak samo bezbronny.
- Bezbronny? Bezbronny! - wściekł się szach. Błyskawicznie wytrzeźwiał. - O mało mi głowy nie rozbił! Mówiłeś, że nie jest groźniejszy od ślepego szczenięcia!
- No cóż - unióś brwi Haszyd. - Czasem nawet szczenię może ugryźć, mój znamienity gościu... jeśli sieje rozdrażni.
- Wściekłe szczenięta się topi, oświecony władco! I jeśli natychmiast nie zabijesz tego potwora, to pamiętaj, że nie jesteśmy już przyjaciółmi, ale wrogami, i że jutro moje wojska...
- Przecież cię uprzedzałem, wielmożny gościu - sprzeciwił się Haszyd. - Usiłowałem odwieść cię od tego pomysłu. Sam jesteś sobie winien.
- Ale taki postępek nie może pozostać bezkarny - poparł gościa Sdemak. Nie schował miecza do pochwy. Zaciśnięte na rękojeści palce zbieleły. - Trzeba zabić tego zuchwalca. I najlepiej publicznie, żeby nie dać powodu do konfliktu... i do rozmów między ludźmi. - Dyskretnie wskazał strażników, będących świadkami hańby Dżumala.
- Nie przypominam sobie, żebym zezwolił ci na wypowiedzenie swojego zdania - odciął się Haszyd. - Wynoś się stąd! I ty, Sdemak, i ty, Aj-Bereku, idźcie precz. Czekać na mnie w sali rad, tam jest wasze miejsce!

Gdy doradcy - wściekły dowódca i całkowicie spokojny mag - opuścili tras, przechodząc obok nieustraszonych straży, władca Va-

-15-

garanu znowu nachylił się nad szachem. Ten trochę się już uspokoił oglądając leżącego na wznak jeńca. Twarz giganta spływała krwią, lewe oko pokryło się opuchlizną, a na piersi pojawił się ogromny siniak. Dżumał pomacał guz na czole, skrzywił się, ale zaraz potem uśmiechnął.

- Mam dla ciebie pewną propozycję, wielkoduszny władco, która, jak sądzę, zadowoli nas obu i pozwoli zapomnieć o tym nieprzyjemnym zdarzeniu. Podaruj mi tego łajdaka. Już ja u siebie, w Szarej Wieży, znajdę dla niego odpowiednią śmierć... niezbyt szybką i niezbyt przyjemną. Haszyd uśmiechnął się ledwie zauważalnie i pokręcił głową.

- No to sprzedaj mi go! - krzyknął szach, znowu wpadając w gniew. - Daję dwa worki złota!

- Posłuchaj...

- A może nie chcesz, żeby gość twojego domu został pomszczony?!

- Wysłuchaj mnie wreszcie! - rozdrażniony Haszyd podniósł głos. - Jeśli jesteś gościem w moim domu, to zamilcz na chwilę!

Dżumał nieoczekiwanie się uspokoił i zaintrygowany dziwną nieustępliwością satrapy w kwestii nędznego jeńca, zaczął słuchać.

Zacierając ręce, jakby w przedsmaku niewiarygodnie przyjemnego wydarzenia, władca Vagaranu wyprostował się i podszedł do poręczy tarasu, skąd roztaczał się widok na pustą dzisiaj arenę.

- Pobądź jeszcze u nas ze dwa dni, mój drogi gościu - poprosił. - Jutro wieczorem odwiedzimy pewien miły domek w Nieśpią-cym Kwartale, gdzie czeka kilka młodziutkich ślicznotek, rankiem wrócimy do pałacu i zjemy śniadanie - z tej okazji rozkażę wyciągnąć z piwnic dwie, trzy butelki twojego ulubionego shemskiego klarownego; potem obejrzymy występ cyrkówek z Brythunii, a w dzień... - odwrócił się gwałtownie do niczego nie rozumiejącego szacha - ach, w dzień czeka nas takie widowisko, że przysięgam: jeśli ci się nie spodoba, to wyniesiesz z mojego skarbcza tyle klejnotów, ile zdołasz unieść! -Haszyd uśmiechnął się niemal szczerze. - Wybacz, że odmawiam spełnienia twojej słusznej prośby, szlachetny gościu, ale ten człowiek znaczy dla mnie dużo więcej niż proponowane przez ciebie skarby. I dlatego proszę, żądaj, czego chcesz za duchowy uszczerbek, jakiego doznałeś na skutek nieostrożnego czynu dzikusa.

- Cóż jest takiego nadzwyczajnego w tym niegodziwcu, że jesteś gotów nawet rozerwać więzy naszej przyjaźni, byle tylko go nie

-16-

oddać? - zбитy z pantaląku Dżumał wpatrywał się w pokonanego giganta, starając się zrozumieć, dlaczego Haszyd tak go sobie ceni.

- Mój wspaniały gościu! - powiedział uroczyście władca Va-garanu i jego głos wibrował samozadowoleniem. - Jak najprawdopodobniej wiesz, że wszystkich znanych człowiekowi rozrywek najbardziej lubię walki gladiatorów. Jutro zapraszam cię na najcudowniejsze, najdramatyczniejsze i najciekawsze widowisko spośród tych, jakie podarowali nam bogowie. I wtedy zrozumiesz, czemu nie chcę oddać ci tego niewolnika. Masz przed sobą moją ulubioną zabawkę, moją dumę. Były żołnierz, prosty najemnik, nieznany włóczęga. .. i zarazem najlepszy gladiator, jaki urodził się pod słońcem!

- A więc ten łajdak jest gladiatorem? - Dżumał wyprostował się w fotelu. Tak go to zainteresowało, że nawet zapomniał o niedawnym poniżeniu.

- Nie ma wojownika, który mógłby się z nim równać - powiedział Haszyd. - U żadnego władcy, ani w niewoli, ani w poddaństwie, nigdy nie było takiego wojownika. Nie został ani razu pokonany.

- Nawet w walce z rozwścieczonym tygrysem?

- Walka z dzikim zwierzęciem to drobiazg, mój czcigodny gościu, zapewniam cię - zwierzę ma tylko kły i pazury. A mój ulubieniec walczył z najbardziej doświadczonymi, najbardziej zajadłymi i bezlitosnymi, uzbrojonymi po zęby wojownikami, którzy z woli przypadku pojawiali się w tym mieście. I jak widzisz, żyje. Czego, niestety, nie da się powiedzieć o jego przeciwnikach. Dżumał z niedowierzaniem pokręcił głową. Sam był wielkim amatorem walk gladiatorów i pochwała Haszyda obudziła w nim zapał. A Haszyd, przyglądający się uważnie szachowi, zauważył, jak jego gościowi zapłonęły oczy.

- Jutro, jutro zrozumiesz, dlaczego tak go cenię - ciągnął z o-żywieniem. - I uwierz, mój szlachetny gościu, to widowisko warte jest o wiele więcej niż dwa mieszki złota i wszystkie osobliwości lochów twojej Szarej Wieży!

- Z ochotą ci wierzę, potężny władco - powoli, starannie dobierając słowa odpowiedział Dżumał, nie odrywając oczu od rozciągniętego na ziemi olbrzyma. W jego głowie zrodził się plan, jak za jednym zamachem dać nauczkę chełpliwemu Haszydowi, odpłacić więźniowi przybłędzie, rozkoszować się wyjątkowo pasjonującym widowiskiem - a w dodatku mieć z tego wszystkiego jeszcze zysk. Szach wstał, poprawił fałdy szaty, spojrział na gospodarza i uśmiechnął się ujmująco.

-Mój szlachetny przyjaciel i najpotężniejszy z wład-

2 - Conan i prorok ciemności

-17-

ców zapewne rad będzie jeszcze raz przekonać się o niezwykłości swojego gladiatora. Satrapa zmarszczył brwi.

- O czym mówisz, przyjacielu?

- Mówię o tym, że niedawnemu przykremu wypadkowi - szach dotknął guza na czole - winien jestem ja sam. I jest mi niewiarygodnie przykro, że z mojego powodu ten gościnny taras musiały opuścić tak ważne osoby, twoi wierni towarzysze - dzielny Sdemak i mądry Aj-Berek. Oczywiście, moja propozycja może ci się wydać śmiesznym zadośćuczynieniem za to nieporozumienie... ale chciałbym ofiarować ci kilka chwil zadowolenia. I wystawić do pojedynku z twoim niewolnikiem najlepszemu gwardziście z mojej straży przybocznej. Zwycięstwo w walce z nim stanie się jeszcze jedną perłą w naszyjniku triumfów potężnego Haszyda, władcy Vagaranu - powiedział szach. - Okaż mi cześć, sławny przyjacielu, pozwól twojemu niezwykłemu gladiatorowi walczyć z moim niezręcznym i słabym gwardziście. Oczywiście, mój wojownik nie ustoi nawet dziesięciu uderzeń serca przeciwko twojemu tak doświadczonemu niewolnikowi... Ale, z drugiej strony, ktoś może znać zamysły bogów?

Haszyd popatrzył uważnie w twarz szacha. Nagle też się uśmiechnął. W jego oczach zatańczyły iskierki. Zwrócił się do straży:



- Zabierzcie jeńca i poczekajcie na mnie za drzwiami. - Potem powiedział do sług: - Wy też idźcie! Gdy rozkazy zostały spełnione i na tarasie został tylko on i szach, rzekł do gościa:

- Aha. Rozumiem. Innymi słowy, chcesz się założyć? Szach pokornie skinął głową.

- I jeśli twój człowiek przegra... - Haszyd zawiesił głos.

- Bez słowa sprzeciwu ozdobię godzinę zwycięstwa mojego drogiego przyjaciela szmaragdem, który wywarł na nim tak ogromne wrażenie - tak samo pokornie odpowiedział szach.

Haszyd mimo woli przełknął ślinę.

Dżumał rzucił na szalę jeden ze swoich najbardziej ulubionych i drogocennych klejnotów - zadziwiającej czystości i urody szmaragd wielkości główki niemowlęcia. Szach nigdy się z nim nie rozstawał, więcej czasu poświęcał podziwianiu go niż modłom i nie zgadzał się sprzedać za żadne skarby świata.

- Rozumiem - powtórzył powoli Haszyd. - A jeśli twój człowiek wygra...

- To się oczywiście nie zdarzy, szlachetny przyjacielu. Ale zakład to zakład i dlatego chciałbym, żebyś i ty postawił niewielką dla

-18-

takiego bogacza ilość złota, wagą równą jednemu wielbłądowi wraz z uprzężą.

- Przyjmuję - powiedział szybko Haszyd. - Jestem graczem, wielmożny przyjacielu, i takie zabawy to dla mnie czysta przyjemność.

Przypieczętowali umowę mocnym uściskiem dłoni, po czym satrapa pozwolił sobie na dobroduszny śmiech. Doskonale wiedział, że nie przegra.

W odpowiedzi turański szach również się uśmiechnął. On też wiedział, że nie przegra.

III

Szcęk mieczy, wściekle krzyki dowódców, huk ognia płonących namiotów, przerażone rżenie koni, wojenny okrzyk wroga: „Uła, uła, uła!...”, odbijały się echem we śnie barbarzyńcy. Więzień spał w lochach Vagaranu. Spał i śnił...

.. .Niestety, Conan zbyt późno zrozumiał, że wdał się w awanturę z góry skazaną na klęskę. Ale będąc bez grosza przy duszy pod shemskim miastem Meroe, z trudem wyrwawszy się z sieci intryg, plecionych w pałacu Tanandy, cudem uchodząc z życiem z potyczki z pachółkami szalonego króla Akhirona, uważającego się za boga, Conan zadowolony był z każdej nadarzającej się sposobności zarobku. I wtedy pod rękę nawinął się człowiek werbujący ochotników (czyli wszystkich, którzy tylko zechcieli) do armii Barucha.

Ponieważ niektórzy z najemników, znający niepokornego barbarzyńcę z poprzednich pochodów, szepnęli o nim słówko, setnik natychmiast mianował dwudziestoosmioletniego Conana dziesiętnikiem - co prawda, tylko w granicach ariergardy. Otrzymałszy nieoczekiwanie tak poważny awans, skuszony obietnicą części niezmiernych bogactw, kryjących się jakoby w pogranicznym mieście khorajczyków (których nigdy nie darzył sympatią), Conan się zgodził. Ale już wkrótce zaczął podejrzewać, że zamiast obiecanej nagrody, czeka go co najwyżej niesławna śmierć na polu bitwy. Na próżno przekonywał swojego setnika, że rozbijanie obozu na dzień przed atakiem tak blisko Vagaranu jest nie tylko niebezpieczne, ale równoznaczne z samobójstwem; na próżno prosił o zwiększenie liczby wart - zwłaszcza u wejścia do Zawodzącego

-19-

Wąwozu... Na wszystkie namowy barbarzyńcy zarozumiał dowódca odpowiadał, że po pierwsze, inne miejsce na obóz można by znaleźć tylko na pustyni, skąd przypuszczenie niezauważalnego ataku jest niemożliwością, po drugie, każdy wojownik musi się wyspać przed walką i obecność jednego zbędnego strażnika może grozić stratą jednej jednostki bojowej, po trzecie, Barach jest wspaniałym taktykiem i doskonale wie, co robić, a jeśli, po czwarte, byle przemądrzały żołnierzyna zacznie dawać wodzom rady co do planów szturm, będzie to nie wojsko, tylko... i tak dalej, i temu podobne.

Kipiąc bezsilną wściekłością, Conan wrócił do swojego oddziału. Ale w końcu co mógł zmienić? Jeśli z Barucha taki wspaniały taktyk, że gotów jest wpędzić swoje wojsko prosto w łapy śmierci,

to jego, Barucha, sprawa i Conanowi nic do tego. Tak więc, dał swojemu oddziałowi rozkaz rozłożenia się jak najbliżej pustyni, a jak najdalej od Zawodzącego Wąwozu i postawienia tam namiotu dziesiętnika, po czym spokojnie (ale w rynsztunku bojowym) zapadł w sen.

Szcęk mieczy, wściekłe krzyki dowódców, huk ognia płonących namiotów, przerażone rzenie, wojenny okrzyk wroga: „Uła, uła, uła!...” - oto, co go obudziło.

Chwytny swój nieodłączny oburęczny miecz, olbrzymi barbarzyńca, wzrostem ustępujący tylko Mitrze, wyskoczył z namiotu w noc. I o mało nie wpadł najeźdźca na gniadym koniu, który nie wiadomo skąd się tu wziął. Jeździec już wznosił nad namiotem krzywą szablę. Na szeroki zamach nie starczyło czasu, Conan ciął mieczem nieco powyżej przednich nóg konia i w tym samym momencie biedne zwierzę, rżąc rozpaczliwie, runęło na kolana. Nie spodziewając się takiego obrotu wydarzeń, jeździec, chcąc zachować równowagę, zamachał rękami i wtedy Conan z półobrotu wykreślił w powietrzu szybki póło-krag, którego środek wypadł dokładnie na piersi wroga.

Co działo się dalej z rozciętym na pół trapez, Cymmerianin nie patrzył.

- Oddział, do walki! Piechotą w zewnętrzny półpierzścień, szybko! - krzyknął na całe gardło i dopiero potem rozejrzał się po otulonym w poranną mgłę obozie.

Panował tu chaos i zamęt. Setnicy i dziesiętnicy Baracha wykrzykiwali bezsensowne rozkazy, jeźdźcy wydawali się widmami w półmroku, gdzieś z oddali dobiegało wycie i szcękanie broni... Jednak w pobliżu nie było widać żadnego przeciwnika.

-20-

O podwładnych, których sam wybrał i których przez dwa ostatnie tygodnie szkolił, Conan się nie martwił. Zrobią wszystko jak należy: nie minie nawet pięć uderzeń serca, gdy najeżeni ostrzami mieczy staną w półokręgu wokół swojego dowódcy. Dużo bardziej niepokoiło go to, że nieprzyjaciel niemal bezszelestnie zdołał przedrzeć się prawie do samych piasków - gdzie, jak sądził, było najbezpieczniej.

- Oddział, na koń! - zakomenderował Conan. - Za mną, dwójkami, miecze z pochew... i baczenie się rozglądać!

Wskoczył jak błyskawica na swojego czarnego konia i nie oglądając się, pogalopował w stronę bielejącego w oddali namiotu głównodowodzącego: obozowisko jego dowódcy, setnika, było rozbite niemal przed samym wejściem do wąwozu, dlatego Conan, nie tracąc czasu na jego poszukiwania, od razu ruszył w kierunku namiotu Barucha.

Gdy przez nieporządnie porozbijane namioty oraz krzyczących i zdezorientowanych, biegających tam i z powrotem, żołnierzy udało mu się wreszcie przedrzeć do białego namiotu, niewidoczny przeciwnik już otrąbił odwrót.

- Za nimi! - wrzeszczał w zapale książę Barach, potrząsając wypolerowanym do blasku kindżałem.

- Haszydzkie psy uciekają przed nami! Za nimi, na chwałę bogów, po skarby Vagaranu!

- Barach! - głos Conana był głośniejszy od gromu. Barbarzyńca w pełnym pędzie zatrzymał konia tuż przed gwardią przyboczną księcia. - To pułapka, jak możesz tego nie rozumieć! Armia Khorajczyków tylko czeka, żebyśmy zaczęli gonić ten oddział szturmowy i weszli do wąwozu! Rozkaz wojsku sformować szczytce i wtedy zdołamy odeprzeć kontratak Haszy da!...

Barach zwrócił do Conana czerwoną, obrzmiałą twarz.

- Co ja słyszę? - zasyczał jak wąż. Obejrzał bezczelnego wojownika od stóp do głów i zobaczył tylko jeden jedyny pasek, wymalowany czarną ochrą na jego prawym policzku. - Dziesiętnik! A więc wśród moich oficerów pojawił się tchórz! A może to zdrajca?! Czy nie słyszałeś rozkazu? Kto jest twoim setnikiem? Obłupię go ze skóry za to, że bierze na służbę takich łaj da...

- Książę! - Conan próbował mówić spokojnie, gdyż piętnastu gwardzistów Baracha obnażyło miecze i tylko czekało na rozkaz rozprawienia się z buntownikiem. - Wróg, który na nas napadł, był zaledwie niewielkim kawaleryjskim oddziałem, w przeciwnym razie nie udałoby mu się przejechać niezauważenie obok naszych wart

-21-

i przeniknąć tak daleko w głąb obozu. Dlatego nie ma potrzeby go ścigać. Główne siły przeciwnika stoją i czekają, żebyśmy zaczęli atak i weszli do wąwozu. To pułapka, zasadzka, potrzask!...

- Ciekawe, skąd ty to wiesz?! - zaryczał Barach. - Może jesteś szpiegiem, przysłanym przez podłego Haszyda? Przekupionym wicherzycielem, który ma szerzyć zamęt w szeregach szlachetnych wojowników?

- Książę - powtórzył spokojnie Cymmerianin, z całych sił powstrzymując harcującego konia. - Rozkaż wojsku sformować szczypcę przy wejściu do wąwozu, ponieważ...

- Łajdak, drań, tchórz! - zaryczał książę. - Rozkazałem atakować i właśnie ty pójdziesz w pierwszym szeregu! A jeśli moi ludzie zobaczą, że próbujesz schować się za plecami towarzyszy, czeka cię los straszniejszy od losu schwytanego przez strażę gwałciciela małoletnich! Naprzód, do ataku! - i jakby tracąc zainteresowanie dla barbarzyńcy, odwrócił się w stronę zamartwych gwardzistów. - Na co czekacie, bęcwały! ? A może wam też nie podobają się moje rozkazy?... Na komendę sygnałowych rozległ się warkot bębnow i nad namiotem głównodowodzącego pojawiły się chorągiewki, obwieszczające rozpoczęcie ataku.

Zgrzytając zębami, Conan wrócił do czekającej na niego dziesiątki wojowników. Przez kilka uderzeń serca spoglądał w ponurym milczeniu na oddane twarze żołnierzy, a potem niegłęboko powiedział:

- Wszystko słyszeliście. Wybór należy do was i ja, wasz dowódca, nikogo do niczego nie zmuszam. Mamy trzy możliwości. Podporządkować się Barachowi i polec śmiercią bohaterów w Zawodzącym Wąwozie. Nie posłuchać rozkazu, wycofać się i na zawsze okryć hańbą... Albo za cenę swojego życia spróbować zmienić fatalny bieg tej bitwy, zyskać mało prawdopodobną sławę i jeszcze mniej prawdopodobny szacunek towarzyszy... Ci, którzy wybrali wariant pierwszy, muszą się pospieszyć. Pierwsze oddziały księcia Baracha są już na przedpolach wąwozu i dlatego radzę jak najszybciej ruszać, żeby je dogonić. Ci, którzy wybrali drugą możliwość, również muszą się pospieszyć. Wojsko Baracha jest już w gotowości i przedostanie się na pustynię z każdą chwilą jest coraz trudniejsze... Ci zaś, którzy jadą ze mną, niech pozostaną w tym miejscu... i niech wiedzą, że nasze szanse są bardzo znikome.

-22-

Nikt z dziesiątki się nie ruszył. Conan uśmiechnął się w duchu-a więc jednak są to dobrzy wojownicy.

- No cóż - powiedział - dokonaliście wyboru. Za mną, zwartą grupą.

W świetle rozpalającego się dnia Conan widział, że główne siły Shemitów, już w szyku bojowym, szybko i zdecydowanie podążają w stronę ziejącej na przedzie rozpadliny, a pierwsze oddziały weszły w cień wąwozu. Gróżb Barucha Conan się nie bał: w czasie ataku nikt nie zdoła dojrzeć, czy dziesiątnik wypełnia rozkaz, a już tym bardziej wykonać wyroku, grożącego wyłącznie szczególnie zasłużonym dezterom. I dlatego Cymmerianin nie poprowadził swojego oddziału za armią- w rozwartą paszczę śmierci - ani z powrotem na pustynię, gdzie mieli duże szansę się uratować, lecz w górę, po skalistym zboczu, na prawo od zdradliwego Zawodzącego Wąwozu - gdzie nie odważyłby się pójść najśmielszy zwiadowca.

Wspinaczka trwała długo i Conan wyraźnie słyszał odgłosy bitwy, dobiegające z dołu, z lewej strony: tak jak przypuszczał, w wąwozie na wojsko księcia czekały główne siły vagarańczyków i niepowstrzymana fala atakujących natknęła się na nieprzystępny brzeg utworzony przez oddziały obrońców. Serce ścisnęło się bólem - przecież zostawił tam towarzyszy broni na pewną śmierć i ignorancja Barucha nie była dla niego usprawiedliwieniem... Wiedział też, że jeśli książę zdecyduje się na odwrót, w drugim końcu wąwozu również będzie na niego czekać wojsko Vagaranu... Nie miał już innego wyjścia, trzeba było kontynuować wspinaczkę.

Działaniami obrońców powinno się kierować z takiej pozycji, z której jak na dłoni widać całe pole walki i skąd sygnały przegrupowania wojsk zostaną usłyszane bądź zobaczone przez dowódców khorajskich wojsk. W całej okolicy było tylko jedno takie miejsce: na prawym zboczu, w pobliżu

wierzchołka najwyższej z otaczających wąwóz skał - tam właśnie skierował Conan swój mały oddział.

Była to długa i trudna wspinaczka. Skalnych odłamków leżało wszędzie tyle, że jeźdźcy musieli zsiąść z koni. Starali się nie naruszyć niepewnej równowagi kamieni - każdy nieostrożny ruch mógł spowodować lawinę i tym samym zdradzić plan Conana.

-23-

Do wąwozu świt dopiero przenikał, ale tu, na górze już świeciło wiszące nad horyzontem słońce. Ludzie i konie, kamienie i skały rzucały długie, dziwaczne cienie. Wiatr szarpał gęstą grzywę włosów barbarzyńcy, śpiewał swoją smętną pieśń w szczelinach i rozpadlinach.

Conan obejrzał się. Gdzieś tam, po prawej stronie upstrzonego pęknięciami skalnego występu, powinien kryć się sygnalista. Możliwe, że nie jeden. Trzech. Albo nawet pięciu...

- Przygotować się do walki! - Cymmerianin odwrócił się do milczących towarzyszy. - Idźcie ostrożnie, ale nie musicie się specjalnie kryć. Zabijajcie każdego, kogo zobaczycie.

Jedni żołnierze obnażyli miecze, inni przygotowali łuki. Oddział ruszył wzdłuż zbocza wąwozu. Z jego dna dobiegały powielane echem odgłosy dalekiej bitwy.

Barbarzyńca jako pierwszy minął skalny występ; przed nim otworzył się szeroki, wiszący nad przepaścią gzyms. Conan w pierwszej chwili nie mógł pojąć, co właściwie widzi - było to zbyt zaskakujące i nieoczekiwane.

Rzeczywiście, sygnały dawano stąd. Ale sygnalista nie był sam.

Pośrodku kamiennego placu stał wysoki czterospadowy namiot, nad którym powiewała flaga Vagaranu. Otaczało go co najmniej trzydziestu żołnierzy. Obok namiotu Conan dostrzegł wysokiego mężczyznę w śnieżnobiałym turbanie. Z rękami skrzyżowanymi na piersiach, człowiek ten uważnie obserwował przebieg bitwy, która rozgorzała w wąwozie.

Oto niski, krępy wojownik w bogatej zbroi, stojący na honorowym miejscu, powiedział coś i człowiek w turbanie podniósł rękę. W tej samej chwili żołnierz z całej siły zamachał jaskrawoczerwoną płachtą na skraju przepaści. Conan zauważył sygnał na przeciwległym zboczu wąwozu: sygnaliści przekazywali rozkazy jeden drugiemu!

Cymmerianin w bezsilnej wściekłości zacisnął zęby. Dziesięciu lekkozbrojnych konnych przeciwko trzydziestu doborowym wojownikom nieprzyjaciela... Ale kto mógł przypuszczać, że sam Haszyd będzie się wspinał na taką wysokość, by osobiście dowodzić bitwą! Conan szybko się rozejrzał. Słońce świeci oddziałowi w plecy, a więc wróg nie od razu zauważy nieproszonych gości. Nie było czasu na rozmyślanie. Zwłoka mogła ich drogo kosztować.

- Farum! - zawołał cicho Conan.

Niewysoki smągły wojownik, jeszcze młody chłopiec, a już jeden z lepszych łuczników w armii Barucha, podał wodze swojego

-24-

konia towarzyszowi i podszedł do barbarzyńcy. Ten wskazał obóz nieprzyjaciela.

- Nie wychylaj się, bo cię zobaczą... Uda ci się trafić w tego w białym turbanie, który stoi przed wejściem do namiotu?

Farum wpatrzył się w cel, potem pokręcił nad głową dłonią („macanie wiatru" - tak się to nazywało u łuczników) i w końcu wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Daleko i wiatr jest silny, nierówny... Cóż, spróbować można. - Podniósł łuk, wyjął z kołczanu strzałę, założył na cięciwę. .. ale Conan go powstrzymał.

- Poczekaj. Jeśli nie trafisz, stracimy przewagę, jaką daje nam zaskoczenie, i napytamy sobie biedy. Będą bronić Haszyda jak ty-gryśca swoich dzieci - aż do ostatniego. A zabić go trzeba, bez przywódcy wojsko vagarańczyków stanie się bezbronne jak osierocony tygrysek. Musimy zadziałać inaczej...

Conan zwlekał. Dziesięciu przeciwko trzydziestu. Przeciwnik ma przewagę liczebną, ale oni działają z zaskoczenia i są zręczniejsi... Do licha, nie wiadomo jeszcze, do kogo się szczęście uśmiechnie...

Odwrócił się do zastygłych za jego plecami wojowników.

- Wart nie wystawili, na razie nie zostaliśmy zauważeni. To znaczy, że od tej strony nie spodziewają się napadu. Zaskoczenie i szybkość - oto nasza jedyna szansa... Nie wiem, czy ktoś z nas przeżyje, ale chcę, byście wiedzieli: los naszych towarzyszy w Zawodzącym Wąwozie zależy wyłącznie od nas... Na koń! I oby nam bogowie pomogli. Najpierw idziemy zwartą grupą. Szybko, ale w miarę możliwości cicho. Jak tylko zostaniemy dostrzeżeni, przegrupujemy się i atakujemy trójzębem - ja w centrum. I wtedy starajcie się robić jak najwięcej hałasu. Nie wdawać się w długie pojedynki ze strażą, najważniejsze - przebić się do namiotu. Nasze cele - przede wszystkim biały turban, w drugiej kolejności bogata zbroja z prawej. Farum i Jozuf zostają tutaj, gdy zacznie się zamieszanie, strzelają z łuków do namiotu. Strzał nie żałujcie, ale starajcie się dobrze mierzyć. Jasne? W takim razie ruszamy.

Conan wyciągnął drogocenny miecz i cicho, do siebie, powiedział:

- I niech nam Crom pomoże...

Niestety, pojawienie się niewielkiego oddziału zostało dostrzeżone od razu, gdy tylko ten wstąpił na kamienny gzyms. Gwardia Haszyda była czujna i szmer kamieni pod kopytami koni wrogiego oddziału natychmiast zwrócił jej uwagę.

-25-

Ciszę nad górskimi szczytami w jednej chwili rozdarły krzyki: alarm straży i zawołanie bojowe, które wyrwało się z gardła Cona-na, zostało podjęte przez jego wojowników. Chowanie się nie miało już sensu. Teraz można było liczyć tylko na szczęście i stalowe ostrza.

IV

Siedmiu jeźdźców mknęło kamiennym placem, bez litości wbijając ostrogi w końskie boki, ku przybliżającemu się powoli namiotowi.

Wyborowi żołnierze osobistej gwardii Haszyda doskonale znali swój fach. Spokojnie i bez paniki łucznicy stanęli w rzędzie i położyli strzały na cięciwy; inni otoczyli zwartym kręgiem swojego pana i powiedli go pod osłonę płóciennych ścian namiotu, żeby schronić go przed wrogimi strzałami. Krępy wojownik w kosztownej zbroi wydawał krótkie rozkazy, przez cały czas nie ruszając się z miejsca. Conan wiedział, że za chwilę na jego oddział spadnie lawina strzał, że nie zdążą wbić się w gromadę wojowników Haszyda. Pochylił się, by schować głowę za końską szyją. Zdążył zauważyć, że jego towarzysze zrobili to samo. Jeśli uda im się przejechać jeszcze kawałek, konie nie padną od razu od strzał - mają szansę.

Osinowy rój khorajskich strzał z czarno-żółtymi lotkami przeciął powietrze nad skalnym gzymsem. Za nim leciały kolejne... Nieskończony potok śmiertelnych żądań.

Jeden z galopujących koni padł piersią na ziemię, łamiąc sterczące z jego ciała drzewce puszczonej celnie strzał. Jeźdźca wyrzuciło z siodła. Uderzenie było bardzo silne, ale Kabul zdołał się podnieść, mimo że złamał obojczyk. Czterdziestoletni ponury, nie-towarzyski Iranistańczyk, zarabiający jako najemnik na utrzymanie żony i gromadki dzieci, które bardzo kochał, chował dla nich wszystko do ostatniego miedziaka, nie wydając ani na wino, ani na kobiety. Zwłaszcza to ostatnie dziwiło jego towarzyszy, jako że po męczących pochodach trudno było powstrzymać się od odwiedzin Wesołego Kwartału. Khoraj ska strzała, która przeszła mu gardło, uczyniła żyjącą gdzieś na południu Iranistanu kobietę wdową, a jej dzieci sierotami...

Koń Conana został ranny - z jego ciała sterczało kilka drewnianych brzechw z czarno-żółtymi lotkami. Ale najwidoczniej khorajskie wystrzały okazały się niezbyt udane, a niosące Cymmerianina

-26-

zwierzę zbyt posłuszne i silne. Poganiany przez Conana koń dalej galopował ku białemu namiotowi.

W połowie drogi do obozu vagarańczyków zabito konia pod Shemitą Zafirem. Lekkiemu i gibkiemu Shemicie udało się w samą porę zręcznie zeskoczyć z padającego na bok wierzchowca, odtur-lać, żeby uniknąć przywalenia, i natychmiast przeturlać z powrotem, żeby schować się za

wierzgającym w agonii zwierzęciem. Zafir zdjął z ramienia łuk, położył przed sobą kołczan ze strzałami. Teraz pokaże khorajskim szakalom, jak strzela się z łuku na krótkie odległości. Ten mały semicki cwaniak zawsze wyróżniał się sprytem. Niemordowany babiarz, namiętny i przebiegły gracz w kości, kłamca z przekonania i utalentowany opowiadacz różnorodnych zabawnych historii, których znał niezliczoną mnogość, zakosztował wszystkich znanych ludzkości przestępczych profesji. Tę walkę na wzgórzu też pewnie opisze tak, że wszyscy będą się pokładać ze śmiechu. Pięć strzał, wypuszczonych przez Zafira, znalazło pięć swoich ofiar. Naciągał właśnie cięciwę z szóstą strzałą, gdy cały ten przepiękny świat nagle pograżył się w nieprzeniknionej ciemności. Mały Shemi-ta przewrócił się na plecy. Z jego prawego oka sterczała brzechwa z żółto-czarną lotką...

Do khorajskich wojowników nie udało się przedostać również Koryntianinowi Lauzorowi. Jego koń jakimś cudem uniknął śmierci od czarno-żółtych błyskawic, ale on sam został zwalony z siodła strzałą, która wbiła mu się w brzuch. Dobito go, gdy próbował pełznąć w stronę celu...

Pięć kroków dzieliło Conana od niewzruszonej ściany łuczników, gdy jego koń przenikliwie zarżał i stanął dęba, nie będąc w stanie dłużej znieść bólu. Obok tkwiących już w jego ciele strzał ciągle pojawiały się nowe. Conan trzymał się nadal w siodle, czekając, w którą stronę zacznie padać wierzchołek. Kopyta przednich nóg zaczęły zbliżać się do ziemi, Cymmerianin przygotował się i wtedy koń - oddany przyjaciel barbarzyńcy, już nieżywy, lecz jeszcze nie-martwy, wykonał ostatni przedśmiertny, potrzebny jego panu, skok naprzód. Odbijając się od końskiego grzbietu, Conan z obnażonym mieczem wylądował tuż przed nogami vagarańskich łuczników. Ci spróbowali cofnąć się choć o kilka kroków, żeby zyskać parę chwil potrzebnych do naciągnięcia łuków, ale szybki jak błyskawica czarnowłosego giganta nie dał im żadnej szansy. W bezpośrednim starciu on był panem sytuacji i łucznicy jeden po drugim wydawali przedśmiertne jęki.

-27-

Czwórka wojowników przedostała się do obozu vagarańczyków. Rozpoczęła się walka wręcz z wyborowymi łucznikami i uzbrojonymi w szable wojownikami, którzy aż do teraz czekali na swoją kolej, otaczając namiot. I teraz pospieszyli łucznikom na pomoc.

Jeden z czterech koni, które pokonały dzielącą zmagające się wojska odległość, padł martwy już wśród khorajskich szeregów. Turańczyk Aghmet, który spadł z grzbietu wierzchowca, zwałił się swoim ogromnym cielskiem na stojącego nieopodal wojownika Ha-szyda, jednocześnie przygniatając go do ziemi i wsadzając mu nóż w brzuch. Ale Aghmetowi nie udało się wstać: w ostatniej chwili vagarańczyk wyciągnął przed siebie kindżał, który wbił się jego wrogowi prosto w serce...

Conan przedzierał się ku namiotowi, pozostawiając za sobą okaleczone ciała. Krew pokrywająca go od stóp do głów, była nie tylko krwią Khorajczyków - on sam był również nieźle poharatany. Nie były to jednak rany, które mogły powstrzymać rozwścieczonego Cymmerianina.

Obok siebie Conan usłyszał, zagłuszający szcęk mieczy i wycie vagarańczyków, znajomy głos: - Mam was, khorajskie bydłota! Dzieci świń, jedzące gnój i popijające go moczem! Sługusy Haszyda, wodza potworów, syna oślicy! Słyszysz mnie, Haszydzie? Idę do ciebie!

Na pięknym zingarskim wierzchowcu przez szeregi wroga przedzierał się wysoki młodzieniec olśniewającej urody, z wykrzywioną złością twarzą. Zwalił go Pajtar, i był Khorajczykiem. Jego rodzinę, jedną z najbogatszych i najbardziej wpływowych w Vagaranie, wyrznięli nasłani przez Haszyda najemni zabójcy w rodowym pałacu. Ojciec Pajtara niezbyt lubił satrapę i zawsze, i wszędzie wyrażał się o nim pogardliwie. Haszyd czegoś takiego nie wybaczał. Pajtarowi i jego siostrze cudem udało się zbiec z ojcowskiego domu i wyjechać z miasta. Od tamtej pory młodzieniec miał tylko jedno pragnienie: się zemścić. Wyłącznie z tego powodu zaciągnął się do armii Barucha - aby stał jego miecza mogła chleptać krew znienawidzonych poddanych Haszyda. Z czaszki satrapy chciał zrobić sopluczkę.

- Z konia! - krzyknął Conan do Pajtara. - Zeskakuj! Pozostawanie w siodle w takim tłumie, gdy koń niemal stoi

w miejscu, jest wyjątkowo idiotyczne i niebezpieczne. Młodzieńcowi brakowało jednak wojennego doświadczenia, chociaż samozaparcia miał pod dostatkiem. Pajtar nie usłyszał swojego dziesiętnika. Z grzbietu swojego wierzchowca sypał na głowy vagarańczyków

-28-

razy i przekleństwa. Najpierw przepuścił cios szabli w nogę, potem w plecy, a potem rzucony przez kogoś kindżał wbił mu się w biodro. Pajtar wypuścił broń i wczepił się osłabłymi palcami w łęk siodła. Pozostała mu już tylko chwila życia, do następnego zamachu kho-rajskiej szabli. Obrzucił gasnącym spojrzeniem wszystko wokół, zobaczył Conana, żywego i zabijającego psów Haszyda jednego po drugim, uśmiechnął się i ostatkiem sił wykrzyknął:

- Conan! Zabij ich wszystkich! Zabij Haszyda! Za ojca...

Pajtar poczuł jak wchodzi w niego zimna stal i uchodzi życie...

Cymmerianin usłyszał młodzieńca i widział, jak ten umiera. Ale dziesiętnik armii Shemu nie widział i nie wiedział, że jednocześnie zginęło jeszcze dwóch jego wojowników: po górskiej ścieżce, tej samej, po której Cymmerianin przywiódł tu swój oddział, wkrótce po rozpoczęciu ataku wspiął się khorajski patrol - pięciu ludzi. Udało im się bezszelestnie zejść od tyłu Faruma i Jozufa - łuczników Conana. Śmierć spotkała ich nagle, nie zdążyli się nawet odwrócić. Zostało już tylko dwóch semickich wojowników...

Krępy brodacz w drogiej zbroi, najwyraźniej drugi po satrapie na tym skalnym gzymsie, coraz częściej spoglądał tam, gdzie Conan, górując nad większością vagarańskich żołnierzy, podnosił i opuszczał ciężki oburęczny miecz tak lekko, jakby był z drewna. Wojownik (a był to sam dowódca Sdemak) dowodził kontratakami swojego wojska w Zawodzącym Wąwozie i w odpowiedniej chwili powinien dać sygnalistom rozkaz zatrzaśnięcia podłych Semitów w pułapce - zaledwie ci zawrócą ku wyjściu z wąwozu, gonieni przez setki żołnierzy... Ale barbarzyńca-olbrzym i jego nieduży towarzysz odwracali uwagę Sdemaka. Oto między głównodowodzącym oddziałami Vagaranu i dwójką nieuchronnie zbliżających się przeciwników pozostało już tylko dwunastu khorajskich żołnierzy. Ale właśnie padło czterech z nich, a potem jeszcze trzech znalazło się na ziemi, odruchowo próbując zacisnąć dłonie na krwawiących śmiertelnych ranach.

Dwaj wrogowie byli coraz bliżej. Powoli - walcząc z obrońcami Haszyda, odnosząc rany i krwawiąc - ale się zbliżali. Ich cel był oczywisty - satrapa i on sam, Sdemak. Tylko śmierć dwóch dowódców armii Vagaranu mogła zniweczyć plan kontrataku i umożliwić Shemitom nie tylko odwrót z małymi stratami, ale również odniesienie zwycięstwa. Przecież bez rozkazów sygnalistów oddziały Haszyda ulegną dezorganizacji, przemienia się w tępą ludzką masę pozbawioną jednego wspólnego mózgu...

-29-

Pod potężnymi uderzeniami wrogich wojowników błyskawicznie zginęli wszyscy obrońcy Haszyda. Pomiedzy atakującymi i namiotem, w którym ukrywał się satrapa, pozostał już tylko głównodowodzący oddziałami Vagaranu.

Rycząc jak ranny zwierz, Sdemak wyciągnął szablę i rzucił się na przeciwnika. Sygnał do ataku zszedł na drugi plan. Teraz najważniejsze było uratowanie Haszyda.

- Odsuń się, dowódco! - zawołał ochryple stary, siwowłosy Bartos, jedyny z dziesiątki Conana, który pozostał jeszcze przy życiu i walczył z Cymmerianinem ramię w ramię. - Brodacz jest mój! A ty weź się za Haszyda!

Bartos, rodowity Zamoryjczyk, wojownik niemal od urodzenia, biorący udział w niezliczonej liczbie pochodów i bitew i przez cały czas pozostający prostym żołnierzem, uniósł nad głowę długi prosty miecz, ostry z jednej strony i pokryty przerażającymi szczerbami z drugiej, lewą ręką wyciągnął zza pasa kindżał i ruszył na Sdema-ka, zapominając natychmiast o istnieniu Conana. Gdy pytano go, dlaczego będąc tak doświadczonym wojownikiem, przez cały czas jest tylko zwykłym żołnierzem, Bartos nieodmiennie odpowiadał: „Jeśli armia zostanie pokonana, a dowódca pojmany, powieszają go. A jeśli nie trafi do niewoli, to i tak powieszają go swoi, za to, że przegrał bitwę. A po co mi to? Niee, już lepiej być zwykłym szeregowcem”!

Całe doświadczenie, cały swój kunszt prostego żołnierza Bartos włożył w tę walkę, walkę jeden na jednego. Zazgrzytały skrzyżowane miecze i Sdemak się zachwiał. Nigdy by się nie spodziewał, że w tym starym wojowniku drzemie siła olbrzyma. W tym momencie zupełnie zapomniał o bezbronnym sygnaliście, który zastygł na skraju skały. Sygnalista z przerażeniem obserwował bitwę i nie miał bladego pojęcia, kiedy należy dać sygnał do kontrataku... Dzięki temu resztkom wojsk Shemu udało się wydostać z doliny i przedrzeć na pustynię.

Dwaj przeciwnicy wymieniali się potężnymi ciosami; leciały iskry, krzesane uderzeniami stali o stal. W tym czasie Cymmerianin dobiegł do namiotu i szybko się obejrzał. Pięciu wrogich żołnierzy biegło od strony, gdzie pozostawił Faruma i Jozufa. Nikt im nie strzelał w plecy, a więc łucznicy również polegli. Czyli zostało już tylko ich dwóch: Conan i Bartos. Ale wagaranczyków również pozostało niewielu - brodacz, satrapa Haszyd i żołnierze z gwardii satrapy. Tych nie mogło być wielu - namiot był bardzo mały, więcej niż dwóch żołnierzy się w nim nie zmieści.

-30-

Biorąc zamach mieczem, przybysz z Północy rozpruł tkaninę kryjówki Haszy da od góry do dołu. Namiot opadł na ziemię, obnażając dwóch przestraszonych mężczyzn: samego Haszyda i jakiegoś wąsatego starca w czarnej szacie. Conan znowu się zamachnął.

Gdy głównodowodzący Sdemak zauważył, że gigant już jest w namiocie Haszyda, poczuł przypływ nowych sił. Na miecz Bartu-sa spadł miażdżący cios, a potem jeszcze jeden i jeszcze jeden... Stary wojownik nie wytrzymał. Po kolejnym uderzeniu Sdemaka upadł na plecy. Zdążył jednak wystawić przed siebie miecz, żeby sparować kolejny cios przeciwnika. Ostrze miecza Sdemaka zostało odbite, ale wagaranczyk nie wypuścił broni z rąk. Wykorzystując chwilę oddechu, Bartos zdołał unieść się na łokciu. Pozostała mu jeszcze jedna jedyna szansa, żeby nie zostać pokonanym. W powietrzu zaśnił miecz głównodowodzącego wojskami Haszyda i rąbiąc obojczyk, zatopił się głęboko w piersi Zamoryjczyka.

W mózgu Bartosa zapłonęło oślepiająco błękitne światło i świat wokół pociemniał. W ostatniej chwili wojownik zdążył wysunąć przed siebie zaciśnięty w lewej ręce kindżał i na jego cienkie ostrze nadział się nieosłonięty bok Sdemaka, który nie zdążył jeszcze wyciągnąć z ciała starego wojownika swojego miecza.

Czarownik Aj -Berek, osobisty doradca Haszyda, czekał do ostatniej chwili. Zawczasu przygotowane zaklęcie - na wypadek nieoczekiwanego napadu na władcę Vagaranu - było zbyt silne, żeby użyć go przeciwko garstce najemników: mogła przecież ucierpieć straż satrapy... Ale kto mógł przewidzieć, że tych kilku wojowników okaże się tak nierozsądnie bezczelnymi, żeby zaatakować obóz samego Haszyda, i takimi szczęściarzami, że niemal uda im się przeprowadzić swój plan?...

Dlatego czekał, aż runie ściana namiotu i dopiero wtedy wypowiedział kilka słów w zapomnianym starohyboryjskim języku, wyciągnął palec lewej ręki w stronę niebieskookiego giganta z rozwianą grzywą czarnogranatowych włosów, uzbrojonego w ciężki oburęczny miecz. Z kłykcia czarownika oderwała się wiązka fioletowego światła i uderzyła prosto w pierś atakującego.

Ledwo Conan zdążył machnąć mieczem nad głową bezbronnego człowieka w białym turbanie, gdy niewidoczna siła, która wyfrunęła z ręki starca w czerni, uderzyła w jego pierś.

Tysiące igiełek przeszło ciało Cymmerianina. Mięśnie zdrewniały, miecz wypadł z nieposłusznych palców. Oczy oslepiły, uszy ogłuchły... Conan zapadł się w Nicość.

-31-

Haszyd z niepokojem popatrzył na zastygłego jak posąg wroga.

- Nie obawiaj się, mój panie - usłyszał spokojny głos maga. -Zaklęcia Poranny Sen jeszcze nikomu nie udało się przełamać. Teraz możesz zrobić z tym dzikusiem, co tylko zechcesz.

W taki właśnie sposób Conan znalazł się w niewoli Haszyda, satrapy khorajskiego miasta Vagaran. I teraz spał w podziemiach jego pałacu. Spał i śnił.

V



Nigdy jeszcze arena Vagaranu nie widziała takiego tumultu -wszystkie miejsca na trybunach były zajęte, ludzie stali nawet w przejściach między kamiennymi ławami.

Jako jedni z ostatnich miejsca zajęli mężczyzna i kobieta... mimo że kobiet na widowiska nie wpuszczano - wejść mogli tylko mężczyźni.

Człowiek wpuszczający widzów i zbierający opłatę za wejście nie mógł ukryć zaskoczenia, gdy stanęło przed nim dwoje ludzi, wysokich, jednakowo ubranych w bezkształtne śnieżnobiałe szaty, z ukrytymi za śnieżnobiałą tkaniną twarzami, w których widać było tylko oczy.

- O! - wykrzyknął. - Widzę, że czasy rzeczywiście się zmieniają, jak głośzą uliczne wyroczone. Już nawet kapłani Niewiadomego zniżyli się do światowych uciech!

Po odzieży, po hieroglificznym napisie w jednym z języków znanych wyłącznie wąskiemu kręgowi wtajemniczonych, wyszytym czarną nicią na rękawach, po wiszących na szyi amuletach przedstawiających zatopione w przezroczystej smole ludzkie oko - po wszystkich tych znakach pilnujący wejścia człowiek rozpoznał w przybyłych kapłanów strasznego boga z dziwnego klasztoru, położonego u podnóża gór, na zachód od Vagaranu.

Ponieważ pracował tu od niedawna, nie wiedział, że kapłani odwiedzają każdą walkę gladiatorów, nie przepuszczając ani jednego krwawego przedstawienia.

Skąd przybyli założyciele tego klasztoru, rozmiarami i urządzeniem bardziej przypominającego nieduże i bardzo stare miasto-wa-rownię, dlaczego założyli go właśnie tutaj, jakiemu bogowi lub bogom oddawali cześć z rzadkim w naszych czasach zapamiętaniem -tego nikt nie wiedział.

-32-

Nikogo z postronnych nie wpuszczano do klasztoru, nikt nigdy nie widział twarzy białych kapłanów, pojawiających się w mieście około południa, tylko w słoneczne dni, nikt nie wiedział, co zmusza ich do szwendania się po mieście bez celu aż do zapadnięcia zmroku. O klasztorze i jego mieszkańcach krążyły różne, przeważnie przerażające, pogłoski. Satrapowie dziedziczący bądź siłą przejmujący tron, nie kontaktowali się z płacącym regularnie daninę klasztorom -lepiej nie zadzierać z siłami, o których nic się nie wie.

Pilnującego wejścia człowieka nie tylko zdziwiło pojawienie się kapłanów Niewiadomego (tak właśnie nazywano w mieście członków tajemniczego bractwa), ale również zakłopotano.

Nie może wpuszczać na trybuny kobiet, a jak tu się zorientować, jakiej płci są te istoty z okiem na sznurku? Może to w ogóle nie są ludzie? I chociaż ci tajemniczy kapłani z ich ohydnyimi amuletami przerażali go, poczucie obowiązku było silniejsze.

- Szanuję obyczaje różnych tam obcych bogów - powiedział starając się, aby jego głos brzmiał surowo i pewnie. - Ale jestem na służbie. Jeśli coś będzie nie tak, przegonią mnie. W najlepszym razie skończę jako żebrak. A więc, jeśli chcecie wejść na trybuny, musicie zdjąć chusty, albo... muszę się przekonać, że żadne z was nie jest kobietą.

Rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć, że on rad by inaczej, ale sami rozumiecie...

Z długiego, całkowicie zakrywającego dłoń, rękawa wysunęła się ręka jednego z kapłanów - na pierwszy rzut oka chyba jednak męska. Palce rozchyliły się. Bystre oko sługi naliczyło na niej dziesięć złotych monet, w tym dwie za wejście. Garść złotych krążków kusiła obietnicą tych wszystkich przyjemności, które można kupić za pieniądze. Teraz poczucie obowiązku toczyło w duszy posługacza walkę z chciwością. Nie trwała długo.

- Dobrze - człowiek rozejrzał się dookoła i dodał szeptem. -Nie będę ranił waszych uczuć religijnych. Idźcie. Tylko tego... W razie czego powiedzcie, że weszliście innym wejściem.

Dobrze?

Dwie monety z brzękiem wpadły do skórzanego mieszka, a osiem skryło się za pazuchą.

W ten sposób kobieta w szatach kapłana przeniknęła na trybuny. Teraz siedziała obok swojego towarzysza w identycznym białym chałacie i szeptała mu do ucha:

- Mówią, że ten człowiek spowodował, że ludzie znowu zaczęli się interesować walkami i to do tego stopnia, że podwojono opłatę za

3 - Conan i prorok ciemności

wstęp, widowiska odbywają się częściej, a ludzie wypełniają wszystkie miejsca. Mówią, że pewnego dnia rozprawił się na arenie z tuzinem czarnoskórych wojowników z Kushu, z których każdy uzbrojony był w tarczę i kopię. A wiem, że ci wojownicy w pojedynkę są w stanie pokonać tygrysy i lwy. Poza tym słyszałam, że podobno jest tutaj szach z Turami, który przywiózł ze sobą i dzisiaj wystawi do walki z tym przybyszem z Północy swojego najlepszego, dotąd nie pokonanego wojownika. Mówią, że tutejszy satrapa i ten szach postawili ogromne pieniądze, niemal majątek - każdy na swojego gladiatora. Czekam najego występ z niecierpliwością, Vellach.

Nazwany Vellachem odpowiedział krótko i zagadkowo:

- Czasem bardziej opłaca się przegrać cały majątek.
- Tak, tak... ale ja przez cały czas myślę, a może to właśnie on? Może właśnie dla niego my...  
Mężczyzna groźnie zasyczał i kobieta zamilkła.

Dżumał, turański szach, rzeczywiście był obecny na przedstawieniu. Jego miękkie, wypielęgnowane ciało rozpiętało się na jedwabnych poduszkach na tarasie Haszyda. Szach przebierał nanizane na sznur perły i tak samo jak siedzący obok władca Vagaranu, w napięciu czekał na rozpoczęcie widowiska. Obaj nie mieli najmniejszych wątpliwości, że wygra właśnie ich wojownik i dlatego byli wobec siebie uprzedzająco mili i serdeczni. Haszyd był przekonany, że zatriumfuje jego jeńca - przecież jeszcze nigdy nie przegrał, bez względu na liczbę przeciwników i ich umiejętności. Teraz niewolnik siedział w celi przylegającej do prowadzącego do wyjścia na arenę korytarza. Nie przygotowywano go do walki, tylko chroniono. Kilkunastu uzbrojonych strażników niemal nie patrzyło w stronę jeńca, siedzącego na taborecie pośrodku ciemnej celi bez okien, z opuszczonymi na kolana rękami i pustym, pozbawionym myśli i życia wzrokiem, utkwionym w kamienne płyty podłogi. Będzie tak siedział bez ruchu aż do chwili, gdy wywołają go na arenę.

Strat wiedziała o tym - już nie pierwszy tydzień oglądała podobną scenę. I dlatego strażnicy, mimo groźnej sławy gladiatora i jego potężnych rozmiarów, mimo jego wielokrotnych prób ucieczki z podziemi, skupili się w grupki, opowiadali sobie zabawne historie, śmiali się i żuli rodzynki, wypluwając pestki na podłogę. Niewolnik demonstrował swoją siłę i zręczność wyłącznie na piasku areny, w pozostałym czasie tylko spał, jadł i siedział tak jak teraz.

Mówiono, że poskromienie giganta nie obeszło się bez osobistego doradcy satrapy, czarownika Aj-Bereka.

Oczywiście, mówiono o tym szeptem... Teraz Aj-Berek znajdował się na tarasie Haszyda - stał za plecami władcy. Powiedzieć, że poskromienie tego niepokornego barbarzyńcy nie obeszło się bez jego pomocy, to nie powiedzieć niczego. Przecież właśnie nikt inny tylko on, Aj-Berek, okiełznał tego szalonego wojownika.

Na początku proponował torturowanie niebezpiecznego jeńca, ale Haszyd przekonał swojego maga. „Tak wspaniały dwunożny drapieznik - powiedział władca Vagaranu - został stworzony do zabijania. I skoro wpadł nam w ręce, szkoda go tak po prostu zniszczyć. Ten oto egzemplarz przyniesie sławę i pieniądze miastu swoimi walkami na arenie, mądry Aj-Bereku. Uspokój go za pomocą magii, uczyn tak, żeby ten nędzny niewolnik nie sprawiał nam więcej kłopotów, żeby nas radował. Jestem pewien, że nie będzie to dla ciebie trudne”.

Czarownik Aj-Berek pochylił się w pełnym szacunku pokłonie, wrócił do swojej wieży i wyciągnął ze skrytki, jednej z wielu w jego komnacie, małeńkie hebanowe pudełeczko. Zawierało niewidoczną nić z pajęczyny żółtego pająka z Wysp Baracha. Pajęczyna utkana przez pająka nie większego od paznokcia, ale najbardziej krwiożerczego ze wszystkich owadów na świecie, była mocna jak słynna karpaszyńska stal, a zauważyć ją mógł wyłącznie człowiek posiadający magiczne zdolności.

Wszyscy inni ludzie i zwierzęta wpadali w ostre jak brzytwa pajęczne sieci i zazwyczaj umierali z upływu krwi. I wtedy po gałązkach i listkach krzewu schodził maleńki owad, który potem długo, chciwie pił świeżą krew, pęczniąc i zmieniając kolor z żółtego na purpurowy.

Zwyczajni ludzie cieszyli się, że pajacek występuje tylko na Wyspach Baracha, czarnych magów natomiast to martwiło. Nic żółtego pajaka potrzebna była do wielu zaklęć i obrzędów, i czarownicy musieli płacić za nią ogromne sumy. Ale płacili każde pieniądze, bez dyskusji i bez targów.

Aj-Berek uzbroił się w diament, oszlifowany i obrobiony specjalnymi roztworami. Podniósł go do otwartego pudełka. Powiększając przedmioty, diament dawał możliwość zobaczenia malutkiego motka pajęczyny, z którego wystawał koniuszek. Za ten właśnie koniuszek czarownik chwycił miniaturowymi szczypczykami. Następnie wziął przygotowaną wcześniej igielkę i włożył pajęczną nitkę w ucho. Wypowiadając krótkie zaklęcie, wbił ostrze igły w palec. Przebił go na wylot, wprowadzając w ranę pajęczną nić.

-35-

Przywołał w mózgu obraz poskramianego niewolnika i wymówił jego imię- Conan, a potem jeszcze kilka słów, brzmiących jak zgrzyt szponów po metalu. Podczas wypowiedzenia ostatniego słowa pajęczyna, zmoczona krwią czarownika, skreśliła się jak włos nad płomieniem. To wszystko. Sprawa była załatwiona. Rozkaz został wykonany. Nędzny niewolnik i dzikus był teraz we władzy Aj-Bereka.

Gdy ucichł ostatni raniący uszy dźwięk zaklęcia i pajęczyna jakby się zwęgliła, Conan zerwał się ze sterty przegniłej słomy w ciemnicy, gdzie go trzymano. Serce przeszył mu nieoczekiwany, ostry ból. Podporządkowując się nieświadomemu uczuciu, podniósł głowę. Miał wrażenie, że z sufitu opuszcza się ogromna sieć, ciemniejsza niż panujące w celi ciemności. Wyrzucił przed siebie ręce i wtedy opadło na niego ciężkie, senne otępienie. Ostatnie, co zobaczył Cym-merianin, to jarzące się do bólu w oczach, lśniące sploty cieniutkich żółtych nici. A potem świat spowiły ciemności i Conan zapadł w sen. Sen pozbawiony przeblasków życia, sen poza czasem i przestrzenią. ..

Aj-Berek zdejmował z Conana zaklęcie tylko wtedy, gdy jeńca wypychano na arenę, wkładano mu do rąk jego własny miecz i zostawiano sam na sam z innym gladiatorem. Albo gladiatorami. I barbarzyńcy nie pozostawiało nic innego jak walka na śmierć i życie -w przeciwnym razie sen wywołany zaklęciem zamieniłby się w sen absolutny i wieczny. A gdy tylko walka się kończyła, Aj-Berek znowu przywracał czary. Mag mocno trzymał nić pajęczyny, w której uwiązał niepokorny niewolnik...

Gdy zasłona otępienia po raz pierwszy opadła z mózgu Conana, Cymmerianin zobaczył wokół siebie żółty piasek. Wydawałoby się, że dopiero co siedział oszołomiony w swoim podziemnym więzieniu, rozmyślając nad nową ucieczką, a tu nagle okazuje się, że ma na sobie strój bojowy, a w dłoni ściska rękojeść znajomego oburęcznego miecza. W uszy wbija mu się wycie tłumu. Unosząc głowę, barbarzyńca pojął, skąd ono pochodzi: amfiteatr, w którym odbywają się walki gladiatorów, wypełniony był ludźmi. I on, Conan, stał pośrodku areny.

Naprzeciwko siebie barbarzyńca zobaczył człowieka - jakieś cztery kroki od niego podskakiwał, wzbijając bosymi stopami piasek, jakby wykonując jakiś dziwny taniec, bardzo wysoki i bardzo chudy Murzyn, uzbrojony w długą, cienką kopię i drewnianą tarczę. Cymmerianin nie zdążył ani zdziwić się realnością, która tak nie-

-36-

oczekiwanie się pojawiła, ani zdać sobie sprawy z tego, co się z nim dzieje lub działo, ani nic sobie przypomnieć. Nie zdążył, bo Murzyn nagle wydał bojowy okrzyk i skoczył w jego stronę, jednocześnie ciskając w głowę Cymmerianinakopię.

Mięśnie i instynkt nie zawiodły Conana: ręka z mieczem jakby bez udziału jego woli wyskoczyła w górę i stalowe ostrze odbiło śmiertcionośny kościany grot kopii. Przeciwnik, któremu nie udało się pokonać wroga niespodziewanym atakiem, natychmiast się cofnął na poprzednią odległość i zaczął krążyć wokół barbarzyńcy. Nogi czarnego człowieka kontynuowały swój dziwny taniec, a jego chude i giętkie ciało poddawało się niesłyszalnemu rytmowi. Cymmerianin pojął, że nie wiadomo

jak zrobiono z niego gladiatora, i że został skazany na walkę aż do śmierci jednego z nich... Odrzucił rozmyślenia na potem, skupiając całą uwagę na przeciwniku i koncentrując się tylko na tym, żeby przeżyć.

Czarnoskóry kontynuował krążenie i taniec, a Conan, zwracając się ku niemu twarzą, czekał. Murzyn nie spieszył się z ponownym atakiem - najwidoczniej zorientował się, że ma przed sobą nie zwykłą górę mięśni, ale doświadczonego i niebezpiecznego wojownika. Do Cymmerianina dobiegły gniewne okrzyki z trybun - zebrani żądali walki, a tchórzliwi niewolnicy bali się nawet do siebie zbliżyć! Barbarzyńca mimo woli uśmiechnął się: ci tłuści, znudzeni łajdacy, gapiący się na nich, teraz oczywiście uważają się za niesłuchanie odważnych, ale gdyby zawlec ich na arenę, natychmiast narobili by w spodnie i padli na kolana, błagając o litość!

Czarnoskóry zadał fałszywy cios, mając nadzieję, że błękitnooki olbrzym znowu zrobi zamach mieczem i wtedy będzie można wsadzić mu kopię w odsłonięty brzuch. Conan nie dał się na to złapać - był zbyt doświadczonym wojownikiem. Po ustawieniu swojego przymusowego wroga, po niewystarczającym napięciu mięśni jego rąk i brzucha, Cymmerianin odgadł, że nastąpi fałszywe uderzenie i nie drgnęła ani jedna komórka jego ciała. Po twarzy mieszkańca dalekiego gorącego kraju przemknęło wyraźne rozczarowanie. Murzyn znowu zaczął krążyć i tańczyć, obmyślając nowy podstęp.

„A teraz zobaczymy, czy ty dasz się złapać na mój haczyk” - pomyślał Conan. W ślad za tą myślą obiema rękami wznosił wysoko nad głową swój miecz i wydając wojenny okrzyk, ruszył na wroga. Widząc, że tułów przeciwnika jest odsłonięty, czarnoskóry wojownik nie mógł się oprzeć pokusie i rzucił kopią. Właśnie na to czekał Conan. Gdy czarna ręka cofnęła kopię, szykując się do rzutu, barba-

-37-

rzyńca skupił się, a gdy wyleciała do przodu, padł na ziemię. Zakończone kościanym, poszczerbionym grotem drzewce zaświstało w powietrzu i wbiło się w piasek. Conan przeturlał się po arenie, znalazł się niemal u nóg zaskoczonych przeciwnika i podciął te nogi uderzeniem miecza płazem.

Murzyn stracił równowagę i upadł na kolana. Na jego piersi oparło się ostrze miecza barbarzyńcy-olbrzyma, który zdążył już się podnieść.

Chociaż trybuny żądały śmierci pokonanego gladiatora, Conan nie miał zamiaru zabijać nieznanego czarnoskórego, który jako wojownik zasługiwał na szacunek. Cymmerianin chciał szybko odsunąć ostrze od piersi pokonanego przeciwnika, gdy ten nagle schwycił je obiema rękami, przysunął do szyi i gwałtownym ruchem nadział się na ostrą stal. Barbarzyńca nie zdążył wyrwać miecza. Z gardła czarnoskórego na żółty piasek trysnęła silnym strumieniem jasnoczerwona krew.

Zwycięzca popatrzył w oczy zwyciężonego, z których uchodziło życie. Nie było w nich ani strachu, ani nienawiści, tylko bezbrzeżny smutek...

Conan odwrócił się. A więc dla czarnoskórego śmierć była wybawieniem. Co to za miejsce, gdzie wojownik woli samobójstwo od możliwości przeżycia, choćby za cenę przegranej? Szybko rozejrzał się wokół siebie w poszukiwaniu odpowiedzi i jednocześnie dróg do wolności...

Ale nie zdążył o niczym pomyśleć ani nic więcej zrobić - świat pokryty oślepiające sploty, przypominające pajęczynę i Cymmerianin pograżył się w grząskiej, pozbawionej nadziei, sennej nicości.

Później były tylko walki i pustka. Krwawe pojedynki na arenie, pajęczy rozbłysk przed oczami i znowu tajemnicze odurzenie, z którego nie sposób wyrwać się siłą woli. A jak można inaczej walczyć z zaklęciami - nie wiedział.

Co prawda, nie pogodzonemu ze zniewoleniem rozumowi czasami, na kilka chwil, udawało się wyzwolić spod działania przeklętych czarów. Wtedy przed oczami pojawiała się ciągle ta sama pajęczyna. Zdarzało się, że powstawała w niej dziura, przez którą na sekundę przenikała realność,

ale niemal natychmiast jaskrawe nici znowu się łączyły i łątały przerwana sieć. I znowu przychodził sen. Tylko w czasie walk, pod gwizdami i pokrzykiwaniem przepelnio-

-38-  
nych trybun, jego mózg uwalniał się z zaklęcia, wracała dawna siła i zręczność, wzrok i słuch działały bez zarzutu, instynkt i doświadczenie nie odmawiały posłuszeństwa. I dlatego na razie zwyciężał w walkach gladiatorów... A przecież już od dawna wystawiano przeciwko niemu więcej niż jednego przeciwnika- poprzednie pojedynki były zbyt krótkie, za mało krwawe, i co za tym idzie, za mało interesujące dla publiczności.

Pewnego dnia Conan musiał walczyć z osiemnastoma mężczyznami, uzbrojonymi w widły i topory, synami nie znanego mu niskiego plemienia. Wojownicy byli z nich beznadziejni, ale rozpaczliwie odważni, i dla nich, tak jak dla niego, śmierć z bronią w ręku była tylko przejściem do innego świata, gdzie takich jak oni wita się jak bohaterów. I brodacze walczyli do ostatka, nawet gdy krew obficie tryskała ze śmiertelnych ran... Z takimi wojownikami chciało się walczyć ramię w ramię, a nie przeciwko nim. Conan pokonał ich wszystkich, lecz po zakończonej walce jego ciało również pokryte było licznymi krwawiącymi ranami.

Jednakże, gdy po raz kolejny wyrwał się z otepiałego snu i znowu zobaczył, że stoi na arenie, Cymmerianin zauważył na swoim ciele tylko blizny dawno zagojonych ran. Nie czuł ani słabości, ani bólu, ani zmęczenia. Wszystko to tylko potwierdziło jego domysły -jest w sieciach magii. „Zabiję wszystkich magów, jacy staną na mojej drodze. Czarnych, białych, kolorowych. Wybiję wszystkich, do ostatniego!" - myślał z zajądłością barbarzyńca w rzadkich chwilach świadomości. Ale żeby to zrealizować, Conan musiał - bagatela! - wyzwolić się z czarów, które ciągle i na nowo pogrążały jego mózg w nicości...

Haszyd nie miał wątpliwości -jego gladiator zwycięży.

VI

W innym pomieszczeniu, obok celi, w której nieruchomo siedział Conan, do wyjścia na arenę szykował się Amin, przeciwnik Cymmerianina, osobisty ochroniarz turańskiego szacha. A raczej jego szykowano.

Rozebrany, leżał na za wąskiej dla niego drewnianej pryczy, a kilkanaście niewolnic o silnych rękach masowało jego ciało, wcierając w skórę maź, sporządzoną z jadu żmii, czarnego lotosu i kilkunastu

-39-

innych rzadkich i drogich ziół. Bajecznie drogi specyfik wart był wydanych nań pieniędzy: dzięki niemu mięśnie stawały się bardziej elastyczne, wytrzymałe i odporne na ból. Posmarowane nim ciało poruszało się niewiarygodnie lekko - człowiek niemal przestawał odczuwać jego ciężar...

Dla Amina podobne zabiegi były zbędną rozrzutnością. Nawet ich pozbawiony i tak nie miał sobie równych pod względem siły, szybkości i umiejętności posługiwania się dowolną bronią...

Zresztą, nie potrzebował nawet broni. Mógł walczyć z uzbrojonym przeciwnikiem gołymi rękami i pokonać go. Niewielu z uważających się za prawdziwych wojowników mogłoby go zranić -jego ciało chroniła mocna i gruba, jak pancerz żółwia, skóra, a mięśnie wydawały się być wzmocnione metalowymi niciami. Ci, którzy nazywali mięśnie Amina stalowymi, mieli sporo racji.

Tak jak i satrapa Vagaranu, turański szach był w doskonałym nastroju. Już zastanawiał się, co zrobi ze swoją wygraną- górą złota o wadze równej ciężarowi wielbłąda wraz z uprzężą. Przecież jego osobisty ochroniarz, najlepszy na świecie wojownik, nie mógł przegrać z nikim..., a przynajmniej z żadnym z ludzi. Dlaczego? - o tym wiedział tylko szach. Tylko on wiedział, kim tak naprawdę jest jego wierny stróż, jego nieodłączny cień, wojownik Amin.

Nawet sam Amin nie wiedział, że jest rodzonym synem szacha Dżumala.

Szach chciał mieć potomka. Ale jego żony i nałożnice wydawały na świat dziewczynki. I nie pomagały rady lekarzy i magów. Lecznicze mikstury, maści i zaklęcia nie przynosiły efektu - liczba córek szacha rosła z roku na rok. Szachowi potrzebny był już nie tyle następca tronu, ile

kontynuator rodu i przekonanie, że sam Dżumal -prawdziwy mężczyzna, jest zdolny do poczęcia takiego właśnie prawdziwego mężczyzny.

Pewnego dnia nadworny mag, starzec Jorchi, służący jeszcze ojcu i dziadowi szacha, poprosił o rozmowę w cztery oczy. Po zapewnieniach miłości i szacunku, Jorchi zaczął mówić o tym, co przywiodło go tego dnia do komnat władcy.

- Wszchemogący, wybacź moją niewybaczalną szczerłość i bezpośredniość. Służyłem wiernie twojemu ojcu. Jestem twoim oddanym niewolnikiem. Całe moje tak długie życie i całą moją skromną sztukę poświęciłem twojemu rodowi. Znam cię od niemowlęcia, tak jak znałem twojego ojca. Z woli bogów i twojej łaski znam tajemnice twoich narodzin, twojego życia i twoich chorób. Długie lata sta-

-40-

rałem się poznać praprzyczynę twojego niepokoju, okrywającego mrokiem twoje panowanie i twoją szczęśliwą drogę życia. Niestety, nie udało mi się jej poznać, jako że wszystko, co bogowie chcą ukryć przed ludzkimi oczami, pozostaje ich tajemnicą. Ale dowiedziałem się, panie, jak pomóc ci osiągnąć to, co z niewiadomych przyczyn było ci do tej pory niedostępne. Poznałem ten jedyny sposób, który zdoła pokonać czarne przekleństwo ciążyące nad tobą. Będiesz mógł zostać ojcem dziecka płci męskiej... Prawda... Starzec zawahał się, spuścił w dół oczy.

- Mów, Jorchi! Mów! - wino wylało się ze ściskanego przez szacha srebrnego pucharu.

I mag Jorchi opowiedział o tym, co wyczytał w starych manuskryptach, wywnioskował z rozmów z innymi magami, dowiedział się podczas obcowania z pozaziemskimi siłami.

Aby przewyciężyć ciążyące na szachu zaklęcie, trzeba połączyć się z siłami świata niewidzialnego. I we krwi dziecka płynąć będzie wtedy krew ojca i krew niewiadomych istot, niewidocznie wpływających na ludzkie losy... Innymi słowy, demonów.

- Oprócz tego - dodał Jorchi - żaden z ludzi nigdy nie może się dowiedzieć, że to twój syn. Nawet on sam nie może wiedzieć, kto jest jego ojcem. Wszyscy, którzy będą znać tajemnicę tych narodzin, muszą umrzeć. Ja, jeśli zezwolisz mojej panie, gdy zrobię to, co zrobić muszę, sam zadam sobie śmierć. Uwierź mi, panie, że tylko w taki sposób możesz się stać ojcem mężczyzny. To wszystko.

- Jorchi - powiedział szach po długiej pauzie - możesz odejść. Przyjdź jutro o tej samej porze. Muszę się zastanowić.

Szach spędził na rozmyślaniach cały dzień i bezseną noc. Myśl o spokrewnieniu się z ciemnymi mocami była przerażająca. Ale pragnienie splodzenia syna było silniejsze.

- Zgadza się - oświadczył starcowi następnego dnia. - Co trzeba zrobić, Jorchi?

Przyszłą matkę Jorchi znalazł w dzielnicy biedaków. Młodą, wspaniale zbudowaną córkę wielodzietnego handlarza wodą starzec zauważył podczas jednej ze swoich wielogodzinnych wędrówek po zakurzonych ulicach. „Pasuje” - zdecydował nadworny mag, gdy zobaczył dziewczynę wychodzącą z ojcowskiego domu.

Następnego dnia porwano ją, gdy wracała do domu z chlebem. Dwóch porywaczy, wojowników z osobistej straży szacha, trzymało

-41-

biedną młodą Turankę aż do nadejścia nocy w brudnej norze na peryferiach miasta. Nocą przywieziono ją starcowi.

Dziewczynę zamknięto w podziemiach, w jednym z pokojów, w których starzec spędzał dni i lata na swoich magicznych poszukiwaniach. Po wypiciu wina, przyniesionego przez nadwornego maga, rzekomej nagrody za wierną służbę, wojownicy-porywacze umarli -w kilka chwil po osuszeniu kubków.

Do tej podziemnej komnaty, urządzonej z wyjątkowym przepychem, nie mógł trafić nikt, nawet przypadkiem. Oczywiście, oprócz samego szacha i jego maga. W wyznaczoną przez starca noc do komnaty wszedł Dżumal, żeby dokonać tajemniczego obrzędu, na który czekał i którego się bał.

Niewolnica, leżąc na niskim łożu, zerwała się, widząc władcę i pochyliła się w pełnym szacunku pokłonie. Początkowo się przestraszyła, zaskoczona, ale po chwili wszystko zrozumiała. Tak, poszcęściło się jej, zdarzyło to, o czym marzyła każda dziewczyna z biednej rodziny - spodobała się szachowi i teraz on uczyni ją swoją nałożnicą. A więc już nigdy nie będzie głodna, nie będzie musiała pracować, dostanie piękne i bogate stroje. Szach przysiadł na malutkiej kanapce i stamtąd w milczeniu przyglądał się stojącej obok ich małżeńskiego łoża wybrance Jorchi - dziewczynie o przyjemnej, lecz przeciętnej twarzy i pięknym ciele.

Otworzyły się drzwi - w progu pojawił się starzec z tacą w ręku. Na tacy stał srebrny dzbanek z długim, ślicznie wygiętym dzióbkiem i szeroki srebrny kielich. Podchodząc do dziewczyny, ostrożnie nalał ciemnoczerwonego gęstego płynu do kielicha i powiedział:

- Wypij.

Ta pytająco spojrzała na szacha.

- Pij - polecił szach.

Młoda Turanka wzięła kielich i podniosła do ust.

Puste naczynie wypadło z jej osłabłych rąk i potoczyło się po dywanie. Dziewczyna osunęła się na brzeg łoża, a potem nie będąc w stanie walczyć ze słabnącym ciałem, runęła na pościel z najcieńszego nemedyskiego jedwabiu. Starzec Jorchi już rysował węglem na ścianach komnaty dziwaczne pentagramy. Płonący ogień zaczął przygasać. Komnata zatoneła w półmroku. Jorchi odwrócił się do szacha.

- Mój panie, weź tę czarną opaskę i zawiąż ją sobie na oczach. Lepiej, żebyś nic nie widział. Weź te zatyczki i włóż w uszy. Lepiej, żebyś niczego nie słyszał. Idź do niej. Czyn swoją męską powinność. A ja zajmę się moją.

-42-

Szach, władca jednej z potężnych prowincji ogromnego państwa, słuchał teraz swojego poddanego, tak jak dziecko słucha ojca. Podszedł do leżącej bez zmysłów nałożnicy. Rozebrał ją i sam także się rozebrał. Zatkaną, jak kazał mu Jorchi, uszy zatyczkami z miękkiej materii. Zanim zawiązał oczy, obejrzał się. Starzec siedział na dywanie ze skrzyżowanymi nogami, przed nim leżał ogromny foliał, nad pożółkłymi stronicami unosiła się mgiełka. Czarna jak bezksiężycowa noc księga traciła kształt, jakby próbowała rozpląnąć się po dywanie. Szachowi wydawało się nawet, że pokrywające stronicę pismo zmienia się w czerwie i pajaki, które rozpełzają się, rozbiegają po kątach. Szach pospiesznie zasłonił oczy czarną opaską.

Dotykał nieruchomego kobiecego ciała, próbując się podniecić... Nagle, pomimo zatyczek, jego uszy uловиły narastający huk, jakby potworna fala przyływu szła na niego, znosząc wszystko, co napotka na swojej drodze. Do zbliżającego się szumu dołączył jeszcze złowieszczy syk - syk tysiąca zmij, jednocześnie rozwierających swoje paszcze.

I szach poczuł, że już nie należy do siebie. Coś z zewnątrz wpełzało w jego ciało, w jego duszę i rozum. Wbijało się igłami w kręgosłup, pruć skórę tępymi ostrzami, wrzącym ołowiem wlewało się do żył, drapieżnymi zębami rozrywało wnętrze. Czując ból nie do wytrzymania szach zawył i...

I natychmiast umilkł. Ból zniknął tak samo nieoczekiwanie, jak się pojawił. Zrobiło mu się lekko i przyjemnie, wręcz upojnie. Czuł niesamowity przyływ sił. Wydawało mu się, że teraz jednym ruchem małego palca może przesunąć góry, lekkim skinieniem głowy zniszczyć wielotysięczną nieprzyjacielską armię.

Szach zerwał z głowy opaskę, odrzucił ją na bok. Zobaczywszy przed sobą nagą dziewczynę, zaryczał jak tygrys na widok swojej ofiary i rzucił się na jej bezbronne ciało z zapamiętaniem żołnierza, który rok nie widział kobiety. Dżumał gwałcił ją, gwałcił zajadle, w dzikim szale. Przed jego oczami krążyły białobłękitne wichry, przesłaniające cały świat, nabierające zawrotnej prędkości i wirujące coraz szybciej. Słyszał, jak z jego gardła wyrывa się to dziki ryk triumfu, to szalony śmiech, i te rodzące się w nim dźwięki upajały go jeszcze bardziej. Szach odczuwał narzędzie swojej namiętności jak rozpalony do czerwoności metalowy pręt, wbijający się w pełne

bijących żarem węgla palenisko. I z całej duszy pragnął, żeby stało się jeszcze bardziej gorąco, żeby wszystko wokół zmieniło się w piekło i jeszcze, i jeszcze, i jeszcze...

-43-

Świat wybuchł i rozleciał się na kawałki, gdy tak jak lawa z szalejącego wulkanu trysnęło z niego nasienie. I wraz z ostatnią jego kroplą zapadły ciemności. Szach stracił przytomność.

Dżumal otworzył oczy. Sił starczyło mu tylko na to, żeby lekko odwrócić głowę. Leżał na pogniecionych prześcieradłach obok nałożnicy, którą posiadał, i której imienia nie znał. Kobieta cicho jęczała, ale jeszcze nie doszła do siebie, nie odzyskała przytomności. Na jej twarzy, szyi, obnażonych piersiach widać było mnóstwo ogromnych siniaków - ślady nieludzkiej namiętności. Nad Dżumalem nachyliła się pomarszczona siwobroda twarz.

- Panie - powiedział cicho Jorchi. - Zapamiętaj, co ci powiem, albowiem uszy twoje, które słuchać powinny wyłącznie najwspanialszych przemów, moich słów więcej nie usłyszą. Teraz wyjdiesz z tych komnat i zamkniesz je. Wrócisz tu po sześciu miesiącach i sześciu dniach. O północy.

Weźmiesz syna. Wyjdiesz na północne wrota. Straż będzie spać. Położysz dziecko po zewnętrznej stronie wrót i odejdziesz. Po godzinie zaczniesz obchód wart i znajdziesz podrzutka. Rozkażesz wziąć go do pałacu na wychowanie i oddać mam-kom. A potem rozkażesz zamurować wejście do tych komnat... Żeby nie wywołać podejrzeń u pałacowych intrygantów - dlatego to wielki szach osobiście robi obchód wart - od jutra zaczniesz sprawdzać pałacowe posterunki straży razem z dowódcą. Syna nazwij Amin. I zapamiętaj - nigdy nie może usłyszeć od ciebie słowa „syn”; nigdy i nikomu nie możesz powiedzieć, kim on jest... Żegnaj, panie mój. Moja służba u ciebie dobiega końca. Oprzyj się na mnie.

Jorchi pomógł władcy podnieść się z łoża, narzucił mu na ramiona chałat, zaprowadził ledwo ruszającego się, nie będącego w stanie wykrztusić słowa Dżumala do drzwi. Gdy tylko szach przestąpił próg, starzec włożył mu do ręki klucze i zatrasnął drzwi.

Dżumal zrobił wszystko zgodnie ze wskazówkami Jorchi. Po sześciu miesiącach i sześciu dniach, o północy, podszedł, starając się przezwyciężyć strach, do oblepionych pajęczyną drzwi. Otworzył. Wszedł. W skąpym świetle tłącego się gdzieś pod sklepieniem kaganka zobaczył koszyk - coś się w nim ruszało.

Szach złapał za plecioną rączkę i wyniósł koszyk na korytarz. Postawił pod zamocowaną na ścianie pochodnię. Nachylił się. „Oto

44

mój syn... - szach spojrział na zwykłego, tylko nienaturalnie dużego noworodka płci męskiej, który w ponurym milczeniu wiercił się w pieluszkach. - Dziecko, które zrodziła kobieta zapłodniona przeze mnie. Ciało z mojego ciała, krew z mojej krwi".

Patrzył na nie obojętnie, nie czuł żadnych ojcowskich uczuć. Może dlatego, że w poczęciu i narodzinach miały swój udział ciemne moce? Może nie powinien tego robić? Teraz było za późno, żeby się nad tym zastanawiać.

Nie było potrzeby wchodzenia do komnat starca, ale Dżumala zżerała ciekawość. Świeżo upieczony ojciec wyjął łuczywo i jeszcze raz przestąpił próg komnaty. Płomień oświetlił niewielki przedpokój, skądjedne drzwi prowadziły do laboratorium Jorchi, a drugie - do komnaty, gdzie posiadał kobietę, która ofiarowała mu syna. Szach pchnął te drzwi i wszedł, rozganiając ciemności pochodnią. Stopa w safianowym pantoflu stąpiła w coś lepkiego, mokrego. Nachylił się i natychmiast go cofnęło. Krew! Ręka podniosła pochodnię wysoko nad głowę.

Wszystko w tej komnacie tonęło we krwi - ściany, podłoga, sufit, wszystko było zbryzgane świeżą, nie wiadomo dlaczego przez tak długi czas nie zakrzepłą krwią. Wszędzie wałały się ludzkie członki, żadnej części ciała nie można było rozpoznać: niepowstrzymana siła nie tylko rozerwała, rozdarła ludzi na małe kawałki, ale przeżuła je, pogryzła...

Dżumal miał szczęście, że nie był człowiekiem szczególnie wrażliwym. Na jego miejscu każdy inny przeżyłby szok, stracił przytomność, zwymiotowałby. A szach, ciągle tak samo opanowany, porzucił scenę krwawej uczt. Wszedł na korytarz i na zawsze zatrasnął drzwi do komnat Jorchi.



„Ech, te Dzieci Nocy - pomyślał. - Niepotrzebnie się z nimi wiązałem”.

To był pierwszy i ostatni raz, gdy szach pożałował, że wszedł w kontakty, a nawet pokrewieństwo, z mocami Mroku.

W koszyku zapłakało dziecko - zmoczyło pieluchę tak samo, jak robią to wszystkie dzieci na świecie.

.. Amin wyrastał w wielodzietnej rodzinie pierwszego nadwornego doradcy szacha do spraw handlu, który mieszkał z całą rodziną w pałacu. Amin niczym nie różnił się od swoich rówieśników, co najwyżej wysokim wzrostem i muskulaturą. Pewnego dnia ba-

-45-

wiać się z jednym z synów doradcy - walczyli drewnianymi mieczami - zadał cios, z pozoru nieszkodliwym, tępym drewnianym „ostrzem” w brzuch chłopca z taką siłą, że wepchnął je aż po rękojeść i okrwawiony miecz przebił ciało nieszczęsnego chłopca na wylot. Biedak umarł, a winowajca zupełnie się tym nie przejął. Szach osobiście zajął się tą sprawą i przekonał doradcę, że Amin nie jest niczemu winien, gdyż nie zdaje sobie jeszcze sprawy ze swojej siły i nie umie nad nią panować. Doradca za swoją stratę otrzymał od Dżumala szczodre wynagrodzenie w złocie, Amina zaś umieszczono w osobnym pokoju obok koszar pałacowej ochrony. Opiekę nad nim poruczono kapitanowi Ratarchowi - dowódcy straży. Od tej pory każdy dzień chłopiec spędzał na specjalnym podwórku, gdzie strażnicy doskonalili się we władaniu różnego typu bronią, w walce wręcz, albo po prostu ćwiczyli mięśnie. Dwunastoletni Amin ćwiczył z dziwną zawziętością. Poza bronią i własną siłą niczym innym się nie interesował.

Minęło pół roku. Siwowłosey kapitan Ratarch zjawił się u szacha i nie kryjąc zdziwienia powiedział, że jego trzynastoletni wychowanek pokonuje w ćwiczebnych walkach każdego z jego żołnierzy, bez względu na rodzaj broni, którą walczą i każdego rozkłada na łopatki w walce wręcz. „Nawet mnie” - dodał Ratarch i było widać, że to wyznanie nie przyszło mu lekko.

Szach poszedł popatrzeć na zadziwiające dziecko i nie poznał tego, który był jego synem i którego nie widział już prawie pół roku. Amin podrosł jeszcze o głowę, rozrósł się barach, zmężniał.

Wyglądał na co najmniej osiemnaście, a może nawet dwadzieścia lat.

- Tego dzieciaka spokojnie można włączyć do straży - powiedział kapitan. Dżumal pomyślał: „A dlaczego by nie?” i mianował Amina jednym ze swoich ochroniarzy.

Minęły dwa miesiące. Na szacha próbowano dokonać zamachu.

Podczas audiencji w pałacu, zabójca, który przeniknął w przebraniu cudzoziemskiego kupca, z odległości pięciu kroków rzucił w Dżumala zatrutym kindżałem. Żaden ze strażników szacha nie zdążył nawet drgnąć. Żaden - oprócz Amina, który nie wiadomo jak zdołał podstawić pod lecący kindżał swoją pierś. Mało tego, z kindżałem sterczącym z ciała tuż obok serca, rzucił się na zabójcę. Ten próbował zabić się dokładnie taką samą bronią, wyjętą z szerokiego rękawa kupieckiej szaty, ale nie udało mu się. Amin złapał fanatyka za rękę. Na pokrytą mozaiką posadzkę brzęknęła zatruta stal i ... Chłopiec o wyglądzie mężczyzny sam zabił fałszywego kupca - po-

-46-

teżnymi rękami, jakby od niechcienia, skrzył mu kark. W ciszy, jaka zapanowała, dał się słyszeć chrzęst łamanego kręgosłupa. Dopiero po tym wszystkim odważny strażnik padł, przykrywając ciałem trupa wroga.

Amin nie umarł w wyniku utraty krwi, wewnętrznych obrażeń czy trucizny, ale już następnego dnia stał obok szacha, gotów chronić jego życie. Stał tak, jak stać miał od tej pory już zawsze - przed wszystkimi strażnikami.

Wkrótce dla całego turańskiego dworu, a co za tym idzie, również dla namiestników imperatora we wszystkich prowincjach, nastały czarne dni. Intrygi i knowania, organizowane przede wszystkim przez państwa rywalizujące z Turanem o panowanie na zachodzie, wstrząsały krajem.

W ciągu trzech lat jedenaście razy nastawano na życie Dżumala. Próbowano go zabić i z bliska, i ze znacznej odległości. Ale dzięki instynktowi, błyskawicznej orientacji i odwadze młodego strażnika skończyło się tylko na próbach. Amin zasłaniał sobą szacha, wybijał mu z ręki kielich z

zatrutym winem, walczył z zabójcami bez względu na ich liczbę, odbijał wypuszczone z dalekich kryjówek strzały, zgadywał przestępcze zamiary, wpijając swoje przenikliwe spojrzenie w przybliżających się do szacha, i tym samym wywołując u niektórych zdenerwowanie, co nieodmiennie ich zdradzało. Jeśli zdarzało się, że Amin był ranny, to wszystkie rany goiły się w ciągu jednego dnia. Młody strażnik stał się nieodłącznym cieniem władcy jednej z prowincji ogromnego kraju, towarzyszył mu zawsze i wszędzie, spał nie dalej niż dwadzieścia kroków od swojego pana. Zyskując takiego strażnika, szach nie tylko zachował władzę, ale i przeraził swoich wrogów, zmuszając ich do rezygnacji z walki i wybrania drogi negocjacji i kompromisów. Skończyły się zamachy i rodzące je intrygi, spiski i knowania cudzoziemców. Szach odzyskał spokój.

Amin miał tylko jedną wadę. Raz do roku, nie częściej, budziło się w nim pragnienie zabijania. Musiał przelać ludzką krew. I jeśli służba ochroniarza nie dawała mu takiej możliwości, to nagromadzony głód krwi musiał znaleźć inne ujście. I znajdował je. Ślepa i okrutna wściekłość spadała na pierwszego człowieka, który akurat był w pobliżu. Szach nauczył się rozpoznawać zbliżanie się takiego stanu u swojego syna i stróża: w takich przypadkach czerwone plamki w źrenicach Amina rosły, wypełniając sobaniemal całe gałki oczne, dłoń nie wypuszczała styliska siekiery, ciałem wstrząsał dreszcz. I szach wymyślił, co w takich przypadkach robić. Jak tylko zauwa-

-47-

zył u Amina narastające pobudzenie, władca Turanu wypuszczał syna na gladiatorską arenę - nie obawiając się o jego życie. I Amin nie ginął. Przeciwnie, jakby od niechcenia pokonywał wszystkich przeciwników. Zew krwi ucichał i dawał znać o sobie dopiero za rok.

Dżumal nie wiedział i nie mógł wiedzieć, jakie sny nawiedzają co noc jego syna. Sny, które sam Amin zapominał zaraz po przebudzeniu. Budził się z uczuciem niezrozumiałej, zacieklej nienawiści do całego rodzaju ludzkiego. Co prawda, jednego człowieka na ziemi ta nienawiść nie dotyczyła: szacha. Amin czuł święty obowiązek kochać go, bronić, poświęcać się bez reszty służeniu mu i, jeśli zajdzie taka potrzeba, umrzeć za niego.

Pomimo sennych majaków Amin spał czujnie. Każdy szmer, ruch powietrza, każda zmiana otoczenia sprawiały, że zrywał się na równe nogi z siekierą w pogotowiu. Wówczas sny, niezrozumiałe, zagadkowe, ohydne przepadały bez śladu.

Śpiący mózg Amina rodził krajobrazy, przypominające ziemię, ale jednak różniące się od tego, do czego chłopak przywykł. We śnie widział szarą, lśniąca równinę, porośniętą rzadkimi kępami skręconej trawy, upstrzoną pęknięciami jak skóra bawołu zmarszczkami. Z ziemi raz po raz wyrwywają się fontanny czarnego błota, ochlapując wszystko dookoła; gigantyczne głazy o dziwacznych kształtach, jakby wyrąbane ręką szaleńca porozrzucane są wszędzie, a ponad tym wszystkim, w górze, płynie nieznośnie pomarańczowy dysk słońca.

Po równinie idą oddziały wojowników w zbrojach z brązu. Na głowach mają hełmy - taki sam hełm leży u wezłowia śpiącego Amina.

Wojownicy nie są ludźmi. Żółtoszarą skórę ogromnych, ciężkich, umięśnionych ciał, pokrywają gęste włosy; twarze - beznose, z nasuniętą na wąskie szparki oczu kościaną naroślą czoła, z trąbą, stanowiącą przedłużenie podbródka i spadającą na pierś. W tych, którzy dzisiaj nazywają się ludźmi, wygląd ten może wywołać wstręt i odrazę. Chodzą dziwnie, na ugiętych nogach (stawy kolanowe mają wykręcone w drugą stronę), czepiając się podłoża szponami trójpalczastych masywnych stóp. Wszyscy wojownicy uzbrojeni sąjednakowo - w siekierę i tarczę. Tej właśnie broni używają, gdy napadają na nich wojownicy-ludzie. Wtedy zaczyna się bitwa, rozpaczliwa jatka, której jedynym celem jest zgładzenie przeciwnika. Ludzie i nieludzie nie mogą żyć pod jednym słońcem. A więc walczą, żeby zdecydować, kto umrze, a kto pozostanie.

-48-

Przelewana krew wsiąka w spękaną ziemię, słońce wstaje i zachodzi, a walka trwa dalej - albowiem, jeśli na polu bitwy sąjeszcze żywi, nikt nie może przestać walczyć.

I oto ginie ostatni wojownik w brązowym hełmie, poraniony, pocięty, ale ciągle jeszcze próbujący podnieść się i odjąć życie jeszcze jednemu z tych, którzy spalili i zburzyli miasta jego rasy, wymordowali żony i dzieci i teraz zabijają ostatnich mężczyzn.

I pada, ścięty ręką człowieka ostatni wojownik startej z lica ziemi nieczłowieczej rasy, ten, o którym teraz po upływie tysiącleci zaginęła wszelka pamięć... Z jego ohydnej, według ludzkich kryteriów, głowy spada brązowy hełm...

Tak zawsze kończyły się sny Amina. Budził się. Otwierając oczy, zapominał o nocnych majakach. Pozostawała tylko nienawiść do rodzaju ludzkiego.

Dlatego Dżumał był absolutnie pewien, że jego wojownik nie może przegrać z nędznym barbarzyńcą, faworytem Haszyda.

## VII

- Raczysz, mój wielce szanowny gościu, wydać rozkaz otwarcia wrót, przez które mają wyjść na arenę ci, którzy powinni się na niej dzisiaj pojawić? - takimi słowy zwrócił się do turańskiego szacha satrapa Haszyd.

- W swoim domu, mój przyjacielu, rozkazy wydaje gospodarz - odpowiedział z uśmiechem Dżumał.

- A więc może mój czcigodny gość zechce powiedzieć, kogo chciałby obejrzyć najpierw - potężnego wojownika, zdobywającego sławę dla swojego szacha i krzyżującego miecz z moim szalonym gladiatorem? Czy też inny pojedynek, przygotowany przeze mnie dla uradowania tak drogiego gościa, jakim jest władca jednej z prowincji niezwyciężonego Turanu?

- Miły Haszydzie, rób jak uważasz. To tylko my u siebie przywykliśmy najpierw jeść mięso, a dopiero potem podawać sorbet.

Podziękowawszy szachowi skinieniem głowy za tak mądrą radę, satrapa wydał sługom odpowiednie rozkazy. A potem znowu odwrócił się do gościa:

- Nie mogliśmy przygasić jasnego spojrzenia gościa z wielkiego Turanu widowiskiem, wywołującym ziewanie i nudę. Dania, ja-

4 - Conan i prorok ciemności

-49-

kie zostanie podane dla nasycenia się przed deserem, klnę się na bogów, nikt nie ośmieli się nazwać przeciętnym. W Turanie musiały krążyć pogłoski o wojowniczym plemieniu kobiet, zamieszkującym niedostępne tereny Czarnych Królestw i nazywających się Amazonkami, kobiet, które zabijają wziętych do niewoli mężczyzn, zaledwie ci zakończą swój męski obowiązek, oraz przychodzące na świat niemowlęta płci męskiej. Rzadko komu udaje się wziąć do niewoli Amazonkę... Teraz, mój drogocenny gościu, zobaczysz jedną z nich w walce.

Haszyd spojrzawszy kątem oka na szacha, pragnąc nasycić się efektem, jaki wywarły jego słowa. Amazonka, kupiona za ogromne pieniądze na targu niewolników w Korshemishu, mogła zostać ozdobą każdej gladiatorskiej areny w każdym kraju, przyciągnąć na trybuny tłumy widzów, chętnych zapłacić za rzadkie widowisko niemałe pieniądze - przecież jeszcze nikomu, nigdy i nigdzie nie udało się zobaczyć Amazonki w roli gladiatora.

Szach nie zrobił Haszydowi przyjemności, nie zdziwił się, nie zachwycił, nie zmartwił, a już tym bardziej nie zachłysnął z zawiści. Nie, Dżumał pozostał niewzruszony.

- Nie miałem nawet cienia wątpliwości - odpowiedział - że u największego ze wszystkich władających Vagaranem satrapów zawsze i wszędzie będę mógł zobaczyć wszystko, co najlepsze na tym świecie.

W tym momencie otworzono bramę i na arenę wyszli gladiatorzy.

Do komnaty, gdzie na pryczy leżał Amin, któremu umilały czas masujące go niewolnice, wszedł niepozorny sługa szacha i miodowym głosem zapytał:

- Czcigodny Aminie, nie zechciałbyś spojrzeć na arenę, gdzie teraz trwa walka, poprzedzająca twoją, w której to zetrzesz na proch miejscowego osiłka. Być może zainteresuje cię...

- Nie - uciał Amin, przekręcając się na plecy. Sam jego głos mógł przestraszyć najodważniejszego: dobiegający z samego wnętrza trzewi, przenikał nie tylko do uszu, ale również do wszystkich porów w ciele słuchającego, wywołując dreszcze. - Nie obchodzą mnie takie głupstwa. Odejdź. Będę się ubierał.

Sługa zniknął, jakby go nigdy nie było.

Strażnik Dżumala wstał z pryczy, stanął bosymi stopami na kamiennej podłodze i przeciągnął się.

W pozycji pionowej widać było

-50-

całajego przerażającą potęgę. Niewiarygodnie wysoki, o skórze lśniącej jak brąz, którą od wewnątrz rozsadzały niespotykanej wielkości mięśnie-głazy, poruszające się przy każdym ruchu jakby były żywymi, samodzielnymi istotami. Te przelewające się mięśnie hipnotyzowały wrogów, bywało, że na ich widok nawet najodważniejsi mężowie nieoczekiwanie dla siebie zaczynali czuć swoją znikomość. Zwłaszcza, że gręmuskułów popierało spojrzenie Amina. Wydawało się, że te czarne źrenice z małą czerwoną plamką pośrodku, otoczone żółtawymi białkami, przenikają oczy człowieka, który śmiało skrzyżować spojrzenie ze strażnikiem tak, jak czerwie przenikają do jabłka, żeby je zjeść. Im dłużej człowiek patrzył w te oczy, tym silniejsze było uczucie zżerania od wewnątrz, wysysania krwi, wciskania się do mózgu, rozrywania kości. Zdarzało się, że ludzie umierali od samego spojrzenia Amina.

O niewiarygodnej sile obrońcy szacha krążyły legendy. Mówiono na przykład, że w pojedynkę podniósł pomost, na którym stało pół tuzina koni.

Amin zaczął się ubierać, gotując się do wyjścia na arenę. Zawiązał na biodrach przepaskę z mocnego stygijskiego lnu, na wierzch założył kolczugę, przykrywającą biodra od pasa, której płytki były tak starannie wypolerowane, że niejedna ślicznotka mogłaby się w nich przejrzeć... Ale jeśli odbije się w nich promień słońca, to mogą stać się groźną bronią.

Szeroką nieowłosioną pierś i część pleców zakrywały metalowe kręgi, połączone skórzanymi rzemieniami, przełożonymi pod pachami na ramiona. Na tychże kręgach, tak samo zwierciadlanych, widniał herb dynastii panującej - wypełniony złotem ze szmaragdowymi inkluzjami (szmaragd był ulubionym kamieniem szacha) lew, deptający rozszarpane ciało orła, na tle bezkresnych piasków Turanu. Na swoim miejscu znalazły się naramienniki, nakolanniki, nałokietniki i bransolety, chroniące nadgarstki.

Niewolnice, do tej pory stojące bezczynnie, rzuciły się, żeby obuć pana ich losów. Buty z aksamitnej skóry szablozębego tygrysa, oblamowane futrem czarnego leoparda, zakończone były zadartym, ostrym noskiem z brązu. Zręczny cios tą, wydawałoby się, prostą ozdobaż niejednemu przeciwnikowi rozpruł goleń.

Milczące niewolnice podały Aminowi Hełm. Ten Hełm ofiarował szachowi pewien vendhyjski kupiec, który przyjechał do Turanu

-51-

z karawaną. „Robota starożytnych mistrzów. Bardzo starożytnych... -i jakby od niechcienia dorzucił: - O! Wydaje mi się, że będzie pasował w sam raz na strażnika twojego ciała - tego, który stoi za twoim ramieniem...”. Kupiec odjechał, ale jego słowa nie pozostały bez echa: Dżumal przekazał swojemu strażnikowi jemu samemu niepotrzebne, niepozorne, wykonane z jakiegoś stopu brązu wojenne nakrycie głowy. Hełm pasował jak ulał -jakby wykonano go specjalnie dla Amina. Goszczący kiedyś u szacha uczonec, mędrzec i trochę mag Ali-al-Guer, gdy zobaczył tenże przedmiot z brązu, zbladł, ale nikomu nic nie powiedział; albowiem, jak wiadomo: dzielisz się wiedzą, dzielisz się życiem. Ali-al-Guer spotykał się z opisem takiego hełmu w starożytnych papirusach, ale na własne oczy zobaczył go po raz pierwszy. Jeśli wierzyć niemal zetłałym pergaminom, w czasach starożytnych Hełm należał do jednej z ras, żyjącej na ziemi przed pojawieniem się ludzi. Rasy nieludzi...

I teraz Hełm, skrywający tysiące tajemnic wielkich epok, pokrył łysą, jajowatą głowę Amina, szykującego się do wyjścia na arenę. Co się tyczy jego łysiny - Amin nie miał włosów nie tylko na głowie: całe jego ciało było ich pozbawione.

- Precz - rozkazał i czekające na to niewolnice wybiegły z komnaty, odczuwając niewypowiedzianą ulgę, że przez jakiś czas nie będą musiały przebywać w jednym pomieszczeniu z przerażającym je człowiekiem.

Przed samą walką ochroniarz lubił chwilę pobyć sam.

Gdy Amin zakładał zbroję, a Conan siedział w swojej celi w tej samej pozycji i na tym samym taborecie, na arenie rozpoczęło się przedstawienie, mające rozgrzać publiczność przed główną walką, oraz umilić czas czcigodnemu gościowi niewidzianym do tej pory w Turanie widowiskiem. W bramę, przez którą wpuszczano na tę publiczną rzeźnię gladiatorów, wypchnięto kobietę z plemienia wojowniczych, niepokornych Amazonek. Rosła, giętka, smągła, z długimi czarnymi włosami, ściągniętymi na karku skórzanym rzemykiem - tak właśnie wyglądała kobieta stojąca przed wypełniającymi trybuny chciwymi rozrywki mężczyznami. Miękkim kocim krokiem szła wzdłuż trybun, wodząc po nich spojrzeniem, pełnym bezbrzeżnej, krzyczącej nienawiści. A po trybunach przebiegł zachwycony szept, gdy męska publiczność obejrzała zgrabne, mocne nogi, ledwie przykryte przetartą, mięsami porwaną skórzaną spódnicą i wy-

-52-

soką pierś, której nie mogła zasłonić prosta, krótka narzutka. Widzowie zaczęli się wiercić na swoich miejscach. W odpowiedzi Amazonka wyciągnęła z pochwy krótki szeroki miecz i wycelowawszy nim w trybuny, wypłynęła na nich potok słów w obcym, dziwnie brzmiącym języku. Ale tłumacz nie był potrzebny: sens wypowiedzi można było odgadnąć po płonącej złością oczach, po dźwiękach, które wbijały się w uszy tłumy zamiast strzał, strzał, które chciałyby, ale nie mogły wystrzelić w mężczyzn Amazonka.

- Niezła! - zauważył szach, odrywając winogrono. W drugiej ręce trzymał puchar z lekkim winem.

- Tylko że do tej ślicznej twarzy nie pasuje wyraz dzikiego okrucieństwa.

- Szkoda, że języka dzikusek nie zna nikt oprócz nich samych - podtrzymał rozmowę Haszyd. - Mogę sobie tylko wyobrazić, jakimi wyszukаныmi obelgami obsypuje teraz cały ród męski, jakie niewyobrażalne przekleństwa nań rzuca. Mam nadzieję, że się to wspaniale odbije na jakości czekającego nas pojedynku, w którym będzie mogła wylać swój gniew na męczyznę-przeciwnika. Skosztuj schłodzonych lodem owoców, mój wielce czcigodny gościu, póki jeszcze nie nagrzało ich słońce. Mój kucharz Semitaumie je doskonale przygotował.

Otworzyła się druga brama - znajdująca się naprzeciwko tej, przez którą wypchnięto kobietę - i na piasek, który przez lata wypił całe morze krwi ludzi różnych ras i narodów, wyszedł jeszcze jeden idący na śmierć. Ale on szedł dobrowolnie.

Należał do tych zuchwałych, czy może zdesperowanych wojowników, którzy z własnej woli zawierali umowę o uczestnictwie w określonej liczbie walk i jeśli zwyciężali i nie umierali przy tym od ran, to otrzymywali umówione wynagrodzenie. Dla gladiatora, krzepkiego, brodatego kozaka, niewiadomymi wiatrami zanieśionego do Vagaranu z dzikich zaporoskich stepów, leżących między ziemiami hyboryjskimi i Turanem, dzisiejsza walka była ostatnią z dziesięciu, które zobowiązał się odbyć. Dziewięć zwycięstw miał już za sobą.

Jeszcze jedno i za otrzymane pieniądze przez miesiąc będzie mógł do woli poproźnować, niczego sobie przy tym nie odmawiając. Tym bardziej że za ostatnią walkę obiecano mu potrójne wynagrodzenie - po pierwsze, rekompensata urażonej dumy mężczyzny, który musi walczyć z babą, po drugie szczególnie hojna zapłata za spełnienie osobistej prośby satrapy Haszyda. A ten prosił kozaka, który pokazał się w poprzednich walkach z jak najlepszej strony, by w miarę możliwości nie zabijał Amazonki, zachował ją w ten

-53-

sposób dla następnych walk, ale za to wychłostał, jak należy, ku uciesze publiczności batogiem, którym kozak władał lepiej niż niektórzy własną ręką, i w porę się zatrzymał, nie dobijając, nawet

jeśli widzowie będą żądać śmierci. „Dobrze by było zerwać z niej batogiem tę resztkę ubrania. Ludziom się to spodoba. - Dowódca Sdemak, przekazujący prośbę satrapy, wyszczerzył się szyderczo, mrugnął żartobliwie do kozaka i nawet szturchnął go w bok -jakby chciał powiedzieć: sam jesteś mężczyzną, rozumiesz, o co chodzi. - Za to ostatnie, jeśli ci się uda, zapłacimy osobno. I dodatkowo ode mnie dostaniesz pięć sztuk złota”.

Przez to wszystko kozak wszedł na arenę w szczególnym nastroju, absolutnie pewien nie tylko zwycięstwa nad jakąś tam jałówką, ale także tego, że zdoła spełnić wszystkie prośby i życzenia. Jego nastrój zniknął szybciej niż puch porwany przez huragan, gdy tylko napotkał wzrok idącej mu na spotkanie kobiety. Zrozumiał, że będzie to walka na śmierć i życie, i jeśli on jej nie zabije, ona zagryzie go zębami. Zrozumiał... ale nie mógł nie spróbować spełnić prośby Haszyda. Poza tym, zawsze przecież jest nadzieja, że „a nuż się uda”.

Zadźwiewał gong, obwieszczający początek walki. Kozak zaczął rozwijać batog.

Widzowie jak zwykle robili zakłady. Ubrana w szaty kapłana Niewiadomego kobieta boleśnie ścisnęła łokieć swojego towarzysza.

- Co tu się dzieje, Vellach - szeptem, ale dość głośnym, powiedziała zdenerwowana kobieta. - Poszaleli... Kobietę... Wystawili kobietę! I to ma być cywilizowany świat!

- Ciszej, Minolio, proszę cię, ciszej! - powiedział uspokajająco Vellach i pogładził japo ręce. - Jeszcze tego brakowało, żeby nas rozpoznano. Pamiętaj, że ryzykujemy nie tylko swoim życiem.

- O tak, pamiętam... Ale tak bym nie chciała przyglądać się temu ohydztwu.

- Jakoś to przecierpisz. I lepiej już nic nie mówmy.

- Dobrze... Ale gdzie patrzą bogowie, Vellach?!

Poza szerokim, krótkim mieczem Amazonka nie miała żadnej broni - odmówiła wzięcia czegokolwiek innego. Kozak oprócz batoga miał jeszcze buławę na długim trzonku, która na razie jeszcze wisiała na pasku. Mężczyzna i kobieta spotkali się po to, żeby zdecydować, które z nich ma żyć. Jego przywiodły tu pieniądze, ją ból i nienawiść.

-54-

- Tygrysyca, prawdziwa tygrysyca - mówił w tym czasie satrapa do szacha. - Ilu moich narwańców podrapała, jednemu nawet wykłuła oko palcem... Ależ nie patrz tak na mnie, mój szlachetny przyjacielu! Nie za to. Nie odważyliby się jej tknąć, znają mój gniew. Wszystkiemu winien jest jej dziki, nieokiełznany charakter.

- Jak ma na imię? - zainteresował się leniwie Dżumał.

- Nie wiadomo. Próbowano się dowiedzieć, porozumieć gestami, ale niestety nic z tego. Albo nie rozumie, o co się ją pyta, albo milczy, bo jest upartą dzikuską.

- Tak, i zdaje się, że umrze jako bezimienna.

Ani szach, ani satrapa nie wiedzieli, że prawdziwa Amazonka nie wyjawi nigdy mężczyźnie swojego prawdziwego imienia. Powiedzieć swoje imię oznaczałoby w jakiś sposób przyznać równość niższej płci. A dla tych kobiet nie było nic bardziej hańbiącego, chyba że być mężczyzną...

Batog, zrobiony z końskiego włosia, miał na końcu gałkę ze stali damasceńskiej, z czterema ostrymi krawędziami. Przydawała mu ciężkości i czyniła z niego groźną broń. Zataczając szeroki krag, rozkręcona ręką czarnobrodego kozaka gałka pomknęła, rozcinając ze świstem powietrze, żeby rozbić głowę kobiety.

Szeroko rozstawiając nogi w przysiadzie, kobieta-wojownik wystawiła przed siebie miecz. Gałka batoga nie trafiła w jej głowę. Kozak, gdy tylko zobaczył, że spudłował, szarpnął batog w dół.

Wężowe ciało jego broni zafalowało, a gałka z damasceńskiej stali znowu pofrunęła do przodu, mierząc w głowę kobiety i trafiając w miecz, którym się Amazonka zasłoniła. Rozległ się czysty, wesoły dźwięk. Szybkość batoga, który zmienił kierunek, znacznie się zmniejszyła, w dodatku kozak nie mógł już tak błyskawicznie szarpnąć broni do siebie. I kobieta wykorzystała to.

Nadgarstek ręki, w której trzymała miecz, zatoczył kilka kręgów i końcówka batoga wraz z okrutną gałką owinęła się wokół klingi. Amazonka gwałtownie szarpnęła miecz w swoją stronę, ostrze jej

broni wbiło się w końskie włosie i rozcięło je. Batog został skrócony o kilka cali i pozbawiony stalowej gałki.

Kozak zaklął. Oj, z tą babą mu tak łatwo nie pójdzie.

- Oddałabym kilka lat życia za zwycięstwo tej kobiety - powiedziała cicho towarzyszką Vellacha. Po drzeniu jej głosu Vellach poznał, że płacze.

- Za bardzo się wszystkim przejmujesz - wyszeptał. Obcięty batog, rysując w powietrzu niewiarygodne zygzaki nad głową wojownika z zaporoskich stepów, spadał w dół, leciał w bok

-55-

i nieoczekiwanie wystrzeliwał do przodu, drąc do krwi smagłą kobiecą skórę. Ale czarnobrodemu nie udawało się zbić kobiety z nóg. A tak bardzo tego pragnął. „Dobrze - pomyślał kozak - jak na razie wszystko idzie normalnie. Jeszcze trochę i ją podetnę”. I wtedy Amazonka desperacko rzuciła się na niego, wystawiając przed siebie miecz.

- Iiieech! - krzyk wzleciał nad areną i plecionka z końskiego włosia oplatała kobiece nogi, przewracając Amazonkę na piasek. Rękojeść batoga wyleciała z ręki kozaka. Czort z nim! Teraz już na nic się nie przyda.

Zerwana z pasa buława znalazła się w dłoni gladiatora. Czarnobrody zrobił krok w stronę powalonej przeciwniczki, wymachując umocowaną na długiej rękojeści kulistą główką. Jedno, no powiedzmy, dwa uderzenia i będzie po wszystkim. I zacznie się miesiąc życia bez trosk i kłopotów. Spadająca buława napotkała klingę miecza. Ściskająca ją ręka nie była tak silna, jak ta zadająca cios, ale lecące żelazo leciutko zwolniło i kobieta zdażyła przeturlać się po piasku i umknąć przed główką buławy. Śmiercionośna broń wbiła się w piasek tuż obok jej czarnych jak skrzydło kruką włosów. Ale miecz leżał zbyt daleko.

I wtedy Amazonka zrobiła coś, czego nie zrobiłby nigdy żaden wojownik-mężczyzna. Zerwała się i wbiła zęby we włochatą dłoń mężczyzny. Kozak zawył, wyszarpnął pogryzioną rękę i wypuścił buławę.

Oplatany batogiem nogami kobieta zadała silny cios w najbardziej wrażliwe miejsce stojącego naprzeciw niej wojownika oraz całej płci męskiej. Czarnobrody zgiał się w pół. Kobiece ręce chwyciły go za lnianą koszulę i pociągnęły w dół. Wojownik zwalił się na piasek obok wojowniczkę... i więcej już nic nie zdażył zrobić - ostre paznokcie cienkich chwytnych paluszków wbiły mu się w oczy, bezlitośnie wrywając je z oczodołów.

Z dzikim rykiem kozak zerwał się, po omacku miotając się po arenie, przyciskając dłonie do twarzy... Spod nich na brodę i pierś ściekała krew. Arena wypełniła się jego obłąkańczym wyciem... Trybuny jednak były przyzwyczajone i do wycia, i do krwi.

Amazonka bez pośpiechu wyplątała nogi z batogu, wstała, otrzepała się, podniosła miecz, podeszła do pokonanego przeciwnika i zakończyła jego męczarnie, wbijając ostrze miecza prosto w serce.

- Piękna walka, nieprawdaż, mój drogi szachu?

Satrapa Haszyd był zadowolony z wyniku pojedynku. Jeszcze jedna atrakcja, mająca przyciągnąć tłumy, na trybuny pozostała żywa

-56-

i zdrowa. Jutro całe miasto będzie huczeć wiadomościami o pięknej kobiecie, nie ustępującej pod względem sztuki wojowniczej mężczyznom, pojutrze pogłoski wyleją się poza mury miejskie i rozejdą się po okolicznych i dalej położonych miastach i na następny występ z udziałem Amazonki śmiało będzie można podwoić opłatę za wejście. A satrapie pieniądze nie były obojętne.

- Dziękuję ci, wielce szanowny Haszydzie, za rzadkie w naszych pełnych nudy i monotonii dniach widowisko - Dżumal był niemal szczerzy. - O, spójrz, co się dzieje!

Amazonka podeszła do wysokiego muru, za którym zaczynały się trybuny, coś głośno krzyknęła i nagle cisnęła swój okrwawiony miecz w poruszające się, omawiające widowisko i przekazujące sobie pieniądze postaci na kamiennych ławach. Na arenę wpadli spóźnieni strażnicy, ciągnąc za

sobą sieci, lecz sądząc po pełnym bólu i zaskoczenia krzyku, który wzbił się nad trybunami, miecz znalazł już nową ofiarę.

Sieci spadły na wojowniczą kobietę, przewracając ją i pozbawiając możliwości obrony. Zaraz strażnicy zawloką ją z powrotem do lochów.

- Cieszę się, że zwyciężyła - cicho, spokojnie powiedziała kobieta w stroju kapłana.

- A mężczyzny ci nie żal? - zapytał zjadliwie jej towarzysz.

- Dla mężczyzny śmierć w walce to zwykła sprawa. A włożyć miecz w ręce kobiety może tylko mężczyzna.

Z areny ściągano nieruchome ciało pechowego gladiatora, zaczepiając za klatkę piersiową umocowanym na długim drzewcu hakiem. Zaraz zagrabią piasek, zasypią plamy krwi i arena będzie gotowa do nowego pojedynku.

Amin założył rękawiczki ze stalowych kółeczek. Ręce stawały się dla niego silniejsze i lepiej chronione, a przy tym pozostawały swobodne. Wziął owalną miedzianą tarczę i siekiere. Tym półksiężycem, nasadzonym na ciężki, brązowy topór, rozrąbał już niejedną ludzką głowę. Dzisiaj zleci kolejna.

Amin był gotowy do walki. I do zwycięstwa.

- Cóż, mój szlachetnie urodzony przyjacielu - powiedział wesoło Haszyd i oparł się wygodniej o poduszki. - Nadeszła pora skosztowania deseru. Mam nadzieję, że się nie rozmyśliłeś i nie chcesz zrezygnować z naszego małego zakładu?

Dżumał uśmiechnął się uprzejmie.

- Absolutnie nie, mój szczodry przyjacielu! Zrezygnować z tak obiecującego zakończenia pasjonującego widowiska? Nigdy.

-57-

- A więc, twój bezcenny kamień przeciwko mojej żalostnej garstce złotego metalu?

- Dokładnie tak. Mój nikczemny kamień przeciwko całej górze złota.

- Wobec tego zaczynajmy. Haszyd podniósł rękę.

Na ten sygnał ze skrzypem uniosły się kraty w przeciwległych końcach areny i na piasku pojawiło się dwóch olbrzymów - tak samo brązowoskórych, niemal jednego wzrostu, prawie jednakowo zbudowanych.

Po trybunach przetoczyło się długie westchnienie i zapanowała pełna napięcia cisza. Właśnie dla tej walki przyszła tu prawie cała męska część ludności miasta oraz goście i zaproszeni obcokrajowcy. Nikt nie chciał przegapić nawet sekundy widowiska.

Haszyd odwrócił się do czarownika Aj-Bereka, spokojnie czekającego za plecami wielmożów i powoli skinął mu głową. Czarownik skłonił się, potem zamknął oczy, szeptem wypowiedział krótkie zaklęcie i zrobił gest przypominający ściąganie serwety ze stołu.

Magiczna pajęczyna opadła z mózgu Conana, zwinęła się w czarny kłębek i zawisła tuż nad głową Cymmerianina - niewidoczna dla zwykłych oczu i gotowa w każdej chwili spaść z powrotem, na jedno skinienie czarownika.

VIII

Rozbłyśnięcie światła.

Dudniący, ogłuszający dźwięk nie istniejącego dzwonu.

Fala lodowatego zimna, przesuwająca się po ciele, od czubków palców u stóp do czubka głowy.

Conan drgnął, otworzył oczy i natychmiast je zmrużył: jaskrawe południowe słońce na sekundę go oślepiło. Potem Cymmerianin powoli uniósł powieki.

Znowu - który to już raz! - stał na żółtym piasku znienawidzonej areny. W uszy po raz kolejny wlewał mu się ryk widzów, łaknących krwi - oczywiście cudzej i oczywiście przelanej cudzymi rękami. Czuł się jak stara zabawka, którą dziecko przypadkiem znalazło w śmietniku i na chwilę się nią zajęło - a potem, gdy już mu się znudziła, znowu wyrzuciło... I tak w kółko - pobawiło się i wyrzucało,

-58-



pobawiło i wyrzucało... Czy może być coś bardziej poniżającego niż znaleźć się w roli bezbronnej lalki, którą niewidzialni bezdusznicy poruszają, pociągając za sznurki magii?!

Conan starał się zapanować nad narastającym gniewem. Jeszcze znajdzie sposób porachowania się z tajemniczymi dręczycielami. A na razie trzeba martwić się o własną skórę.

Barbarzyńca szybko się rozejrzał, a potem popatrzył na siebie. Gruba skórzana kamizelka z przyszytymi do niej metalowymi paskami - cienkimi i giętkimi, nie przeszkadzającymi w walce, i mogącymi w razie potrzeby osłabić cios miecza. Spodnie do kolan, wysokie, mocne buty, rękawiczki i nakolanniki z garbowanej skóry jakiegoś zwierzęcia. W prawej ręce - oburęczny miecz, z którym Cymmeria-nin nie rozstawał się nigdy, tak wyważony, że można było posługiwać się nim jedną ręką, a na łokciu lewej - metalowa, ale bardzo lekka i, jak się wydawało, dość pewna tarcza, zasłaniająca ciało od podbródka do pępka. Włosy, aby nie przeszkadzały, podtrzymywała metalowa obręcz z dwiema przecinającymi się na czubku głowy taśmami, chroniąca jednocześnie głowę. (Cymmerianin zauważył to, gdy spojrział w wypolerowaną z obu stron górną część tarczy). Bojowy strój, który tym razem miał na sobie, był może niezbyt wyszukany, ale dość niezwykły: jeszcze nigdy Conana tak starannie nie ubierano - zazwyczaj „budził się” na arenie w samej przepasce biodrowej, boso, uzbrojony tylko w miecz.

Dziwne.

Co dziwniejsze, tym razem wystawiono przeciwko niemu tylko jednego człowieka. A przecież zagadkowi dręczyciele już dawno się przekonali, że wśród gladiatorów Conan nie ma sobie równych, że w walce jeden najeden wygrywa on, barbarzyńca z Cymmerii. A więc stojący przed nim nie jest zwykłym gladiatorem...

Nie pozwolono mu dokończyć myśli: nad areną przetoczył się wibrujący dźwięk gongu i przeciwnik z opuszczoną niemal do samej ziemi siekierą i taką samą tarczą, powoli się zbliżał. Conan stał nieruchomo, spode łba obserwując kolejnego wroga.

Nie ma co: prawdziwy gigant. Do tej pory Conan rzadko miał okazję spotkać ludzi (ludzi, a nie twory Zła), którzy mogliby się z nim równać pod względem siły i wzrostu. Ale ten człowiek mógł się okazać godnym przeciwnikiem. Conan mocniej zacisnął dłoń na rękojeści miecza i przygotował się.

Amin zatrzymał się trzy kroki przed Cymmerianinem i obejrzał go z nie ukrywanym zainteresowaniem.

-59-

- A więc tak wyglądasz - powiedział w końcu cicho. - Witaj, mięso.

Conan milczał i nie ruszał się: zawsze lepiej nic nie mówić, jeśli nie wiadomo, kogo ma się przed sobą... i nie ruszać się, dopóki słońce świeci ci w bok: gdyby świeciło w plecy, promienie odbite od zwierciadlanych płytek na zbroi nieznanego nieprzyjaciela na pewno by cię oślepiły.

- Jestem Amin - mówił dalej gladiator, i jego głos szeleścił jak sucha stepowa trawa, wśród której skrada się jadowity wąż. - Osobisty strażnik wielkiego szacha turańskiego Dzumala, którego stopy opierają się na ziemi, a głowa sięga sklepienia niebieskiego. Niedługo cię zabiję - na chwałę mojego pana.

Conan rozchylił splekane w czasie długiej nieprzytomności wargi i po raz pierwszy od momentu trafienia do niewoli przemówił:

- Jestem Conan, prosty wojownik z Cymmerii, który nikomu nie służy - odpowiedział tak samo cicho. - Nie chcę cię zabijać, ale jeśli będzie trzeba, zrobię to, żeby przeżyć.

Huk na trybunach stał się głośniejszy - widzowie chcieli zobaczyć pojedynek olbrzymów, a nie przysłuchiwać się, co tam sobie szepcze dwóch gladiatorów.

Amin uśmiechnął się nieprzyjemnie, odsłaniając dwa rzędy drobnych, ostrych zębów. Jego oczy płonęły jak węgle.

- A więc witaj, mięso z Cymmerii... i żegnaj.

Nagle prawa ręka strażnika wzleciała w górę, tak lekko, jakby trzymała cienką gałązkę, a nie ciężką siekierę. Śmiercionośny sierp, wymierzony dokładnie w gardło Conana, przeciął powietrze jak szybka zimna błyskawica.

Conan spodziewał się czegoś takiego: nie na darmo przeciwnik ustawił się dokładnie w takiej odległości od niego i chwycił niemal za sam koniec styliska, ostrzem zwróconym, niby przypadkiem, w stronę Cymmerianina. Jak tylko napięły się mięśnie Amina, barbarzyńca lekko odchylił się do tyłu - i w samą porę: ostra jak brzytwa siekiera, z ledwie słyszalnym sykiem, przeleciała tuż obok grdyki Conana, barbarzyńca poczuł nawet lekki podmuch powietrza. Ale siła inercji pociągnęła ciężkie ostrze dalej - w górę i w lewo, nieco odwracając tors Amina, czego nie omieszkął wykorzystać Conan. Miecz barbarzyńcy poleciał jak lśniące żądło do przodu, mierząc w prawy, nie osłonięty bok przeciwnika. Amin leciutko przechylił się w lewo i klinga Cymmerianina rozpruła powietrze. W tej samej chwili lewa noga obrońcy Dzumala wyleciała w górę, zaostrzonym

-60-

noskiem buta gotowa wbić się w wątrobę barbarzyńcy. Ale uderzyła tylko w tarczę, którą Conan zręcznie przeciął śmiercionośny lot nogi.

Nie umawiając się, przeciwnicy jednocześnie cofnęli się o dwa kroki i zastygli w wyczekujących pozach.

Nad trybunami zawisło grobowe milczenie. Widzowie nie mogli dokładnie zobaczyć, co się właściwie stało - tak błyskawicznie walczący wymienili serię ciosów - ale wszyscy rozumieli, że była to tylko rozgrzewka, próba sił, rozpoznanie walką, a prawdziwy pojedynek zacznie się dopiero teraz. Szach i Haszyd patrzyli w napięciu na arenę. Nawet niewzruszony Aj-Berek przyglądał się pojedynekowi z zainteresowaniem.

- Patrz, Vellach! - kobieta w szatach kapłana zdenerwowana schwyła towarzysza za rękę. - Hełm! Widzisz? Hełm, który ma na głowie jego przeciwnik!... A więc który z nich?...

- Ciszej, prosiłem cię, ciszej - zasyczał wściekle Vellach. - Wszystkich zgubisz! Widzę, wszystko widzę. Poczekajmy.

Amin uśmiechał się i spokojnie patrzył Conanowi prosto w twarz, szeroko rozstawiając muskularne nogi. Trzymając miecz pochylony do przodu i lekko odsuwając tarczę w bok, Conan wpatrywał się w przestrzeń nad głową przeciwnika. Pilnował się, żeby nie napotkać hipnotyzującego spojrzenia Turańczyka. Rozumiał, że tym razem ma przed sobą nie zwykłego gladiatora, ale wojownika, dorównującego mu siłą, zręcznością i sprytem... Dorównującego, jeśli nie lepszego. Starał się zebrać do kupy całą swoją wolę, doświadczenie i umiejętności. Amin zrozumiał to. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

Przez jakiś czas, jak wydawało się publiczności, przeciwnicy nie poruszali się i trybuny zaczęły się niecierpliwić. Skąd widzowie mogli wiedzieć, że obaj olbrzymi już walczą... Przecież nawet po najlżejszym ruchu małego palca jednego wojownika, drugi natychmiast odgadywał, z której strony padnie cios i przygotowywał się do niego, a po szczególnym napięciu mięśni pierwszy rozpoznawał, że jego zamiar został odgadnięty i nie ma już sensu zadawanie ciosu, który zostanie odparty i rozluźniał się, a wtedy z kolei drugi chciał nieoczekiwanie zaatakować, ale jego zamiar zostawał odgadnięty przez przeciwnika...

Czas płynął, a zawodnicy, jak sądzono, nie robili nic... Jedno uderzenie serca, drugie, trzecie...

Conan nie wytrzymał nerwowo: nie lubił nieokreślonych sytuacji i zawsze jako pierwszy starał się zakłócić równowagę sił - bez względu na następstwa...

-61-

Skok do przodu, błyskawiczny cios (odbity brzegiem tarczy Amina), obrona i skręt ciałem.

Teraz Turańczyk i Cymmerianin zamienili się miejscami, ale w dalszym ciągu żaden z nich nie odniósł najlżejszej rany.

Obaj wiedzieli, że zwyciężyć można tylko zmęczony przeciwnik serią błyskawicznych ataków i kontrataków, a następnie zadać szybki i nieoczekiwany cios... Ale żaden z nich nie się spieszył.

Amin zrobił krok w prawo, jak jego odbicie w lustrze Conan stąpił w lewo. Ale teraz słońce świeciło barbarzyńcy prosto w oczy i on zrobił dwa kroki w lewo, żeby jak poprzednio mieć słońce z boku. Amin powtórzył jego manewr, utrzymując bezpieczną odległość. Każdy nerw Cymmerianina drżał od napięcia w oczekiwaniu na nagły cios. Przenikliwy wzrok Turańczyka palił go, przenikał do jego mózgu i bez trudu czytał jego myśli. „Diabelskie sztuczki - przemknęło przez głowę barbarzyńcy. - On rzuca na mnie czar. Czarownik?...”.

Zbierający pieniądze z zakładów padali z nóg: żaden z widzów nie był pewien zwycięstwa swojego wybrańca i stawki bez przerwy rosły. To strażnik znajdował się na grzbiecie fali stawek, to barbarzyńca.

Który z gladiatorów pierwszy rozpoczął kolejny atak, nie pojął nikt, nawet chyba sami walczący. Po prostu w pewnej chwili arena zajaśniała wściekle jaskrawym pasmem oślepiających zygzaków i błysków - to zamigotały odbite promienie słońca na ostrzach miecza i siekiery. Arenę wypełniła kakofonia dźwięków - szczekała i zgrzytała broń wojowników zadających ciosy, których ludzkie oko nie było w stanie śledzić. Siekiera Amina zaczepiła o biodro barbarzyńcy, pozostawiając głębokie cięcie, które natychmiast wypełniło się krwią; miecz Cymmerianina zranił bok Turańczyka. Ani jeden, ani drugi nie poczuli bólu.

Conan odbił tarczą kolejny atak, rzucił się do przodu, mierząc w pierś strażnika. Przecząc wszelkim prawom inercji, siekiera momentalnie przerwała swój lot i pomknęła w przeciwnym kierunku, odbijając cios Cymmerianina. Żeby nie wpaść pod spadające ostrze, Conan zrobił jeszcze dwa kroki, stanął tyłem do przeciwnika, osłonił plecy mieczem, unosząc go za głowę ostrzem w dół. I w tym momencie na jego klingę spadł miażdżący cios, palce barbarzyńcy na chwilę straciły czucie. Conan odwrócił się gwałtownie i tarczą odbił kolejny atak przeciwnika. Stał zadźwiczona i się zaiskrzyła. Widząc, że szyja Amina jest nie osłonięta, Conan z rozmachu koniuszkiem

-62-

miecza wykreślił łuk, ale ochroniarz jakby na to właśnie czekał -ostrze napotkało metalową rękojęść siekiery i zamarło. Amin spróbował przewrócić Cymmerianina tarczą, ale ten odgadł jego zamiar i szybko wyrzucił w przód lewą rękę, na której trzymał swoją tarczę. Nad areną po raz kolejny rozległ się dźwięk stali.

Walczący na sekundę zastygli: tarcze zetknięte, broń skrzyżowana, twarze blisko siebie.

- Świsł twojego miecza przypomina wiatr w skałach - zasyczał Amin przez zaciśnięte zęby i jego głos jak rozpalona igła wbił się w mózg Cymmerianina. - To dobrze: już dawno nie słyszałem tak wirtuozowskiego dźwięku. Jesteś dobrym wojownikiem i podoba mi się granie z tobą w śmierć.

- I życie, i śmierć to gra. W takim razie, jaka różnica, w co się gra? - odpowiedział Conan w miarę możliwości jak najbardziej obojętnie, mimo że każdy mięsień błagał o odpoczynek, a z niezbyt głębokich, lecz bolesnych ran przez cały czas sączyła się krew. Tylko jedno dodawało mu wiary: nieowłosione ciało Amina było złane potem, a złowieszcze błyski czerwonych źrenic przygaśły. Obaj byli bardzo zmęczeni i obaj nie mieli zamiaru się poddać.

- Wobec tego pograjmy jeszcze trochę- powiedział Amin i nagle osłabł nacisk jego lewej ręki...

- Naprzód! Zabij go wreszcie! Rozerwij na kawałki tego dzikusa! - zaryczał szach Dżumal, w podnieceniu zapominając o opanowaniu. Jego pięści się zacisnęły.

Haszyd również był całkowicie pochłonięty pojedynkiem. Nie zwracając uwagi na to, co dzieje się wokół niego, wpatrywał się w zastygłych na arenie gigantów, w myśli rozkazując swojemu niewolnikowi zabić sługusa Dżumala.

Żaden z wielmożów nie patrzył na czarownika Aj-Bereka. A szkoda: na jego twarzy nagle pojawił się taki wyraz, jakby mag przypomniał sobie o czymś niezwykle ważnym, a w chwilę później odmalował się szaleńczy niepokój. Aj-Berek już otworzył usta, żeby powiedzieć coś swojemu władcy, ale widząc, jak bardzo ten pochłonięty jest widowiskiem, zawahał się. Niepokój na twarzy maga zastąpił paniczny strach.

- A co będzie, jeśli zwycięży drugi? - wyszeptowała Minolia, mówiąc do samej siebie. Tak jak jej towarzysz, nie odrywała wzroku od zalanej słońcem areny i nie oczekiwała od Vellacha

odpowiedzi: przecież on też nie wiedział, co się wtedy stanie. - Czy możliwe, żeby przepowiednia kłamała...

-63-

Vellach jej nie słyszał. Nie usłyszałby nawet huku gromu. Cała jego uwaga skupiona była na arenie. Przecież od wyniku tego pojedynku zależało nie tylko istnienie górskiego klasztoru, ale również całego świata...

.. Nagle osłabł nacisk lewej ręki Amina- tej, która ścisnęła tarczę- i nie spodziewający się tego, zahipnotyzowany dźwiękiem jego głosu, Conan na chwilę stracił równowagę.

Turańczykowi to wystarczyło - ledwie Cymmerianin się zachwiał i mimo woli zrobił krok do przodu, żeby zachować równowagę, gdy silne uderzenie pod gołęń przewróciło go na piasek. Conan upadł, przekręcił się na plecy i turlał się dalej, dopóki, jak sądził, nie znalazł się bezpiecznej odległości od Amina.

Gdy tylko jednak spróbował zerwać się na nogi, w powietrzu zaśniło ostrze siekiery, które w niewiarygodny sposób pojawiło się nad nim. Barbarzyńca uniósł miecz i stał znowu zadzwieczęła. Ciosy sypały się na Conana ze wszystkich stron, ledwie zdążał je parować, co w pozycji leżącej było prawie niemożliwe, Amina zaś nie pozwalał mu się podnieść. W dodatku Cymmerianin upadł plecami do słońca i dziesiątki, setki słonecznych zajęczków na wypolerowanych płytkach zbroi wroga przeszkadzały mu w odpieraniu ataków. Przed oczami zatańczyły niebiesko-białe kręgi, postać przeciwnika zamieniła się w rozplywającą mozaikę jaskrawych błysków i Conan nie wiedział już, nie umiał odgadnąć, z której strony padnie ostatni, śmiertelny cios.

Trybuny zawyły w powszechnym porywie, widzowie zrozumieli, że walka za chwilę się rozstrzygnie. Haszyd na tarasie wściekle zaryczał.

- Nie poddawaj się, przeklęty barbarzyńco, nie poddawaj się! Musisz zwyciężyć!...

Widząc, że jego strażnik już za chwilę zakończy walkę, Dżumał wybuchnął głośnym śmiechem.

IX

Świadomość Cymmerianina cofnęła się o kilka lat. „To się nazywa młynek” - dobiegł go z głębin wspomnień widmowy głos. - Pojęcia nie mam, kto to wymyślił, ale rzeczywiście niewiele osób go zna. „Patrz: bardzo ważne, żeby ostrze twojego miecza znalazło się

-64-

z prawej strony ostrza przeciwnika. Rozumiesz? Potem wyciągasz miecz pionowo, o tak, przekręcasz w lewo, dalej, dalej i broń przeciwnika wypada z ręki. Najważniejsza jest szybkość. Rozumiesz? Jeden palec zawsze jest słabszy niż cztery, dlatego skręt musisz koniecznie zrobić w lewą stronę: kciuk przeciwnika nie zdoła utrzymać miecza...”.

Młynek - był to cios, którego nauczył Conana pewien brythuński żołnierz, gdy obaj byli w hyperborejskiej niewoli. Cios skomplikowany i niebezpieczny: jeden niepewny ruch albo chwila wahania grozi śmiercią temu, kto go zadaje. Dlatego właśnie mało kto, nawet spośród doświadczonych wojowników, używał go i znał. Jednakże barbarzyńca w czasie niewoli doskonale opanował młynek, trenując pałką w przerwach wycieńczającej pracy w kamieniołomie.

Od tamtej pory Conan nie użył go jeszcze nigdy. Co prawda, mięśnie barbarzyńcy nawet bez pomocy rozumu pamiętały niezbędną kolejność ruchów... I teraz, gdy siekiera Amina runęła na niego jak żmija zimnego ognia, miecz, zaciśnięty w lewej ręce, niemal samodzielnie odbił cios i momentalnie skrzyżował się z nią z prawej strony. Wypad, wirujący ruch nadgarstka - błyszczący półokrąg stali ostrza, zagarnięcie i siekiera, wyrwana z dłoni Amina silnym szarpnięciem, upada o dziesięć kroków od niego!

- Panie - rozległ się ochryply głos, zagłuszający ryk tłumu na trybunach i ryk władców na tarasie - rozkaż przerwać pojedynek! Bez względu na to, czym się on skończy, miastu grozi niebezpieczeństwo...

Satrapa odwrócił do Aj-Bereka wykrzywioną gniewem twarz.

- Milczeć! Przeszkadzasz nam! Później, później!... - i znowu odwrócił się w stronę areny.

Nie spodziewający się takiego obrotu wypadków, Amin na chwilę stracił koncept i Conan wkładając w ten ruch cały swój gniew, całą swoją siłę i pragnienie życia, kopnął ochroniarza obiema nogami w żołądek. Turańczyk, silnie pchnięty, upadł na plecy.

Niestety, w zapale walki Conan zapomniał, że jego przeciwnik uzbrojony jest nie w miecz, lecz w siekiere w kształcie półksiężyca. Dlatego, gdy szarpnięciem wyrwał z ręki Amina śmiertelnoścą broń, ostrze utkwilo w miejscu, w którym tenże półksiężyc łączył się z rękojeścią. Rękojeść pociągnięta inercją zrobiła w powietrzu obrót i miecz barbarzyńcy również został wyrwany. Broń obu wojowników leżała o kilka kroków od nich.

Conan, który natychmiast zerwał się na nogi, zauważył, że Amin też już się podniósł. Oczywiście Turańczyka znowu zapłonęły nierealnym

5 - Conan i prorok ciemności

-65-

pomarańczowym płomieniem, z jego krtani wyrwał się groźny sko-wyczący charkot, od którego zlodowaciało serce Conana. „To nie jest człowiek - pojął nagle. - To demon!”.

Obaj gladiatorzy zrozumieli, że nie uda im się dostać do swojej broni bez przeszkód.

Conan odrzucił na bok tarczę i pokazał Turańczykowi, że ma puste dłonie. Amin zawahał się, a potem również odrzucił swój tarczę i gniewnie uderzył odzianą w stal pięścią prawej ręki o dłoń lewej.

Nadeszła pora walki wręcz. Na ostrożne, „wymacujące” ciosy ani jeden, ani drugi nie miał już cierpliwości, ich mózgi wypełniało tylko pragnienie zwycięstwa za cenę życia wroga.

Pięść Amina wystrzeliła w głowę Conana. Cymmerianin uchylił się i kopnął kolaniem w nieosłonięty brzuch przeciwnika. Turańczyk zachwiał się, ale ustał na nogach. Następne uderzenie łokciem trafiło Amina w kość policzkową. Głowa strażnika odskoczyła, a on szybko cofnął się o krok. Szybki wyrzut nogi i ostrze, którym zakończony był but Turańczyka, wbiło się Conanowi w bok. Pojawiła się krew. Conan krzyknął, ale nie upadł - błyskawicznie złapał wroga za gołe, szarpnął i Amin runął na ziemię. Odturlał się na bok, zerwał się, ugiął nogi w kolanach i przyjął postawę obronną.

Widownia szalała. Jeszcze nigdy nie widzieli czegoś takiego - jakby walczyli ze sobą dwaj bogowie, którzy zeszli na ziemię.

- Błagam panie, przerwij walkę! - odezwał się znowu, tym razem głośniejszym głosem, Aj-Berek. Jego głos drżał ze strachu. - Panie, nie rozumiesz. ..

- Precz z tarasu! - zaryczał Haszyd. - Jeszcze słowo, a rozkażę rzucić cię na pożarcie tygrysom!

- Bij! Bij! Bij! - z każdym konwulsyjnym wydechem wyrывało się z gardła poczerwieniałego z emocji szacha. Sprzeczek satrapy z magiem nawet nie zauważył. Za bardzo był pochłonięty walką. Odgłosy ciosów docierały z areny aż do najwyższych rzędów trybun, zagłuszając ryk tłumu.

Conan odparł skrzyżowanymi rękami kolejne uderzenie metalowej pięści, ale siła tego ciosu była tak wielka, że Cymmerianin fiknął koczła na piasku. Nie pozwalając mu się podnieść, Amin skoczył na plecy barbarzyńcy i chwycił go za gardło. Zacisnął jak w stalowym imadle, odcinając błagającym o wdech płucom dostęp powietrza. Na kark Cymmerianina kapłała krew z rozbitej twarzy przeciwnika. Zdołał się wywinąć i skrzyżował nogi na torsie Turańczyka. Napiął się,

-66-

wygiął, szarpnięciem przekręcił ciało, przygniatając Amina swoim ciężarem. Ręce strażnika, uzbrojone w stalowe rękawice, wbił kolanami w piasek. I zaczął bez litości, z całej siły, mimowolnie krzycząc przy każdym ciosie, bić Turańczyka w głowę. Na wszystkie strony leciała zmieszana ze śliną krew przeciwnika.

Aj-Berek bezsilnie zacisnął pięści. Zawsze wykonywał wszystkie rozkazy swojego pana, ani razu nie złamał zakazu... ale kto mógł przypuszczać? Dopiero teraz mag przypomniał sobie starą, niemal zapomnianą przepowiednię. Gdy Czarna Moc zniszczy samą siebie, ujrzą wzlatujące czarne światło. Niechaj gotują się do Nieuniknionego. O tym, co stanie się potem, Aj-Berek bał się nawet myśleć.

Nie, pojedynek trzeba natychmiast przerwać - nawet za cenę życia niewolnika. Hełm Starożytnych nie może spaść z głowy właściciela. Chwilowego właściciela.

Czarownik podniósł rękę i wyszeptał zaklęcie zamykające Co-nana z powrotem w kokonie magicznej pajęczyny.

- Haszydzie, przerwij to! - krzyknął szach Dżumal. - Powstrzymaj! Przecież on go zabije!

- Zabije?! - nie odrywając się od tego, co działo się na arenie, zachichotał satrapa. - Zabije?! Zabij, niewolniku! Zabij Turańczyka!

Szach chwycił Haszyda za ramię i szarpnięciem odwrócił go do siebie, przysuwając do niego swoją czerwoną twarz.

- Przerwij pojedynek, Haszydzie! - zaryczał. - Bo inaczej ja zabiję ciebie!

- Za nic! - wyrwał się satrapa. - A może nie chcesz się przyznać, że przegrałeś? Ja wygrałem i szmaragd należy do mnie! Ręce precz, turański psie! Twój beznadziejny sługa jest już trupem!

- Sługa? - szach stracił dech i wrzasnął ile sił w płucach: - To mój syn!

Umowa została złamana i słowo wypowiedziane.

To był pierwszy raz, gdy Amin zetknął się z przeciwnikiem, który mu nie tylko dorównywał, ale go nawet przewyższał. Przywykł do tego, że zawsze zwyciężał - niechby z trudem, niechby za cenę własnej krwi, ale zwyciężał.

Ale teraz zrozumiał, że może przegrać. I nie tylko przegrać, ale i zginąć - z rąk tego szalonego, wściekłego, nikomu nie znanego niewolnika. .. i po raz pierwszy w życiu panika zakradła się do jego ser-

-67-

ca. Ciosy kamiennych pięści spadały na twarz Amina ze wszystkich stron i już nic nie mógł na to poradzić. Jego głowa miotła się w prawo i w lewo, w uszach słyszał nie milknący huk.

Amin szarpnął się kilka razy, próbując wyrwać z żelaznego uścisku Cymmerianina, ale ten nie przestawał go tłuc z szybkością huraganu. I Amin poddał się. Przestał się opierać. Przygotował się na śmierć.

I wtedy przebudziły się Czarne Moce, które pomogły w poczęciu syna Dżumala.

- Oto on! - nie mogąc się opanować, krzyknęła Minolia, wskazując ręką arenę. - Przepowiednia się spełniła, Vellach! Starożytni wracają!...

W ogólnym hałasie panującym na trybunach nikt jej nie usłyszał.

Conan już o niczym nie myślał. Przemienił się we wściekłego zwierza, który ma tylko jeden cel - zabić. I on bił, bił, bił, czując, jak słabną napięte mięśnie przygniecione przez niego ciała, jak lata, niczym głowa szmacianej lalki, głowa przeciwnika.

I dopiero gdy poczuł, że Amin już nie stawia oporu, nie reaguje na ciosy, Conan opanował się. Spojrzał na rozłożonego pod nim wroga.

Oczy Amina były szeroko otwarte, na białkach lśniły przylepione do nich ziarenka piasku. W szeroko otwartym gardle było widać czarne jezioro krwi. Z głębi gigantycznego ciała Turańczyka nagle dał się słyszeć głuchy warkot, na wargach pojawił się różowy pęcherzyk spienionej krwi i wszystko ostatecznie ucichło.

Amin był martwy.

Conan zerwał z głowy pokonanego gladiatora Hełm, wstał chwiejnie, podniósł go wysoko nad głowę i wydał ogłuszający, toczący się nad trybunami jak łoskot gromu zwycięski ryk, wypędzając z ciała resztki bólu, napięcia i wściekłości; ryk, w którym zlały się w jedną całość czarna radość zwycięstwa, gniew na swoich dręczycieli, bezbronność wobec czarodziejskiej pajęczyny. Zaraz opuści się na niego nieprzenikniona mgła i on znowu stoczy się na dno przepaści niepamięci - aż do następnej walki...

Dookoła ogłuszająco ryczało ludzkie morze. Widzowie zrywali się ze swoich miejsc, coś krzyczeli, wymachiwali rękami; ci, którzy przegrali zakłady, wykrzykiwali pod adresem Conana przekleństwa, ci, którzy wygrali, krzyczeli z radości.

- Wspaniała walka! - wykrzyknął Haszyd, nie przestając bić brawa. - Wspaniała! Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś podob-

-68-

nego! Czyż nie tak, mój przyjacielu? - Odwrócił się do Dżumala, ale ten niczego nie słyszał.

Zaciskając ręce na poręczy, szach szklanymi oczami patrzył na trupa swojego obrońcy; opadła mu szczęka. Do tej pory nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Przecież Amin nie miał sobie równych ani na ziemi, ani w przedsionku Świata Demonów!... Haszyd, nie zwracając uwagi na osłupiałego gościa, odwrócił się do Aj-Bereka.

- No, czarowniku, pleć swoją pajęczynę. Pora już naszej ptaszynie wracać do klatki... Ejże, co się stało?...

Twarz i wargi Aj-Bereka były sine. Pochłonięty walką Haszyd nie wiedział, że czarownik trzykrotnie próbował zarzucić na niewolnika magiczną sieć... Bezskutecznie.

Nie zwracając uwagi na słowa swojego władcy, Aj-Berek przeniósł wzrok na Dżumala.

- Odpowiedz mi, wielki szachu. Twój strażnik... Twój syn był... nie był do końca człowiekiem, tak? - powiedział to cicho, niemal spokojnie, ale w jego głosie zadźwięczało coś takiego, że serce Ha-szyda ścisnęło się -jakby od dotyku niewidocznych lodowatych palców.

- Tak- równie cicho odpowiedział szach, nie odrywając wzroku od areny. - Tak.

- Co tu się dzieje, oby Iszta zapomniła o waszym domostwie?! - rozgniewał się Haszyd. - Dlaczego niewolnik dalej jest na wolności?

- Boję się, panie, że mamy poważne nieprzyjemności - Aj-Berek nerwowo gryzł dolną wargę. - Bardzo poważne.

Niektórzy świadkowie opowiadali potem, jak trupa pokonanego giganta na sekundę otuliła błękitna zasłona, a z jego ciała wystrzeliła w niebo wiązka czarnego światła. Nie umieli co prawda wyjaśnić, co właściwie oznacza to czarne światło, nie mieli też pewności, że im się to wszystko nie przyśniło, albowiem po tym, jak gladiator--zwycięzca wydał ryk triumfu, wydarzenia przyjęły absolutnie nieoczekiwany obrót.

X

Dziwnej przemiany ciała Amina Cymmerianin nie widział - nie miał wtedy do tego głowy.

Dlaczego ciągle był na wolności, dlacze-

-69-

go magiczna pajęczyna do tej pory nie okutała go swoim czarnym kokonem, barbarzyńca nie wiedział i nie miał czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

Gdy tylko uświadomił sobie, że ma szansę, znikomą, ale jednak szansę uratowania się, Cymmerianin pospiesznie się rozejrzał. Jedyne wyjście, żeby wydostać się z areny, otoczonej wysokim, zbudowanym z nie ociosanych kamiennych bloków murem, to przejść przez zakratowane wejścia, skąd wyrzuca się na piasek gladiatorów. Ale kraty są opuszczone, a za nimi stoją uzbrojeni strażnicy!

Conan założył zdobyczny hełm na głowę i błyskawicznie rzucił się w stronę najbliższego muru. Szczeliny pomiędzy blokami były niemal niewidoczne, ale nie miał innego wyjścia. W biegu wsadzając miecz za pas, Cymmerianin wymacał palcami szczelinę i zaczął się wspinać. Po trybunach przetoczyła się fala przerażonych okrzyków i, depcząc się wzajemnie, widzowie rzucili się do ucieczki.

- Panie - powiedział szybko Aj -Berek - trzeba koniecznie natychmiast zatrzymać tego człowieka. Nie mamy czasu na długie dyskusje, musisz mi zaufać. Duszą i ciałem służę ci już osiem lat i jeszcze nigdy nie dałem ci powodu do zwątpienia w moją wierność. Spełnij więc moją prośbę: natychmiast zabij tego niewolnika. Zakop go, zastrzel, spal, zaduś... Zrób, co zechcesz, ale nie pozwól mu wydostać się poza arenę.

Jeszcze nigdy satrapa nie słyszał od zazwyczaj tak obowiązkowego, milczącego i posłusznego maga takich kategoriycznych twierdzeń. .. Jednakże Haszyd nigdy nie zostałby władcą miasta i nie

utrzymałby się na tym stanowisku tak długo, gdyby nie umiał słuchać innych - nawet jeśli ci inni w swoich prośbach przejawiali krzyczącą nachalność.

Władczym gestem przywołał sługę i wydał mu kilka krótkich poleceń. Sługa pospieszył je wypełnić.

- No? - satrapa odwrócił się do Aj-Bereka. - Może teraz opowiesz mi, co się takiego stało i dlaczego niewolnik nie jest do tej pory we władzy tak wychwalanego przez ciebie zakłęcia?

Conan wskoczył na mur otaczający arenę i się wyprostował.

Widzów opanowała panika. Trudno im się dziwić - niezwykły gladiator, wściekły zwierz, którego powołaniem było zabijanie sobie podobnych, wyrwał się na wolność i teraz jest obok nich, porządnych obywateli Vagaranu! Publiczność oszalała ze strachu przed krwiożerczym dzikusiem i rzuciła się na łeb, na szyję do ucieczki. W przejściach powstały zatory, ludzie upadali na schody, biegnący

-70-

z tyłu przebiegali po nich, tłum napierał; krzyki przerażenia zlewały się z jękami pogrzebanych pod nogami, ratujących się ucieczką widzów.

Conan zwracał uwagę na ten ludzki kołowrót tylko o tyle, o ile pojawił się on na jego drodze.

Droga do wyjścia - oto, co interesowało barbarzyńcę. Ale niedawni widzowie tak popularnego widowiska w jednej chwili zamienili się w stado bezbronych owiec, obłąkanych ze strachu przed bliskością wilczego stada. Wszystkie wyjścia zostały zapchane ludzkimi ciałami i Conan nie mógł już wydostać się tą drogą.

Na wszelki wypadek - a nuż się uda? - Conan podniósł nad głową miecz, zaryczał i rzucił się w największy tłum.

Liczył na to, że widzowie jeszcze bardziej przestraszą się dzikusa, rzuca do ucieczki i w ten sposób otworzą mu drogę do wyjścia z trybun.

Niestety, przeliczył się: to, co zrobił wywołało tylko nowy pa-roksyzm strachu. Ci, którzy znajdowali się w pobliżu barbarzyńcy, próbowali jak najszybciej zniknąć w tłumie, ale potykając się i padając, zdołali co najwyżej oddalić się od dzikusa o dziesięć kroków - tak szczelna była ściana widzów.

Wymachując mieczem i wykrzykując przekleństwa, Conanowi dosłownie po głowach widzów udało się wspiąć zaledwie o osiem rzędów po trybunie. Potem kołyszące się ludzkie morze przeobraziło się, szalejący żywioł, w którym omal nie utonął.

Oczywiście, gdyby barbarzyńca puścił w ruch swój miecz, to prawdopodobnie w ciągu pięciu, sześciu uderzeń serca zdołałby oczyścić sobie drogę do wyjścia... Ale Conan nie mógł, nie chciał i nie umiał zabijać bezbronych obywateli. I dlatego najbliższe wyjście z trybun było dla niego beznadziejnie zapchane ludzką masą.

Conan się obejrzał.

Kraty, dopiero co zamykające wejście na arenę, zostały podniesione i dziesięciu wojowników w skórzanych zbrojach wybiegło na piasek, a z naprzeciwnka, od strony wyjścia z trybun, miotając przekleństwa pod adresem niezgrabnych, powolnych widzów, przez tłum przedzierało się pięciu strażników. Decyzję trzeba było podjąć natychmiast.

I Conan zeskoczył z powrotem na piasek znienawidzonej areny.

Stojący najbliżej Conana wojownik, zarzucił sieć, ale Cymme-rianin przyjął ją ostrze wyszarpiętego zza pasa miecza i jednym ruchem przeciął na pół. Nie pozwalając pozostałym ochłonać, jak

-71-

wicher przeleciał przez grupę żołnierzy i do Amina dołączyły cztery nowe trupy, a klinga barbarzyńcy zabarwiła się purpurą. Przy wyjściu z areny nikogo nie było i Conan rzucił się w tamtą stronę.

Żołnierze pojęli, co ma zamiar zrobić niewolnik i rzucili się za nim. Ale było już za późno.



Barbarzyńca wdarł się w wąskie przejście. Jeszcze jeden strażnik zastygł obok bloku z miedzianym krzyżakiem, za pomocą którego podnoszono i opuszczano kratę. Nie zdążył zorientować się, co się dzieje, nie zdążył otworzyć ust do krzyku, gdy silnym uderzeniem rękojeścią miecza Conan odrzucił go na przeciwległą ścianę. Ledwie ciało nieprzytomnego wojownika dotknęło ziemi, barbarzyńca przerzął grubą linę bloku i ciężka krata opadła z łoskotem tuż przed nosem prześladowców.

- Macie co robić, chłopaki - powiedział Cymmerianin i pobiegł ciemnym korytarzem ku niewiadomemu, byle jak najdalej od areny.

Po obu stronach znajdowały się cele z drzwiami z grubych, metalowych prętów. Najwidoczniej w nich czekali na swoje wyjście na arenę skazani na walkę gladiatorzy. Teraz były puste.

Co prawda, nie wszystkie: przed jedną z nich Conan zatrzymał się gwałtownie i kobieta, stojąca przy samych drzwiach odskoczyła w głąb swojego więzienia.

- Na Croma, kobieta-gladiator! - wykrzyknął zaskoczony barbarzyńca. - Wiele już w życiu widziałem, ale czegoś takiego...

Dwoma uderzeniami miecza strącił ciężki, kutny zamek i otworzył na oścież drzwi celi.

- Wychodź, tylko szybko.

Zrobił krok do przodu. Kobieta patrzyła na niego spode łba. Kilka powierzchownych ran najej ciele zostało nieumiejętnie przewiązanych jakimiś szmatami, które już nasiąknęły krwią... Conan zrozumiał, że kobieta całkiem niedawno była na tej przeklętej arenie... i zdaje się, że zeszła z niej jako zwycięzca. Parsknął. Wojowniczką, patrzcie ją!

- Wiesz, gdzie jest wyjście? - zapytał i ponieważ kobieta nie poruszyła się, dodał wyciągając do niej rękę: - Hej, słyszysz mnie? Gdzie jest wyjście, nie wiesz?

Z szybkością błyskawicy przemknęła szczupła, ale silna ręka i Cymmerianin, sycząc z bólu, mimo woli odskoczył. Na nadgarstku napływały krwią cztery głębokie zadrapania.

- Ach, ty kocico! - wykrzyknął zdziwiony. - Jeszcze drapie! A to siedź tu sobie, czekaj na żołnierzy, zaraz tu będą.

-72-

Rzeczywiście, z głębi korytarza dało się słyszeć skrzypienie -wspólnym wysiłkiem prześladowcom udało się podnieść kratę.

Nie zwracając więcej uwagi na wściekłą dziewczkę, Conan wyskoczył z celi i pobiegł dalej korytarzem.

Pętla zakrętu. Krótki kawałek prostej, oświetlony wlewającym się z ulicy światłem. Dwóch żołnierzy pospiesznie wyskakuje z kończących korytarz obitych żelazem drzwi, przykrywając je, ale nie starając się ich zamknąć.

Szybki skok. Barbarzyńca szarpie na siebie masywną klamkę w kształcie głowy orła i wyskakuje na zewnątrz. Ach, więc to dlatego nie zamknęli drzwi!

Tylny podwórzec ze słupem do przywiązywania koni, odgradzony od świata zewnętrznego wysokim murem z przezornie zamkniętymi na zasuwę wrotami, był dosłownie zapchany żołnierzami. Prawdopodobnie tutaj czekał na zakończenie przedstawienia oddział odprowadzający gladiatorów do koszar albo chroniący jakiegoś wielmożę. A zresztą, co za różnica! Skoro wpadł właśnie na nich, to znaczy, że przez nich będzie musiał się przedzierać. I to czym prędzej -jeszcze chwila i będzie tutaj kolejne stado szakali.

Zastygłego obok drzwi barbarzyńcę-gladiatora i najeżony kopiami i szablami półokrąg oddzielało pięć kroków, których wojownicy potężnego Haszy da nie spieszyli się pokonać. Ale Conan nie mógł pozwolić sobie na luksus wyczekiwania.

Na tym podwórku, o raczej gospodarczym niż strategicznym znaczeniu, obok koni i żołnierzy, znalazły swoją czasową lub stałą przystań różne przedmioty, duże i małe, używane i takie, które powoli przemieniały się w chłam. A wśród nich - ogromny rydwan z robiącymi spore wrażenie olbrzymimi kołami, przeznaczony najwidoczniej do parad. Jego długie dyszle leżały, wbite w piasek, bardzo blisko otworzonych na oścież drzwi, a więc bardzo blisko Conana.

I barbarzyńca ruszył nie w stronę ustawionych w szyku bojowym żołnierzy Haszyda, lecz do dyszlów rydwanu, jednocześnie wsadzając miecz za pas.

Podnosząc okrągłe żerdzie i opierając ich końce o swoją pierś, Conan naparł na nie całą swoją masą. Koła wielkości człowieka ledwo drgnęły. Cymmerianin szarpnął dyszle na siebie. I tak na zmianę: do przodu i do siebie, do przodu i do siebie... Żołnierze jakby się ocknęli i dodając sobie nawzajem otuchy okrzykami, rzucili się na

-73-

zbuntowanego gladiatora. W tym czasie Conan dopiął celu - koła zrobiły pełny krąg i ciężki powóz ruszył z miejsca.

Na nogach i popychających dyszle rękach wystąpiły nabrzmiałe żyły, całe ciało napięło się w wysiłku jak najszybszego rozpędzenia drewnianego kolosa. Żołnierze, którzy rzucili się na gladiatora, wpadli na masywne boki rydwanu, który właśnie odwrócił się w ich stronę. Ktoś ogłuszony upadł na ziemię, po kimś przejechało koło, wbijając się w ciało całym ciężarem tego, kogo niosło na sobie, biegnący z tyłu napierali na tych na przodzie i byli przewracani przez tych, którzy prerażeni rzucili się z powrotem - jak najdalej od masywnego powozu. Conan staranował rzędy prześladowców i zawrócił swo- janiezwykłąbroń do ściany, żeby wzdłuż niej, znosząc wszelkie przeszkody, podejść do bramy, otworzyć ją i ... no, co będzie, to będzie.

Plan by się powiódł, gdyby miał przed sobą uzbrojoną hałastrę, a nie żołnierzy regularnej armii, czego jak czego, ale szybkiego opanowywania się i tłumienia paniki jednak nauczonych.

Nieoczekiwany obrót wydarzeń wywołał w szeregach polujących na gladiatora zamieszanie, ale myśliwi szybko się przegrupowali i umożliwiając rydwanowi swobodny przejazd, nie przeszkadzając sobie nawzajem, rzucili się w pogoń za siłaczem, żeby zaatakować jego nieosłonięte plecy. Conan obejrzał się - jeszcze chwila i żołnierze go dogonią. Rzucił dyszle.

Rydwan przejechał jeszcze kawałek siłą rozpędu, a potem koła ugrzęzły w piasku. Conan wyszarpnął miecz zza pasa i odwrócił się w stronę prześladowców. Cóż, jak miecze, to miecze.

Chociaż... Conan wbił swój dwuręczny miecz w piasek.

Wzdłuż ściany, przy której zamarł Conan, walały się różne śmieci, zrzucone tam, gdzie nie przeszkadzały nikomu, aż do chwili, gdy ktoś je zauważy i rozkaże uprzętać.

Potężny barbarzyńca chwycił za kowadło - najwidoczniej gdzieś w pobliżu była również kuźnia - które przed sekundą zauważył i które zmieniło jego plany, wyprostował się, trzymając w rękach ciężki, morderczy monolit, lekko skrzył tułów i cisnął ten przerażający nabój w nadbiegających zbrojnych.

Trzask rozpadających się drzazgi tarcz, chrzęst łamanych kości, dźwięk metalu zmieszały się z wyciem prerażenia i agonialnym charczeniem. Ranni i prerażeni żołnierze przeszkadzali swoją bieżącą odważnym i wściekłym. I wtedy rozbrzmiał dziki, wbijający strach w uszy wrogów, bojowy okrzyk synów Cymmerii. Wyszarpnąwszy miecz z piasku Conan wbił się w płataninę wagańskich żołnierzy. Barbarzyńca z lekkością zaznajamiał ciała wrogów ze stałą,

-74-

która kierowana bezlitosną ręką, przelała rzeki krwi. Wojownicy Haszyda nie umieli poradzić sobie ze strachem przed tym dzikim zwierzęciem, które wyrwało się na wolność. Ścisk i tłok przemieniały żołnierzy w tusze do rozbioru. Ci, którzy przeżyli huraganowy atak rozjuszonego gladiatora, rzucili się do ucieczki. Conan nie miał zamiaru gonić za nimi po podwórku, pobiegł w stronę zamkniętej bramy. Żołnierze, którzy ośmielili się stanąć na jego drodze, bądź to ufając swojemu doświadczeniu wojennemu, bądź też licząc na pomoc miejscowych bogów, ginęli odjednego, maksimum dwóch ciężkich mieczy barbarzyńcy.

Przy samej bramie już nikt na niego nie czekał. Odlatuje w bok zasuwa, otwierają się skrzydła bramy. Miasto. Jakiś plac, mnóstwo ludzi... Na Croma! Jak mógł o tym nie pomyśleć! Słup do przywiązywania koni, konie! Dla nich warto wrócić.

Na porzuconym przez Cymmerianina podwórku, akurat przy drzwiach prowadzących do pomieszczeń, w których trzymano gladiatorów, działo się coś dziwnego. Wzlatywały i opadały

szable, vagarańczycy padali na piasek. Conan biegł do słupa, nie spuszczać wzroku z niezrozumiałego tumultu. I gdy był już w połowie drogi do celu, zrozumiał, o co chodzi. Zamajaczyły zarysy kobiecego ciała, czarne loki, związane rzemieniem, khorajska szablą w pięknej ręce. „A niech mnie!... - Cymmerianin był wstrząśnięty. - Wyrwała się, szablę któremuś zabrała... wygląda na to, że moich prześladowców też tego... Ale walcz! Z kupą mężczyzn się bije, z żołnierzami, nie z byle pacholkami... I do tej pory żywa!”.

Barbarzyńca musiał na chwilę oderwać oczy od niezwykłej kobiety i przerwać swój bieg w stronę koni, żeby zarąbać dwóch żołnierzy, którzy nabrali śmiałości i próbowali przeciąć mu drogę. A potem. ..

Nie pierwszy już raz nie posłuchał głosu zdrowego rozsądku, tylko swojego niezrozumiałego dla zwykłych ludzi wyobrażenia o honorze. Zgodnie z nim nie mógł teraz nie pospieszyć z pomocą kobiecie, mimo że ta już raz odmówiła jej przyjęcia, a ślady tej odmowy nieprędko zejdały z ręki barbarzyńcy.

- Na mnie, czarcie pomioty! - twarze vagarańczyków, którzy odwrócili się, słysząc ten ryk, wykrzywiła złość i strach.

Okrutny dziki zwierz powrócił. I znowu jego ogromny, bezlitosny miecz lśni w słońcu, z potworną szybkością przecinając powietrze, spada gradem ciosów, rozpruwa kolczugi, roznosi tarcze w drzazgi, wbija, próbując powstrzymać go szablą w ciała ich właścicieli.

-75-

I znowu przywykli do pokornej uległości, odzwyczajeni w próżni-czym życiu od walk na śmierć i życie, żołnierze miejskiego garnizonu nie wytrzymali wściekłego ataku samotnego wojownika i rzucili się do ucieczki.

Między Conanem i bezimienną wojowniczką, skapaną we krwi, ale żywą, leżało na piasku pół tuzina zabitych i rannych vagarańczyków. Niebezpieczna nieznajoma wpiła w swojego nieproszonego oswobodziciela pełne złości spojrzenie. Jej usta krzywiły się i drżały, psując wygląd ładnej twarzy. Czekać, co tym razem zrobi zwariowana gladiatorka, Cymmerianin nie miał zamiaru. Pomógł jej, a teraz niech robi, co chce: albo razem z nim na konie i jazda stąd, albo samemu diabłu w paszczę. Barbarzyńca odwrócił się do kobiety plecami i pobiegł do koni. Tym razem już nikt mu nie przeszkadzał.

„Dobrze, że ci idioci nie mają łuków - pomyślał mimochodem Conan. - Ale w pogoni na pewno będą łuczniczy”.

Cymmerianin wyłuskał wśród przywiązanych i przezornie osiodłanych koni dużego hyperboryjskiego źrebca. Odwiązał go, wskoczył na siodło. I zobaczył, jak obok na chyżą ophirską kobyłę lekko i pewnie, niczym wytrawna kawalerzystka, wskakuje jego niespodziewana towarzyszka. Kompletnie zaskoczeni żołnierze nie próbowali już przeszkodzić gladiatorom uciekinierom opuścić podwórzec przez otwartą na oścież bramę. Vagarańczycy stoczyli się wzdłuż płotu po przeciwległej do koniowięzu stronie i omawiali szczegóły przyszej pogoni.

Barbarzyńca i jadąca nieco z tyłu kobieta wypadli na przylegający do areny plac nie znanego im obojgu Vaganu, przecięli go szalonym galopem, zmuszając mieszkańców miasta do ucieczki w różne strony i skręcili w pierwszą napotkaną ulicę. Conan pomyślał, że w którąkolwiek stronę by się udali, w końcu i tak natrafiana opasujący to (jak zresztą i każde inne) miasto mur. A jadąc wzdłuż niego prędzej czy później będą musieli znaleźć bramę. W ciągu dnia brama powinna być otwarta, jeśli oczywiście wiadomość o ich ucieczce nie dotarła do pilnujących jej strażników. I wtedy uda im się wydostać z tej pułapki, zwanej Vaganem. A jeśli wiadomość już dotarła, to brama jest zamknięta i... I wtedy zobaczymy, zdecydował Cymmerianin.

Wąska, kręta uliczka, którą jechali, pozostawiając za sobą zasłone pyłu, była niemal pusta.

Nieliczni przechodnie odskakiwali na boki, przywierając do białych glinianych ogrodzeń, które wznosiły się po obu stronach.

-76-

Conan bezlitośnie chłostał wierzchowca. Jego towarzyszką cały czas jechała tuż za nim. Nie skręcali w żaden z ciasnych zaułków - w nich musieliby przejść w stęp.

Zakręt, po nim jeszcze jeden. Barbarzyńca gwałtownie osadził konia, ten stanął dęba. Kobieta musiała zrobić to samo. Ulica kończyła się kolejną białą ścianą.

- Z powrotem! Skręcamy w zaułek! - krzyknął Conan i ściągnął cugle. Kobieta zrobiła to samo. A jakie mieli inne wyjście...

Nie udało im się jednak dojechać do zaułka. Już na pierwszym zakręcie zobaczyli nadciągającą falę błyszczących zbrojami jeźdźców.

„Do diabła, pogoń! A to się uwinęli!”. Nie było czasu na zastanawianie się, trzeba było znowu zawrócić. I znowu ta sama ślepa uliczka.

- Rób to, co ja!

Conan spowolnił krok konia, podprowadził go do niskiego ogrodzenia i się zatrzymał. Rzucił lejce, stanął na siodle, odbił się i skoczył. Chwytając rękami za występ glinianego ogrodzenia, podciągnął się i wskoczył na gruby murek.

- Dalej, ślicznotko! Na Croma, na co czekasz?

Conan przyzywając machał ręką, pokazując głupiej babie, że trzeba przeskoczyć przez ogrodzenie, zanim nadjadą łucznicy, a może nawet wojownicy z kuszami, którzy błyskawicznie wystrzelają kinierów jak kuropatwy. Ale dziwna kobieta nie spieszyła się, harcując na koniu pomiędzy ścianami ich pułapki. Jej dłoń zbyt zdecydowanie ścisnęła rękojeść odsuniętej w bok szabli, jakby kobieta miała zamiar przyjąć walkę.

„Po niej można się wszystkiego spodziewać - rozłościł się Cymmerianin. - Do diabła! Jakbym miał mało swoich kłopotów! Na Croma, czemu te kobiety nie siedzą w domu?!”.  
Najgorsze było to, że Conan nie mógł porzucić tej wariatki, nie umiał zostawić jej samej przeciwko, na pewno licznym i oczywiście uzbrojonym, żołnierzom. Czy rzeczywiście trzeba będzie wdawać się w niepotrzebną, niemal skazaną na przegraną, walkę w tej ślepej uliczce?

Ale najwidoczniej jeden i zapewne ostatni okrucieństwa zdrowego rozsądku zachował się w okolonej czarnymi kędziorami główce. Wojowniczką w końcu podjęła decyzję. Opuściła szablę, podjechała do ogrodzenia, na którym siedział mężczyzna z długim mieczem na kolanach i zrobiwszy to wszystko, co wcześniej zrobił Conan (a na-

-77-

wet dużo zręczniejszy - pomyślał ze zdziwieniem barbarzyńca), znalazła się obok niego na grzbiecie szerokiej glinianej ściany.

Zeskoczyli na dół, w gęste krzewy jakiegoś sadu, podchodzące pod samo ogrodzenie. W samą porę: w ślepa uliczkę, gdzie pozostawili swoje konie, wjechał oddział vagarańskich żołnierzy, i każdy z nich trzymał w pogotowiu kuszę, szykując się do naciśnięcia na spust, gdy tylko pojawią się uciekinierzy.

Niedawni gladiatorzy przedzierali się przez krzewy, omijali drzewa, przelazili przez wysokie i przeskakiwali przez niskie ogrodzenia, omijali z daleka pojawiające się na ich drodze domy i inne budynki. Gdyby nawet ktoś ich gonił, to i tak straciłby ślad w tym labiryncie podobnych do siebie sadów, domów, kwietników, szop, płotów...

Pora było pomyśleć o chwili wytchnienia, dać w końcu odpocząć rąkom i nogom, opatrzyć rany, zebrać myśli i postanowić, co dalej. Wkrótce Conan wybrał miejsce, odpowiednie pod każdym względem dla pragnących odpocząć w ukryciu uciekinierów.

Cymmerianin opadł na trawę malutkiej polanki, schowanej przed ludzkim okiem w gęstych krzewach jaśminu, odchodzących półkołem od niewysokiego i na wpół rozwalonego kamiennego ogrodzenia. Przez prześwity w płataninie liści i gałęzi doskonale było widać solidny piętrowy dom, stojący w znacznym oddaleniu od znalezionej przez zbiegów kryjówki. Każdy ruch w okolicy domu zostanie przez nich natychmiast zauważony. Za ogrodzeniem rozpościerał się zapuszczony sad, w którym w razie czego można się będzie schować, migiem przeskakując przez rozwalony murek.

Towarzyszka barbarzyńcy, która ani na chwilę nie została w tyle i, pomimo długiego biegu, przez cały czas równo oddychała, wypadła na ustronną polankę i zatrzymała się niezdecydowana. Jej czoło przecięła zmarszczka namysłu. Najwidoczniej kobieta zastanawiała się, czy ma dalej pozostać z tym barbarzyńcą, czy też nadeszła pora rozstania.

Tymczasem Conan siedząc ze skrzyżowanymi nogami na miękkim, zielonym kobiercu trawy, położył przed sobą miecz i zaczął oglądać i obmacywać swoje ciało. „Głupstwo, same zadrapania, zagoi się” - podsumował oględziny... Ale gdyby na jego miejscu był normalny człowiek, nie wojownik, albo nawet wojownik, który jednak nie miał za sobą tak wielu bitew, walk, starć i bijatyk, a co za tym idzie i wszelkich możliwych ran, albo gdyby na jego miejscu był cywilizowany człowiek, nienawykły powierzać swojemu ciału dbania o gojenie się ran, wierzący w eliksiry, okłady i rady uczo-

-78-

nych doktorów - tenże człowiek zacząłby się poważnie niepokoić

O swoje zdrowie i życie, widząc na swoim ciele tyle śladów pozostawionych przez turańską i vagarańskąbroń.

Kobieta dokonała już wyboru: usiadła na drugim końcu maleńkiej polanki, podwinęła pod siebie nogi, położyła obok zdobyczną szablę, tak, żeby w razie konieczności nie stracić nawet sekundy i natychmiast móc ją pochwycić.

Teraz Conan oglądał swój miecz, dużo staranniej niż rany na własnym ciele. Klinga wymagała naostrzenia - same szczyrby i zadry, za które należałoby przede wszystkim podziękować temu wieprzowi z areny. Dobrze by było pociągnąć po brzegu ostrza chociażby tym kawałkiem kamiennego ogrodzenia, niestety, dźwięk ostrzenia mógłby, gdyby go usłyszano, wywołać niepotrzebne zainteresowanie. Dźwięk ludzkiego głosu nie powinien nikogo zaniepokoić - ot, ktoś wlaź w krzaki i szepcze. Na przykład zakochani. Na ustach Cymmerianina pojawił się mimowolny uśmiech: tak, nie ma co, on

I ta dzikuska wyjątkowo przypominają zakochanych. Pewnie nawet porozmawiać się z nianie uda. Najprawdopodobniej tę dziką kotkę złapano w nieprzebytych lasach, gdzie mieszkała razem ze swoim nielicznym rodem samotników, mówiącym w im tylko znanym narzeczu i nie podejrzewającym nawet, że są inne narody i inne języki... Conan oczywiście widywał już plemiona kobiet-wojowniczek - w Hyrkanii i w Czarnych Królestwach, ale jeszcze nigdy nie widział tak wytrawnych wołyżerek... Ale z drugiej strony, może ona od dawna jest w niewoli, wożąc jąpo arenach różnych miast, to i nauczyła się pewnych rzeczy.

- A zresztą, co mnie to obchodzi. Wszystko mi jedno, kim jest i skąd pochodzi - nieoczekiwanie dla samego siebie Conan powiedział to na głos. Niezbyt głośno, ale i nie szeptem. - Żeby tylko w najbardziej nieodpowiednim momencie, jeśli pójdzie ze mną dalej, nie kręciła się pod nogami. Żeby nie narobiła jakichś głupot.

Kobieta z nieprzebytych lasów siedziała przez cały czas w tej samej pozie. Oczy przymknięte, tylko wąskie szparki, przez które obserwowała Conana i wszystko wokół. Prawdziwa kocica, nie ma co! Wyraz jej twarzy nie zmienił się nawet wtedy, gdy Conan zaczął mówić na głos.

- Szkoda, że nie uda mi się wyjaśnić ci, co zamierzam zrobić dalej - ciągnął Conan, spoglądając kpiąco na swoją towarzyszkę broni. - Chociaż plan jest prosty. Mam nadzieję, że zorientujesz się, co robię i po co.

-79-

- Może jednak spróbujesz mi to wyjaśnić, brudny barbarzyńco. A nuż zrozumieć? - oczy siedzącej naprzeciw kobiety otworzyły się szeroko, nie kryjąc czającego się w głębi gniewu.

- Oho, umiesz mówić! - w okrzyku Conana zabrzmiało zdziwienie i radość. Co prawda, brudny barbarzyńca nie było najmilszym przewiskiem, jakim obdarzały go kobiety, ale teraz przynajmniej miał się do kogo odezwać w tym mieście potworów. - Wygląda na to, że mamy wspólny cel - wyrwać się z tej kupy gnoju, w której żyją sami niedorozwinięci i mamroczący zaklęcia zwyrodnialcy. A więc będziemy uciekać razem. Mnie zowią Conan z Cymmerii.

- Nie miałeś szczęścia, Conanie. Przyszedłeś na świat jako jeden z godnych pogardy, zarozumiałych, nadętych, głupich, świnio-podobnych istot, zwanych mężczyznami i niegodnych miana ludzi. Mojego imienia nie wyrwiesz ze mnie nawet torturami - głos wojowniczkę można by nazwać słodkim, ale wrażenie słodczy psuły pełne napięcia nutki wściekłości.

- Jakimi torturami? - wzruszył ramionami Cymmerianin. - O czym ty mówisz, kobieto? Ale muszę przyznać, że twoja mowa nie przypomina języka dzikusów z Czarnych Królestw. W jakich to krainach, powiedz na miłość, żyją takie wesole kobiety? Odwiedziłbym was... Conan bawiła ta rozmowa, tym bardziej że nie było nic innego, czym można by się było zająć. Dlatego puszczał mimo uszu wszystkie obrazy pod swoim adresem i adresem swoich pobratymców.

- Mieszkam tam, gdzie bogowie poustawiali wszystko na swoich miejscach i gdzie triumfuje sprawiedliwość. Gdzie samce mogą robić tylko to, na co zasługują. Urodzić się, wyrosnąć, zmęznić, zapłodnić kobietę i umrzeć...

- Poczekaj no... Nie pochodzisz przypadkiem z tego plemienia okrutnych kobiet, które zowią Amazonkami? Wiele pogłosek o was krąży po świecie...

Kobieta-gladiator zerwała się i zacisnęła dłoń na rękojeści wa-garańskiej szabli.

- Kpisz sobie, brudny barbarzyńco! - jej oczy niemal rzuciły czarne błyskawice. - Wstawaj! Zaraz na swojej skórze doświadczysz naszego okrucieństwa!

- Nie mam nic przeciwko temu - odpowiedział spokojnie Conan. - Tylko może najpierw naszymi klingami podziękujemy tutejszym mieszkańcom za gościnność i wydostaniemy się z miasta. A potem, jeśli tylko sobie zażyczysz...

-80-

Czarnooka kobieta podeszła do siedzącego mężczyzny.

- Życzę sobie tutaj i teraz. I nie wykręcisz się, barbarzyńco. Albo sam rozwalisz sobie czaszkę, albo będziesz się bronił. A jeszcze chcę ci powiedzieć, chociaż nie spodziewam się, że to zrozumiesz, że prawdziwe dzikusy to właśnie wy - zamieszkujący tak zwane cywilizowane ziemie, wy, którzy ustanowiliście władzę mężczyzn i poczytujecie za szczęście swoją roślinność w brudzie, niechlujstwie i rozpuście. Wy, traktujący kobietę jak rzecz, to właśnie wy jesteście prawdziwymi, nikczemnymi dzikusami. Może i żyjemy z dala od wielkich miast i kupieckich szlaków, ale dzięki temu, że pozbyliśmy się mężczyzn i ich despotyzmu, osiągnęliśmy prawdziwą wolność i korzystamy z niej tak, jak przystało człowiekowi. Doskonaliśmy się. Każda z nas zna co najmniej tuzin języków, przeczytała tyle książek, ilu ty nawet na oczy nie widziałeś w całym swoim życiu i włada swoim ciałem i bronią tak, jak żaden mężczyzna władał nigdy nie będzie - bo jest za tępy i zbyt leniwy...

Kobieta mówiła i mówiła, i razem ze słowami wychodziła z niej wściekłość i rozdrażnienie, a ostrze khorajskiej szabli opuszczało się coraz niżej. Conan słuchał uważnie tego, co mówiła i dziwił się, jak jej to ładnie i składnie wychodzi, prawie jak u proroków czy handlarzy eliksirami nieśmiertelności. Wprawdzie mówi trochę zbyt głośno, ale gdyby próbował jej teraz przerwać, znowu zaczęłaby wymachiwać szablą i żądać, żeby się bronił. A tak to się wygada i uspokoi. Też przecież swoje przeszła... A jak się nie uspokoi, to trzeba będzie podciąć jej te zgrabne nóżki, powalić nieszczęsną na ziemię, przycisnąć do ziemi rękę z krzywą szablą, wyrwać szabelkę z dłoni, gdzie, bez względu na to, co Conan właśnie usłyszał, nie jest jej miejsce, związać ślicznotce nadgarstki jej własnym rzemieniem, tym, który wiąże włosy, a łydki pasem, noszonym na wąskiej talii. I wtedy zostawi ją w tych krzakach i jakoś będzie musiała poradzić sobie sama, skoro z niej taka nieugięta wojowniczka.

- ... a już na pewno żadna kobieta nie założyłaby takiego brzydkiego i niewygodnego hełmu, jaki ty wsadziłeś sobie na głowę.

- Hełm? - wpadł jej w słowo Conan. - Jaki znowu hełm?

- Ten, który masz na tej swojej łepetynie wielkości niemowlęcej pięści! - odpowiedziała z rozdrażnieniem kobieta.

Cymmerianin nic nie rozumiejąc, podniósł rękę do głowy i -rzeczywiście! - namacał nie znany mu przedmiot, zimny, metalowy kołpak, zakrywający głowę od karku do nosa, od jednej skroni do drugiej. Z dziwną, niezrozumiałą niechęcią barbarzyńca ściągnął

6 - Conan i prorok ciemności

-81-

z głowy brązowy hełm i obejrzał go, jakby widział go po raz pierwszy. Kunsztowna robota, nie ma co - mocny, mający wytrzymać cięcie mieczem czy toporem grzebień, wytrzymałe, ozdobione grawe-runkiem ochraniacze, osłaniające policzki, gruby, ale gustowny trzon, chroniący oczy i nos przed uderzeniem...

Skąd on go ma?... Conan przypomniał sobie, jak w ogniu walki z demonicznym gladiatorem zdołał zerwać hełm z martwego ciała i... i..., ale jak on znalazł się na jego głowie, barbarzyńca nie wiedział. I nie dane mu było przypomnieć sobie.

- Cicho! Kładź się! - Cymmerianin poparł swój wściekły szept gwałtownym ruchem ręki, każąc gadatliwej kobiecie położyć się na trawie.

Barbarzyńca słuchał przemowy groźnej Amazonki, myślał przy tym o najróżniejszych sprawach, ale jednocześnie ani na chwilę nie osłabił czujności i zauważał nawet najlżejsze szmery i ruch.

- Siadaj, żeby cię! Mamy gości.

Conan wskazał ręką dom... I, sam tego nie zauważając, znowu założył na głowę nieszczęsny hełm. Nasłuchując i wpatrując się w prześwity w liściach, kobieta zobaczyła to, co już wcześniej zauważył jej towarzysz. Od budynku oderwała się i szła w ich kierunku ludzka postać. Amazonka przysiadła na piętach. Uciekinierzy przyglądali się idącemu człowiekowi. Był to wysoki, bardzo chudy, niezgrabny i niechlujnie odziany mężczyzna. Po jego twarzy błędził uśmiech, w jednej ręce trzymał duży gliniany dzban z wąską szyjką, w drugiej kubek. Pewnym krokiem zmierzał do ich kryjówki.

- Chciałem poczekać tutaj do nocy - szept Conana tak był wyliczony, żeby dotrzeć tylko do uszu kobiety, dla której był przeznaczony i nie wydostać się dalej nawet na palec. - A wtedy wszedłbym do domu i trochę się tam pokręcił. Mam w tej dziedzinie pewne doświadczenie. Znalazłbym coś do jedzenia, do picia, może jakieś odzienie. Przydałoby się przebrać w miejscowe szmatki, bo w tych zbrojach za bardzo się wyróżniamy. A teraz, zdaje się, że na myśliwego napada zwierz. Jeśli ten z dzbankiem wlezie w krzaki, to szybko się dowiemy, gdzie oni tam co trzymają, gdzie...

Cymmerianin umilkł, przyłożył palec do ust, dając do zrozumienia pragnącej coś powiedzieć kobiecie, że nadeszła pora absolutnego milczenia. Nieproszony gość był coraz bliżej i nie miał zamiaru

-82-

zmienić kursu. Conan szybko ocenił gęstwinę ukrywających ich krzewów i znalazł wśród gałęzi prześwit, z którego najwidoczniej korzystali szukający na polance odosobnienia. Jeśli człowiek ze dzbanem wejdzie w krzaki, to na pewno tędy. Barbarzyńca przesunął się, żeby nie zostać odkrytym przed czasem. Jeśli tylko ten człowiek tu wejdzie...

Człowiek wszedł.

XI

- I wtedy, Wielki Mistrzu, spiesząc się ogromnie wróciliśmy, żeby donieść ci, co zdarzyło się na arenie i czego świadkami byliśmy - zakończył swoją opowieść Vellach, mężczyzna w szatach kapłana Niewiadomego, obecny na trybunach areny w czasie walki tytanów.

Razem ze swoją towarzyszką Minolią stał w ogromnej podziemnej sali, kształtem przypominającej czarę - ściany wokół okrągłej, ozdobionej mozaiką podłogi, płynnie rozszerzały się ku sufitowi, skrytemu w dymie palących się kadzideł. Stamtąd, z niewidocznego sufitu, zwisały lśniące kwarcem, gigantyczne stalaktyty, a ku nim z podłogi wybrzuszały się olbrzymie stalagmity, przypominające zęby cyklopa.

Z zewnątrz na wpół zburzony klasztor mógł się wydawać niewtajemniczonemu widzowi wprawdzie ogromną i złowieszczą, ale przede wszystkim zmęczoną i wymagającą remontu

budowlą. W środku wyglądał zupełnie inaczej. Co prawda, niewtajemniczony widz nigdy by się o tym nie przekonał - kapłani Niewiadomego nie wpuszczali nikogo obcego do wnętrza klasztoru. A głęboko pod fundamentem krył się zupełnie inny klasztor, ogromny, nieprzystępny, z labiryntem korytarzy, mnóstwem ogromnych sal, przestronnymi celami i niszami, przeznaczonymi specjalnie do odosobnienia i modlitw. Kto i kiedy wykuł w skale te podziemia, czy stało się to niedawno, czy też na długo przed przybyciem kapłanów, którzy pojawili się tu bez mała trzysta lat temu - nie wiedział nikt.

Kapłani zwali się braćmi Zakonu Dnia Ostatniego.

Pośrodku sali, gdzie stali Vellach i Minolia, wznosił się tron, wydrążony w ciele stalagmitu. U jego podnóża spokojnie szemrała niewielka fontanna. Ale to nie woda wypełniała ją życiem, lecz sub-

-83-

stancja przypominająca zimny płynny ogień. Jego jaskrawe, mieniące się światło oświetlało całą salę.

Przez jakiś czas w sali panowała pełna napięcia cisza, zakłócana tylko szmerem magicznego źródła. Wreszcie, ze skrytych w cieniu głębin tronu wychyliła się postać w białej szacie członków zakonu. Kaptur, tak jak i u przybyszów, był odrzucony, albowiem bracia nie mają powodu, by kryć przed sobą swoje twarze. Odblask płynnego ognia podświetlał z dołu twarz kapłana, nadając mu złowieszczy wygląd. Mistrz przemówił i jego głos, spokojny, równomierny, lekko schrypnięty, rozbrzmiał echem pod sklepieniem sali:

- Jesteście pewni, że to był ten sam Hełm?

- Tak, Wielki Orlandarze - odpowiedział bez wahania Vellach. - Żadnych wątpliwości.

- Oprócz tego oboje doskonale widzieliśmy czarne światło, o którym jest mowa w przepowiedniach - dodała Minolia.

- Tak - Mistrz znowu zatopił się w cieniu swojego tronu. - Opowiedzcie mi jeszcze raz, jak zakończyła się walka.

- Gdy pierwszy olbrzym upadł, drugi usiadł mu na piersi i zaczął okładać go pięściami. Żaden człowiek nie wytrzymałby nawet jednego tak silnego uderzenia, ale ten, który nosił Hełm, bardzo długo wytrzymał ten grad ciosów i przez cały czas próbował się wyrwać. Ale potem ucichł i, sądząc po ułożeniu ciała, umarł. Wtedy drugi wstał i zerwał z głowy pokonanego Hełm...

- Nie - poprawiła go Minolia. - Najpierw zdjął Hełm, a dopiero potem wstał.

- To nieistotne. Zdjął Hełm uniósł go nad głową i zakrzyczał. Klnę się na Starożytnych, Wielki Mistrzu, nigdy przedtem nie słyszałem tak dzikiego ryku. Tak jakby nie człowiek krzyczał, lecz... lecz rozwścieczone zwierzę...

- A może demon? - twarz Orlandara na sekundę wychylnęła z cienia i w jego oczach pojawiła się nieskrywana ciekawość.

- Niee... - Vellach zastanawiał się przez chwilę i twardo potwierdził: - Nie, Mistrzu. Mimo wszystko był to krzyk człowieka. Potężnego, rannego, wściekle rozgniewanego - ale człowieka.

- Dobrze - Orlandar znowu skrył się w mroku i przez jakiś czas milczał.

Jego poddani widzieli, że Mistrz jest zaniepokojony, ale nie rozumieli, dlaczego - przecież przepowiednia spełniła się i istnienie Zakonu Dnia Ostatniego wreszcie zostało usprawiedliwione: Starożytni powracają!

-84-

- Idźcie i zaproście do tej sali wszystkich braci i siostry - rozkazał Wielki Mistrz, a jego głos jak zawsze tchnął spokojem. - Wszystkich, nawet tych, którzy zajęci są pilną pracą. Nastął dzień, kiedy los naszej sprawy zależy od każdego z nas. W takiej godzinie nikt nie powinien stać z boku. Idźcie. Osobisty mag Haszyda, Aj-Berek, jak błyskawica wbiegł po schodach, prowadzących na sam szczyt wieży, wieńczącej pałac satrapy. Wiedział, że musi się spieszyć, wiedział też, że już się spóźnił. Nikt i nic nie może powstrzymać nadejścia Ciemności. Czarownik dopadł półek z księgami, zajmujących całą północną ścianę jego mieszkania, przebiegł oczami po tytułach i zatrzymał się na jednym z nich - „Andorimanta”.



Biblioteczka każdego szanującego się czarnoksiężnika załamuje się pod księgami, papirusami, manuskryptami, a nawet glinianymi tabliczkami, zawierającymi wszelkie możliwe proroctwa - fałszywe i prawdziwe, niejasne i wyjątkowo zrozumiałe, krótkie i zajmujące całe tomy. Wśród tych wszystkich przepowiedni najbardziej interesujący dla magów jest foliał „Andorimanta”, składający się z jasnowidzeń szamanów plemienia Ogu-Ra, zamieszkującego podnóże dalekich Rabirajskich gór. Przepowiednie te są zazwyczaj niezrozumiałe, dwuznaczne i słyną z jednej niemiłej cechy: lubią się spełniać - prędzej czy później.

Metoda otrzymania proroctwa była nadzwyczaj prosta, ale nieco pracochłonna. W każde święto nowiu szaman wybiera z plemienia ofiarę, którą upajają narkotykami, a następnie zabijają. Jak wiadomo, w chwili śmierci przed człowiekiem otwiera się Przeszłość i Przyszłość. Z pomocą zaklęć i specjalnych ziół szamanowi udaje się przez jakiś czas utrzymać nieszczęśnika na chwiejnej granicy między życiem a śmiercią i wtedy ofiara opowiada o wszystkim, co widzi. Niestety, opowieści te są mało zrozumiałe i pełne niedomówień, czasem przechodzą w bełkot. Zdarza się też, że „prorok” nie umie sensownie opisać i wytłumaczyć odkrywających się przed nim obrazów, bywa że opuszcza nasz świat, zanim skończy swoją opowieść.

Magowie różnie interpretują te dziwne przepowiednie, a niektóre z nich są dla nich zupełnie niezrozumiałe (no, bo niby jak traktować na przykład coś takiego: „Tam, gdzie wschodzi słońce, wyrósł grzyb z dymu, którego światło wypaliło wnętrze ludzkości i zgładziło całe miasto, zwane Hiroszimą“?).

-85-

Żaden człowiek nie jest w stanie zapamiętać wszystkich proroctw - jest ich ponad cztery i pół tysiąca, ale jedno z nich szczególnie utkwiło w pamięci Aj-Bereka, jako że dotyczyło przyszłych wydarzeń nie gdzieś tam, w szerokim świecie, ale w Vagaranie - mieście, w którym żył.

„...I rozerwą się Wrota, które wszczepiły aż po krańce ziemi są, w głąb aż do czarnych wrzących kamieni i jeszcze głębiej...”.

Gdy ostatni brat opuścił salę, Wielki Mistrz Orlandar zszedł ze swojego tronu i zdenerwowany zaczął chodzić od ściany do ściany. Jego spokój ulotnił się jak kamfora. Gdy obok nie ma nikogo, może pozwolić sobie na bycie sobą. Serce Wielkiego Mistrza ścisnęła niepokoju.

Utworzony w Vagaranie Zakon Dnia Ostatniego czekał na tę chwilę od dwustu pięćdziesięciu lat. Cekał cierpliwie, czekał, wierząc święcie, że nadejdzie. W swoim czasie założyciele zakonu, prawidłowo odczytując niejasne proroctwo Ogu-Ra, rozpoczęli długie przygotowania do powrotu Starożytnych. Imperia rozkwitała i padała, w ogniu wojen płonęły miasta, wymierały i rodziły się narody, zmieniali się Magistrowie, umierali ze starości bracia, na ich miejscu pojawiali się nowi, a zakon żył i niósł przez lata swoje tajemnicze przeznaczenie.

„Kiedy Czarna Siła zniszczy samą siebie...”.

Nie do końca rozumiał, co to znaczy, ale wiedział: wtedy otworzą się wrota pomiędzy czasami i powróci dawno wymarła rasa Starożytnych. Do świata powróci mądry, dobry i sprawiedliwy naród i odnowi swoje panowanie na ziemi, obali władzę żalosnych, tępych człowieczków, którzy byli przyczyną ich zagłady.

Przywódcą powracających miał zostać ten, który nosi na głowie Hełm, dowodzący wojskiem Starożytnych. Bez tego hełmu przedstawiciele starej rasy mogą przemienić się w bandę zabójców - albowiem ślepo nienawidzą rodu ludzkiego - tak niepokonaną, jak niezorganizowaną, i nie poddającą się kontroli.

Ale coś poszło nie tak.

Orlander zatrzymał się i w zadumie popatrzył na fontannę płynnego ognia.

Być może właśnie ten gladiator, który zerwał z głowy pokonanego przeciwnika Hełm, jest właśnie przyszłym dowódcą Armii Starożytnych?... Nie. Ze słów dziewczyny jasno wynika, że pół czo-

-86-

wiek, pół demon, który przegrał bitwę, powinien być stać się tym przywódcą, o którym mowa w proroctwie. A więc kim jest ten barbarzyńca, że zdołał pokonać potomka Ciemnych Mocy? I co się

teraz stanie? Wrota czasu otwierają się, a nie ma nikogo, kto mógłby przewodzić wojsku przeszłości...

Wielki Mistrz znowu zaczął chodzić - osiem kroków do jednej ściany, obrót, osiem z powrotem, obrót i znowu osiem kroków.

Tylko garstka wtajemniczonych wiedziała, jak wygląda odwrotna strona medalu - jaka właściwie siła może wydostać się na powierzchnię ziemi po przyjsciu Starożytnych. Większość braci żyła w przekonaniu, że powrót starych władców oznacza tylko powrót starego świata - świata, który został bezlitośnie zniszczony przez niedawno narodzoną, ale szybko rosnącą w siłę cywilizację ludzi. Prości członkowie zakonu sądzili, że odrodzenie Królestwa Starożytnej Rasy przywróci sprawiedliwość - i nic poza tym... I tylko wybrańcy wiedzieli, że wraz z powrotem Starożytnych nastąpi ustanowienie na Ziemi panowania Czarnych Mocy. Albowiem jeśli jeden człowiek, znajdujący się we władaniu tych mocy (zrodzony z demona bądź z jakiejś przyczyny będący w okowach czarnego zaklęcia -to nieważne), zabije drugiego człowieka, również będącego niewolnikiem czarnej magii, to wpływ sił tamtego świata zostanie zniesiony..., ale za to na granicy oddzielającej nasz świat od świata Zła pojawi się wyłom, i istoty, które możemy oglądać tylko w koszmarnych snach, wedrą się do Świata Realnego...

Wielki Mistrz był ostatnim z tych wybranych. Wszyscy bracia w zakonie są przekonani, że służą powrotowi panowania Starożytnych do przynależnego im pierwotnie świata; i tylko Orlandar wiedział, że otwarcie Starej Rasy przejścia na Ziemię, to dopiero połowa zadania: przede wszystkim nie można pozwolić, żeby przez powstałą pomiędzy czasami szczelinę wtargnęły Ciemne Moce. I tylko za pomocą Hełmu, tego samego Hełmu, który będzie wieńczył głowę dowódcy Armii Starożytnych, można zamknąć Wrota, powstrzymać demonów na progu Ziemi, wtrącić ich z powrotem w przepaść.

I nagle coś poszło nie tak.

Ten, który powinien stanąć na czele Wojska Starożytnych jest martwy, ten, którego śmierć powinna otworzyć Wrota, przeżył... i w dodatku zabrał ze sobą Hełm.

Teraz wszystkich stu dwudziestu trzech członków zakonu, nie licząc samego Orlandara, przebrawszy się w zwykłe ubrania, zalało

-87-

miasto i wykorzystując specjalne zaklęcie, którego uczyli się jeszcze przy obrzędzie przyjmowania święceń i którego tekst powtarzali jak modlitwę każdej nocy, biegają po ulicach i zaułkach Vagaranu w poszukiwaniu nieszczęsnego Hełmu. Oczywiście, z czasem Hełm zostanie odnaleziony i dostarczony do klasztoru... ale kto wie, co może się stać przez ten czas? Jak zachowają się Starożytni, gdy odzyskają na Ziemi ciało, rozum i wolność, ale pozbawieni będą dowódcy? I przede wszystkim, coperzedsiewezmąmoce Świata Demonów, gdy zrozumieją, że jeden z gladiatorów, właśnie ich potomek, zginął i Wrota ciągle są jeszcze otwarte?

Tego, że któryś z członków zakonu użyje Hełmu, Mistrz się nie obawiał: każdy w klasztorze mocno wierzył - założenie magicznego hełmu po pojawieniu się Starożytnych, równało się natychmiastowej śmierci - tak zabójcza dla zwykłego człowieka była moc Mroku, której narzędziem i bronią był Hełm Starożytnych...

Zbliżała się północ, czas, gdy potęga Ciemności i Zła niewiarygodnie wzrasta. I jeśli do nastania północy Hełm nie zostanie odnaleziony. .. Orlandar bał się nawet pomyśleć, co się wtedy stanie.

XII

Zatrzeszczały gałązki. Bardzo blisko dało się słyszeć mamrotanie. Pojawił się dzbanek i kubek, a za nimi ręce rozchylające gałęzie krzewów. Z zieleni wypłynęła głowa, ozdobiona zniszczonym turbanem.

Człowiek zdał sobie sprawę, że coś się stało, gdy leżał już na ziemi. A przecież przedtem zasłonięta mu usta, wyrwano dzbanek z rąk, przerzucono w powietrzu do góry nogami i akuratnie ułożono na trawie, przygniatając pierś kolanem i przystawiając do gardła ostrze miecza - ale wszystko to rozegrało się tak błyskawicznie, że nieznamy nie zdążył niczego zrozumieć.

- Chcesz żyć, przyjacielu? W takim razie bądź posłuszny i nie odzywaj się- rozległ się męski głos. Pozbawiony dzbanka człowiek potrząsnął głową, wprawiając tym samym myśli w ruch, wpatrzył się we właściciela głosu i mimowolnie zaskowyczał - głośno, smutnie, żałośnie.

- Ani słowa, przyjacielu. Ostatni raz cię ostrzegam.

Palce, w których czuło się przerażającą siłę, zdusiły grdykę nieznanego. Z jego oczu trysnęły łzy, szloch wstrząsał ciałem.

- W dzbanku ma wino - oznajmiła Amazonka, wachając zawartość glinianego naczynia. - Daj mi się napić, niech się uspokoi.

Spokój powrócił do nieznanego dopiero po drugim kubku i kilku uderzeniach w twarz. Oddech wyrównał mu się, wodospad łez wysechł, zęby przestały dzwonić o brzeg kubka - jeniec przyszedł do siebie.

- Przyjacielu, nie będę się z tobą cackał jak z kapryśną dziewczynką. Właściwie należałoby cię zarznąć, tak jak i wszystkich mieszkańców tej cuchnącej mieściny. Ale możesz spróbować zasłużyć na życie. Kim jesteś?

- Fagnir. Oficjalista znanego kupca Machara. Oto jego dom

- nieznanemu patrzył na Conana z dołu do góry lśnącymi oczami, które powoli opuszczał strach.

Na jego policzkach pojawił się rumieniec. - A ty jesteś tym samym gladiatorem, o którym głośno w całym mieście? Podobny jesteś. Uciekłeś?

- Nie - odpowiedział Cymmerianin. - Wypuszczono mnie za dobre sprawowanie. - Odwrócił się do kobiety: - Nabrał odwagi. Wino musi być dobre.

- A gdyby tak jeszcze kubeczek? - zapytał ten, od którego gardła Conan dopiero co odsunął miecz.

- Wetknę ci go w gardło, śmierdząca khorajska wszo, jeśli będziesz za dużo gadał. Kto jeszcze jest w domu?

Groźba gladiatora, zamieniwszego żarty na surowość, podziałała - amator wina z dzbanów znów zaczął się bać. Pospieszył z odpowiedzią:

- Tylko kobiety. Żony kupca Machara. Ma ich dwie. I dzieci. Pięcioro. A może sześcioro. Nie, raczej pięcioro. Salmon-to jeden, Kuschanagir - dwa...

- Dosyć. Gdzie jest kupiec?

- Na arenie. Poszedł na ciebie popatrzeć. Nie wrócił. Nie wiadomo dlaczego. Ty jesteś tutaj, a jego nie ma.

- Inni słudzy, oficjaliści?

- Gdy sklep jest zamknięty, jestem tylko ja, Fagnir. Na żeńskiej stronie mieszka starucha Itelia, posługaczka...

- Daleko stąd do murów miasta?

- Dalej już nie można. To centrum miasta.

- Aha. Zrobimy tak, przyjacielu.

Conan odsunął się od rozmownego oficjalisty, odłamał gałązkę z krzewu i poobrywał z niej liście.

Po czym chwycił Fagnira za odzież

- żeby nie tracąc czasu na groźby i rozkazy, zanieść go do rozwal-

-89-

nego ogrodzenia, obok którego widać było niedużą plamę piasku. Cymmerianin włożył w dłoń jeńca gałązkę i wskazał palcem piasek.

- Rysuj plan miasta. Mów, gdzie i co tu macie pobudowane.

- Z przyjemnością- odpowiedział Fagnir. - Z ogromną. Tylko (dotknął się dwoma palcami pod podbródkiem) w gardle zaschło. Ciężko mówić.

Conan roześmiał się:

- No dobrze. Zasłużyłeś na kubek. Jak się będziesz starał, to dostaniesz jeszcze.

Amazonka siedziała w tej samej pozycji, jaką przyjęła, gdy barbarzyńca przystąpił do przesłuchania pojmanego vagarańczyka: nogi skrzyżowane, na kolanach szabla, na szabli ręce, oczy zamknięte.

Może spod przymkniętych powiek spoglądała, jak poczerwieniały oficjalista rysuje gałązką na

piasku skomplikowane linie, ustawiła kamyczki, wymachuje nad tym wszystkim długimi chudymi rękami i zachłystując się opowiada o ulicach, zaułkach, tajnych przejściach, pałacach, placach, murach miasta Vagaran, które schodził wzdłuż i w szerz; a może drzemała, dając odpocząć zmęczonemu ciału, ale tak jak kot pozostawała czujna. A może myślała o czymś odległym, od tego, co działo się wokół niej, może przeniosła się myślami tam, gdzie kobiety pozbywszy się mężczyzn, osiągnęły spokój, harmonię i szczęście.

Conan słuchał jeńca w napięciu, przerywał mu, gdy ten zaczynał się zbyt rozwódzić nad niepotrzebnymi szczegółami, albo chciał opowiadać baśnie i legendy, wypytywał o to, co go zainteresowało. Cymmerianin wiedział: nie tracą czasu na marne. Poruszanie się po nieznanym mieście, gdzie cię szukają, i raczej nie zaprzestaną poszukiwań z nastaniem zmroku, jest dużo łatwiejsze, gdy masz chociaż jako takie pojęcie o ulicach, po których przyjdzie ci się błąkać. Kto wie, który szczegół, z tego, co opowiada teraz gadatliwy Fagnir, może uratować ci życie. A pamięć na pewno nie zawiedzie barbarzyńcy. Dał sobie rozkaz zapamiętać wszystko, co mówił oficjalista, wyrysował w głowie naszkicowany na piasku plan - w odpowiedniej chwili potrzebny fakt na pewno wyłoni się ze skarbca mózgu. I Conan go wykorzysta.

- Dobrze, dosyć - przerwał Conan vagarańczykowi, gdy stało się jasne, że ten już niczego nowego i przydatnego nie powie. Barbarzyńca wstał. - Kobięca część domu zamykana jest od zewnątrz?

- Tak - skinął głową Fagnir. - Na zamek.

- Klucz masz?

-90-

- Nie. Ale jest.

- Jak mam to rozumieć? - zdziwił się Cymmerianin i zdążył pomyśleć, że w czasie rozmowy o mieście niepotrzebnie ustąpił naprzykrzającemu się oficjaliście i pozwolił mu wypić jeszcze kilka kubków.

- Pan mój, podejrzliwy, chciwy kupczyna Machar, nie zawiera mi kluczy od komnat. Ale mój młodszy brat pracuje jako pomocnik majstra w kuźni, w której robi się dla Machara zamki. I ten dobry chłopak dorobił dla mnie po jednym kluczu do każdego zamka.

- Chodźmy do domu, przyjacielu. Pokażesz, jak żyją vagarańscy kupcy. Czy mają pełne piwnice? Czy w beczkach jest moje ulubione wino? Wstawaj.

Oficjalista Fagnir zamiast wstać, padł na kolana.

- Niezrównany, podobny bogom olbrzymie! Zmiłuj się! Jeśli przywiodę do domu obcego i pozwolę mu ograbić dom, kupiec Machar, ten krwiożerczy i mściwy indor zabije mnie!...

- Mam dosyć twoich wrzasków - powiedział Conan cicho, ale tak lodowatym tonem, że vagarańczykowi od razu odechciało się dalszych lamentów. - Jak mi się jeszcze raz sprzeciwisz, to ci język obetnę. Ajak będziesz posłuszny - rozkwaszę ci nos, zrobię parę siniaków, przywiążę w piwnicy do beczki z winem i zostawię, żebyś czekał na kupca. Opowiesz mu, jak bohatercko walczyłeś ze złym barbarzyńcą. A jeśli twój kupiec jeszcze mnie zastanie, nie będziesz już miał się przed kim usprawiedliwiać. Idziemy!

- O, dziękuję, panie dobry gladiatorze! Co za głowa! - zatraj-kotał oficjalista, wstając i się otrzepując. - Czy dasz wiarę, że muszę się chować w tych krzakach, żeby się wina napić? Gdyby podły kupiec zaskoczył mnie przy dzbanie w domu - biedna moja głowa! Bardzo, bardzo okrutny to człowiek, ten łajdak Machar. O, dziękuję za tę beczkę...

Cymmerianin wypchnął rozplywającego się w podziękowaniach Fagnira z krzaków.

- Kobięto, my idziemy. Jak chcesz, możesz się do nas przyłączyć. Przed nami ciężka droga.

Musimy zjeść jak należy i przebrać się - powiedział Conan, zanim wyszli z kryjówek.

Czy Amazonka posłuchała jego rady, nie patrzył. Nie oglądając się, szybkim krokiem, poganiając vagarańczyka, skierował się w stronę domu.

Po krótkiej chwili, ciężko westchnąwszy, kobięta wstała i poszła za mężczyznami.

-91-

Ze swoim nowym znajomym Conan sprawdził, czy wychodząca na ulicę brama i furka są zamknięte, czy zamek wisi na drzwiach, wiodących do kobiecej i dziecięcej połowy domu, zapewniając sobie spokój z tej strony. Odwiedzili również piwnicę-wynieśli stamtąd koszyki pełne jadła i dzban najlepszego, jak zapewniał oficjalista, z przechowywanych przez kupca win - dziesięcioletniego białego kofskiego.

Sala, w której jadano, miała okna wychodzące na bramę i furtkę - jeśli mieliby nadejść jacyś niebezpieczni goście, to właśnie z tej strony.

- Tutaj poczekamy do wieczora... Jeśli nam pozwolą - Conan zwracał się do Amazonki, siedzącej na jednej z niziutkich, zaspanych aksamitnymi poduszkami sof i nawet teraz nie rozstającej się ze swoją szablą. Koszyki i dzbany postawiono na środku pokoju na dywanie, w którym nogi zanurzały się aż po łydkę. Podłoga i ściany sali tonęły w kobiercach, które, podobnie jak wszystko wokół, cechowały się wyszukaniem przepychem na pokaz. Na ścianach wisiała wysadzana drogimi kamieniami broń, nieprzydatna zarówno do napaści, jak i do obrony, wszędzie pełno było masywnych, kiczowatych wyrobów ze złota, kobierców, narzut i poduszek obficie wyszywanych srebrnymi i złotymi tasiemkami, zdobionych frędzlami i masą perłową.

- No i co powiesz, Fagnir? Nie patrz na ten dzban jak sroka w gnat. Leć biegiem do studni i naciągnij wody. Musimy zmyć z siebie tę zepsutą vagarańską krew - Cymmerianin wybrał ze sterty srebrnych upstrzonych rzeźbą naczyń dwa puchary i nalał do nich wina. Podając jeden z nich swojej czarnookiej towarzyszce, powiedział:

- Ugaś pragnienie, piękna pantero! Życzymy sobie jak najprędzej znaleźć się za murami tego parszywego miasta, potem wrócić tu z armią wyborowych psów wojny i pić z tych pucharów nie wino, lecz vagarańską krew. Chociaż nie, krew vagarańczyków byłaby zbyt kwaśna.

Amazonka w milczeniu wzięła z rąk mężczyzny naczynie z winem i szybko, wielkimi, chciwymi łykami osuszyła je. W tym czasie barbarzyńca wyjmował z koszyków pożyczone od zapobiegliwego kupca jadło.

- Zdaje się, że zaczynam lubić tego Machara - Conan oderwał pajdę chleba i położył nań ogromny kawał koziego sera. - Wino ma wspaniałe, jest czym brzuch ucieszyć... Może nawet go nie zabiję, gdy wróci. Przyłącz się, kobieto skrywająca swe imię! Jeden tylko Mitra wie, ile mamy jeszcze czasu.

-92-

Ale Amazonka nie przyłączyła się do niego, nie zeszła z poduszek. Za to do sali wpadł Fagnir.

- Gotowe, panie miłościwy gladiatorze! Kąpiel gotowa!... Zasłużyłem na kubeczek wina, co? Conan zaczął machać na niego rękami, żeby nie wrzeszczał jak oparzony, przeżuł, co miał w ustach, przełknął i dopiero wtedy mógł powiedzieć:

- Zaprowadzisz panią gladiatorkę do łaźni i wtedy dostaniesz. Pani chciałaby chyba zmyć z siebie kurz vagarańskich ulic, prawda?

Barbarzyńca spojrział na pochmurną Amazonkę, spodziewając się kolejnej negatywnej odpowiedzi. Ale nie-kobieta nieoczekiwanie skinęła głową na znak zgody. Wstała z kanapy, zabierając ze sobą szablę.

- Jeśli ktoś wetknie tam swój nos, zabiję - powiedziała i udała się za usłużnie wskazującym drogę Fagnirem.

- Nie miałbym co robić - burknął barbarzyńca, napełniając swój puchar winem. - Jeszcze mi tylko tego brakuje... Dziwny naród te kobiety, a już zwłaszcza dzikuski.

Wrócił Fagnir, rzucił się na wino i zamiast jednego kubeczka, błyskawicznie wlał w siebie cztery pełne puchary, na co wstrząśnięty Conan tylko rozłożył ręce i zawołał:

- To umiesz, ścierwo...

W tym momencie w bramę od strony ulicy zaczęto walić pięściami. Rozluźniony, dobronny barbarzyńca natychmiast się zmienił. Fagnir zobaczył przed sobą obciążonego mięśniami, przygotowanego na dowolne nieprzyjemności, niebezpiecznego, silnego zwierza.

W bramę walono coraz nachalniej, rozległy się krzyki:

- Otwierać!

Szturchaniec w plecy wyprowadził przestraszonego oficjalistę z osłupienia.

- Otworzysz. Porozmawiasz. Jak coś powiesz nie tak - najpierw zarąbię ciebie, a dopiero potem tamtych - w szepcie barbarzyńcy było coś takiego, co nie pozostawiało wątpliwości: zrobi tak, jak powiedział.

Na zdrewniałych nogach, nie wypiwszy już kolejnego pucharu białego kofskiego, Fagnir wyszedł z komnaty.

-93-

- Szybciej! - to krótkie słowo popędziło sługę lepiej niż kozacki batog. Sługa Machara pobiegł, jak mógł najszybciej, biorąc pod uwagę stan jego nóg i głowy.

Conan, przeklinając się za to, że pił i jadł zamiast naostrzyć miecz, wyskoczył przez boczne okno, obiegł dom i zaczął się pod wysokim, szerokim gankiem, jakieś pięć metrów od bramy. W razie czego - dwa skoki i będzie przy wejściu.

- Szybciej, lenie! Pozdychaliście tam, czy co?

- Idę, idę! - rozległ się łoskot odsuwanej zasuwki i skrzyp zawiasów otwieranej furtki.

- Czyj to dom? Ktoś ty? - pytaniom towarzyszył stukot kopyt i brzęczenie broni.

- To dom powszechnie znanego kupca Machara. Handluje tkaninami. Ja jestem jego oficjalistą, zwą mnie Fagnir. Kupca w domu nie ma.

- O gladiatorze, który uciekł, słyszałeś?

- A jakże by nie! Przecież nie pod ziemią żyjemy.

- Niczego podejrzanego nie widziałeś?

- Nie, panie oficerze.

- Jak zobaczysz, albo usłyszysz, wezwij nas. Nie zdołasz zawołać - zapal pochodnię, umocuj na dachu. O nagrodzie słyszałeś?

- Nie, panie oficerze.

- Tysiąc złotych temu, kto weźmie łajdaka żywcem, pół tysiąca za martwego, trzysta za pomoc. Możesz nieźle zarobić, przyjacielu... i lepiej już nie pij, i tak od ciebie jedzie jak od beczki z winem. Niedługo zaczniesz widzieć gladiatorów całymi tabunami.

Rozległ się zgodny śmiech dziesięciu gardeł, a w chwilę później - oddalający się stukot kopyt.

- Rozbij mi nos, wybij zęby, przywiąż do beczki! - błagał Fagnir, gdy zamknął furtkę, odwrócił się i zobaczył wychodzącego zza werandy gladiatora. - O mało mi serce ze strachu nie wyskoczyło! Wyrzeźwiałem! Zupełnie! - znowu gruchnął na kolana.

- Zęby sobie zostaw. Zapracowałeś. Idziemy, zamknę cię w piwnicy. Masz, na dowód, że był tu zbiegły gladiator. Trzymaj. Jako podarunek i w charakterze alibi - Conan zdjął z głowy i rzucił kupieckiemu słudze brązowy hełm, zerwany z zabitego Turańczyka.

Cymmerianin zamknął Fagnira w piwnicy, co, jak pomyślał z uśmiechem, było równoznaczne z zamknięciem kota z miskami pełnymi mleka i wrócił do komnaty. Na progu drzwi prowadzących w głąb domu Conan zobaczył mokre ślady stóp. A więc słysząc krzyki

-94-

i hałas, Amazonka wybiegła zobaczyć, co się dzieje. Naga, z szablą w ręku... To musiał być piękny widok...

Uderzeniem w niewielki miedziany gong satrapa Haszyd wezwał na wpół rozebrane dziewczęta z wachlarzami. Owiewany łagodnymi falami chłodnego powietrza, Haszyd odchylił się na jedwabne poduszki i pozwolił rozluźnić się ciału. Ciału, lecz nie umysłowi. Po jego twarzy błędził uśmiezek zadowolenia.

Dzień był gorący - i to pod każdym względem. Chociaż nadchodzi wieczór, słońce na ulicach ciągle jeszcze bezlitośnie pali, zaganiając przechodniów do chłodu sadów i różnego rodzaju pijalni. Tylko strażnicy pieką się w jego spopielających promieniach, które mogłyby chyba roztopić kamień. A w pałacu cień i cisza, chociaż wydaje się, że ścianami ciągle jeszcze wstrząsają krzyki

bryzgającego śliną Dzumala - Dzumala wściekłego, Dzumala błagającego, Dzumala grożącego, Dzumala przekonującego...

Ale to wszystko głupstwa. Nie o tym trzeba myśleć, nie o tym.

Dopiero co, omal nie padając przed satrapą na kolana, szach prosił, żądał, przeklinał i rozkazywał. Nie, on Dzumal, nie wycofuje się z zakładu, natychmiast wręczy Haszydowi obiecany szmaragd... szmaragd, a jako dodatek górę złota, równą wadze wielbłąda wraz z uprzężą. Jednakże w zamian Haszyd musi zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby ten przeklęty gladiator został pojmany i dostarczony Dzumalowi. Żywy. On, Dzumal, gotów jest pokryć wszelkie koszty związane ze schwytaniem zbiegłego barbarzyńcy i nawet wyznaczyć osobną nagrodę dla tego, kto przywiedzie łajdaka do pałacu. Czyżby wielce czcigodny Haszyd odmówił tak kuszącej propozycji? Przecież niewolnika i tak będą szukać, więc nagroda tylko przyspieszy poszukiwania. Czyżby góra złota miała zawadzać w skarbcu satrapy? Przypomnij sobie, mój drogi gospodarzu, że ten dzikus omal nie zabił twojego gościa złotym pucharem! Przypomnij sobie, że zabił mojego wiernego strażnika i, przede wszystkim, syna! Czyżbyś nie chciał mi pomóc? Czymże jest życie jakiegoś tam niewolnika w porównaniu z pragnieniem kochającego ojca, by pomścić śmierć kochanego syna! W swoim pragnieniu zemsty nie zawaham się przed wysłaniem tutaj swoich wyborowych oddziałów, o tym także pomyśl, mój drogi Haszydzie!...

Haszyd słuchał prośb i namów swojego gościa, uśmiechał się wyrozumiale i milczał. I jednocześnie przebiegał myślą wszystkie

-95-

możliwe warianty. Oczywiście, satrapa nawet bez Dzumala miał zamiar zorganizować poszukiwania niepokornego niewolnika - widziane to rzeczy, żeby zbiegły niewolnik paradował sobie na wolności! Gladiatora oczywiście znajdą i zakują w łańcuchy, a co z nim dalej zrobić, zadecyduje później. Ale z drugiej strony nie wolno stracić okazji wytrąśnięcia z sakiewki szacha jak największej ilości złota... A jeszcze lepiej uczynić go zależnym od Vagaranu... Niech Dzumal do końca swoich dni czuje się zobowiązany Haszydowi. Dlatego satrapa dość oględnie dał do zrozumienia szachowi, że on, oczywiście, zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby schwycić uciekiniera i najprawdopodobniej zbieg zostanie pojmany. Co się zaś tyczy przekazania niewolnika szachowi, to ten problem wymaga bardzo starannego rozważenia. Haszydowi sprawiało przyjemność patrzeć, jak poniża się jego wysoko postawiony gość.

No cóż, pora rozpocząć polowanie na dzikiego zwierza. W mieście, w którym strażę znają każdy zaułek, każdy kamień, niewolnikowi nie uda się ukryć. Schwytają go jeszcze przed świtem.

Dzumal oddalił się do swoich pokoi, a Haszyd ochładzany szerokim wachlarzami, trzykrotnie uderzył brązowym młotkiem w gong.

- Dowódcę straży miejskiej do mnie - rozkazał słudze, który skłonił się pokornie. -1 odszukać maga Aj-Bereka. Jest mi potrzebny. A potem przynieść mój kalian.

„Przed świtem go schwytają” - powtórzył w myślach Haszyd...

I nikt się nie spodziewał, że jeszcze przed świtem do miasta wejdzie Śmierć...

Conan odruchowo poszedł po mokrych śladach Amazonki i zastanawiał się, co zrobić dalej.

Pozostanie jeszcze przez jakiś czas w tym stosunkowo bezpiecznym domu byłoby najlepszym rozwiązaniem - w każdym razie dużo lepszym niż chodzenie po mieście, gdzie węszy za tobą każdy pies, w nadziei na nagrodę... Tym bardziej że nawet gdyby się inaczej ubrali, taka para, jak oni - czarnowłosa muskularny gigant z ogromnym oburęcznym mieczem i uzbrojona czarnowłosa piękność - na pewno zwróci na siebie uwagę. Uwaga pociągnie za sobą pytania, pytania wywołają podejrzenia... I co dalej? Kolejna walka ze strażą? Nie wiadomo, czym by się zakończyła: strażnicy są już uprzedzeni o sile i zręczności zbiegów, dlatego zaatakują całą kupą, jak nie pokonają ich umiejętnościami, to liczbą... A z drugiej strony, trzeba jak najszybciej wydostać się

-96-

z miasta, a tam to już szukaj wiatru w polu. Na noc brama jest zamykana i po zapadnięciu zmroku opuszczenie miasta stanie się niemożliwe. Co więc robić? Naradzić się z tą kobietą, czy co? Jak na kobietę, nie jest głupia...

Ślady zaprowadziły Conana do komnaty, w której kupiec najwidoczniej zażywał odpoczynku. Na podłodze leżał puszysty dywan, na nim, w malowniczym nieładzie, walały się jedwabne różnokolorowe poduszki. Czerwona, zwiewna tkanina, przyczepiona gdzieś pod sufitem, miękkimi falami spływa w dół i przemienia łoże w bardzo przytulne gniazdko. Ściany udrapowano zasłonami o delikatnych kolorach, w kącie czekał na pana spory, pokryty wyszukany ornamentem kalin.

Amazonka była tu i, jak należało się spodziewać, miała ze sobą szablę. Ale ku ogromnemu żalowi Conana nie była naga: dzika kotka owinęła się w kawałek białego materiału, najwidoczniej służącego panu domu za ręcznik. Spod niego wyglądały tylko bosa stopy i okrągłe, śniade ramię - dość kształtne, biorąc pod uwagę, jak lekko i swobodnie dziewczyna posługuje się męską bronią.

- Chyba uprzedzałam, że każdy, kto wsunie tu swój nos, zginie - oznajmiła Amazonka, odrywając się od wiszących na ścianach ozdób i odwracając w stronę wchodzącego barbarzyńcy.

- Bądź litościwa dla nędznego robaka, miłościwa pani! - odpowiedział wesoło Conan. - Ja, twój niegodny niewolnik, sądziłem, że dotyczy to wyłącznie procesu kąpieli... A może patrzenie, jak nieustraszona wojowniczką ogląda ładne cacuszka również karane jest śmiercią?

Amazonka spochmurniała i zmieniła temat rozmowy.

- Co to były za hałasy? Usłyszałam stukot kopyt i postanowiłam, że schowam się do domu, żeby nieoczekiwanie zaatakować w odpowiednim czasie.

Cymmerianin odpiął miecz i postawił go w kącie.

- Ośmielam się zameldować przychodzili strażnicy. Pytali o nas. Jednak nasz pijaniuteńki przyjaciel przekonał ich, że niczego podejrzanego nie widział, ale jeśli zobaczy, natychmiast zamelduje o tym komu trzeba. I żołnierzyki sobie poszli, myślę, że na długo. A więc w domu na razie spokój. I co najważniejsze, nikogo nie ma: Fagnira zamknąłem w piwnicy, a kobiety są na swojej połowie - zdaje się, że nawet nie zauważyły, że ktoś walił w bramę. Jeśli kupiec wróci, usłyszymy go i zdołamy należycie powitać tak gościnnego gospodarza. Dlatego teraz proponuję trochę odpocząć i zastanowić się nad tym,

7 - Conan i prorok ciemności

-97-

co robić dalej - z tymi słowami Conan padł na poduszki, przekręcił się na plecy, położył ręce pod głowę i się przeciągnął. - Ech, ale dobrze! Dawno już tak nie odpoczywałem. Przez cały czas jakieś walki, gladiatorzy, pojedynki... - spojrzał chytrze na stojącą przed nim kobietę. - A ty się nie zmęczyłaś? Policzki Amazonki zapłonęły purpurą.

- Czy sądzisz, brudny samcu, niegodny mienić się człowiekiem, że będę dzielić z tobą to łoże? - zapytała gniewnie i jej palce zacisnęły się na rękojeści szabli.

- Zachowaj Mitro! - zaprotestował gorąco barbarzyńca. - Jak mogłaś coś takiego pomyśleć?! Nie jestem nawet godny, żeby myć twoje niezrównane nogi, których piękno można tylko przyrównać do wspaniałości nóg łani! Nie mam nawet prawa patrzeć na twoje doskonałe oblicze, porównywalne jedynie z...

- Jeszcze jedno słowo i zginiesz - oświadczyła kobieta bardzo poważnie i na poparcie swoich słów podniosła szablę na wysokość głowy.

- Już milczę. W tym domu pełno przytulnych i pustych komnat, gdzie możesz w nie zmaconej niczyją obecnością samotności spędzić czas, zachwycając się kobiecą szlachetnością i wyjątkowością. .. Chociaż - dodał chytrze chwilę później, otwarcie oglądając stojącą nad nim Amazonkę - według mnie starczy tu miejsca dla dwojga.

Niezrozumiała radość rozpieła Conana. Jeszcze nie tak dawno stał na arenie, gotując się do kolejnej walki, której wyniku nie sposób było przewidzieć; jeszcze nie tak dawno był we władzy czarnej magii, i wyrwanie się z niej wydawało się niemożliwe; całkiem niedawno po piętach deptali im wszyscy żołnierze tego miasta..., a teraz - zupełnie nieoczekiwanie - w krwawym



kołowrocie walk, starć i pogoni nastąpiła przerwa, pojawiła się możliwość odpoczynku, rozluźnienia się, zapomnienia o tym, że trzeba się jeszcze wyrwać z tego przeklętego miasta. A więc dlaczego z tego nie skorzystać, w dodatku w towarzystwie niechby nawet krnąbrnej, ale całkiem ładnej dziewczyny? Kto wie, co czeka ich za godzinę...

Amazonka chyba czuła to samo. Walczyła na arenie, doskonale wiedząc, że wcześniej czy później szczęście się od niej odwróci i ona - co za hańba dla przedstawicielki jej plemienia! - zginie z ręki mężczyzny. Wyjścia nie było... I wtedy, chwała królowej Amazonek Akile, los podarował jej możliwość ucieczki. I chociaż los przyjął postać godnego pogardy mężczyzny, to jednak była na wolności! Radość

-98-

wyzwolenia, gorączka niedawnej walki ciągle kipiły jej w duszy. Krew wrzała w żyłach, serce biło w piersiach jak szalone. Odważna wojowniczką jeszcze nigdy przedtem nie spotkała tak zręcznego i dzielnego wojownika, jak ten Conan z dalekiej Cymmerii. Być może, przemknęło jej przez głowę, niektórzy z tych ohydnych samców nie są tak beznadziejni jak pozostali...

Potrząsnęła głową, odpędzając dziwne myśli i powiedziała, starając siębyj jej słowa zawierały możliwie jak największą dawkę sarkazmu:

- Wszystkim wam chodzi tylko o jedno - zaciągnąć kobietę do łóżka, zhańbić ją, a potem przechwalać się tym przed swoimi przyjaciółmi, takimi samymi brudnymi, lubieżnymi capami!

- Nic podobnego - odpowiedział Conan jak najpoważniej, z wielkim trudem powstrzymując się przed wybuchnięciem śmiechem. - Muszę jeszcze odpocząć, naostrzyć miecz i zadecydować, jak wydostanę się z miasta. Tak więc, kobieto, nie przeszkadzaj mi myśleć - i odwrócić się do ściany, tak jakby nie było tu żadnej Amazonki.

Przez jakiś czas słychać było tylko gniewne sapanie. Potem rozległ się głos, przypominający syk rozżłoszczonej żmii:

- A więc ty, śmierdzący dzikus, który nie zdobył się nawet na to, żeby zmyć z siebie brud przed wejściem do komnaty, w której przebywa kobieta, ty mnie nie pragniesz? Nie chcesz powalić na poduszki i dokonać swojego ohydneho dzieła?

- Nie - żarty żartami, ale nachalność tej suki zaczynała już męczyć Conana. Nikomu nigdy nie pozwalał bezkarnie się obrażać, i jeśli ta baba ośmieli się powiedzieć jeszcze jedno obraźliwe słowo, trzeba będzie nauczyć wojowniczkę dobrych manier i jednocześnie ostudzić trochę jej zapędy. Śmietanka ludzkości, rzeczywiście. Rzemieniem po gołym tyłku, i po krzyku. - Na wszystko j est odpowiednia pora, a teraz moj a głowa zaj ęta j est innymi sprawami... A poza tym, nie widzę przed sobą kobiety. Dzielnego woj ownika - tak. Doświadczonego żołnierza-jak najbardziej. Ale kobietę? Wybacz.

- Tak? A czy to nie ty zachwyciałeś się przypoehlebnie moimi nogami? Moją twarzą?

- Cóż... Po prostu nie chciałem urazić twojej niepomiernej ambicji.

- Ach tak... - Amazonka zachłysnęła się ze złości, jej twarz poczerwieniała. Przy odrobinie wysiłku Conan mógłby wyobrazić sobie, że to rumieniec wstydu. - A teraz? Czy teraz też powiesz, że nie jestem kobietą?

-99-

Odrzuciła szablę... a potem na podłogę z cichym szelestem opadł okrywający ją ręcznik.

Tak, barbarzyńca musiał przyznać, że ta dziewczucha była nie tylko śmiałym gladiatorem i doświadczonym wojownikiem, ale również całkiem atrakcyjną kozą. Czarne jak smoła włosy, jeszcze mokre po kąpieli, rozsypały się na jej pięknych śniadych ramionach, niewielkie, sterczące piersi spoglądały w górę różowymi sutkami. Opierając dłoń na biodrze, Amazonka wyzywająco spoglądała na mężczyznę.

- No? Co tak milczysz? Powiedz jeszcze raz, że nie wyglądam jak prawdziwa kobieta!

Zamiast odpowiedzi, Conan podniósł się, wziął ją za rękę, ostro szarpnął i w milczeniu powalił obok siebie na poduszki.

XII

Czarownik Aj -Berek z zapalem wziął się za wykonywanie rozkazu swojego pana, satrapy Haszyda, jako że rozkaz ten w zupełności pokrywał się z jego własnymi planami.

Haszyd polecił swojemu magowi odnalezienie zbiegłego gladiatora-zwycięzcy, Aj-Berek pragnął tego samego. Jednakże różny był cel tych poszukiwań. Satrapa pragnął zemścić się na Conanie za śmierć syna Dżumala, Aj-Berek zaś miał inne zadanie - potrzebował hełmu, który zabrał ze sobą uciekający wojownik. Potrzebował go, by nie dopuścić do końca tego świata.

Jak to tam było, w tym proroctwie...

„... przychodzący w ślad za pierwszymi, rozleją się czernią po świecie i nie stanie ni ziemi, ni wody, ni ludzi, ni bydła...”.

Dziwna, bardzo niezrozumiała przepowiednia.

„... I załopocze Sztandar Zemsty. I wystąpi Starożytny Legion. A na przedzie ten, którego poznają hełmie jego...”.

I stary czarownik czuł, że właśnie w tym proroctwie kryje się tajemnica hełmu, w którym wyczuł obecność drzemiącej Mocy - starożytnej, obcej, potwornej: że za dzisiejszymi wydarzeniami na arenie przyjdą następne, jeszcze straszniejsze i najprawdopodobniej zgubne. A więc trzeba odnaleźć Hełm. Póki nie jest za późno.

Aj-Berek oczywiście nie znał zaklęcia, za pomocą którego członkowie Zakonu Dnia Ostatniego mieli zamiar odzyskać ukradziony

-100-

Hełm, miał za to w zapasie wiele innych zaklęć - był przecież profesjonalnym magiem, w odróżnieniu od Mistrza Orlandara, który poświęcił całe swoje życie wyłącznie przygotowaniu przyjścia Starożytnych.

Czarownik Haszydawyjął tajnej niszy kryształową kulę i srebrną czarę. Kulę umieścił na specjalnym trójnogu w kącie pokoju, czarę postawił pod nią, tak, żeby środek kuli znajdował się dokładnie nad środkiem czary. Potem włożył do czary kępki trującej trawy tuk, zebranej przez niewolników u podnóża Gór Karpash, i podпалиł je. Gryzący dymek uniół się nad trójnogiem i otulił kulę półprzezroczystą, brudnożółtą zasłoną. I jakby odpowiadając na wezwanie żółtego dymu, kula zapłonęła od dołu dokładnie takim samym żółtawym światłem.

Aj -Berek spróbował skoncentrować się na obrazie Hełmu, aby obraz w kuli wskazał magowi, gdzie się on znajduje. Jednak mętny dym wewnątrz kuli pozostawał nieprzenikniony, jakby coś - albo ktoś - zasłaniał obraz. Wreszcie Aj-Berek zamiast miejsca, w którym miał być Hełm, zobaczył pojawiające się w kuli zarysy rozległego placu, otoczonego wysokim kamiennym murem. Mimo że trwało to tylko chwilę, czarownik natychmiast rozpoznał ten plac: arena gladiatorska przed pałacem Haszyda.

Pośrodku kłębi się lej czarnych oparów, zarysy realnych przedmiotów przechodzących przezeń zacierają się, a na ich miejscu pojawiają się krajobrazy zrodzone w umyśle szaleńca - szare, powyginane na przekór wszystkim ziemskim prawom skały, czarne wodospady, spadające w górę, niebieskie słońce, przypominające poruszający się atramentowy kleks, mgliste obrazy widmowych istot, nie mających nic wspólnego z postacią człowieka, snujących się w cieniu postrzępionych chmur, które płyną tuż nad ziemią. Jest noc, piasek areny zalewa niebieskawe światło księżyca w pełni... Kula zasnuła się czarodziejskim żółtawym dymkiem.

Aj-Berek zmarszczył brwi. Co to oznacza? Hełm w dalszym ciągu jest na arenie? A może magia pokazuje mu inne zadanie, dużo ważniejsze niż poszukiwanie Hełmu? I dlaczego nad areną, pokazaną przez moce z tamtego świata, jest noc?

Czarownik wyrzwał przez okno. Słońce niemal skryło się za grzbietem murów miejskich, nad Vagaran nadciągała noc. Granatowy zmierzch otulił miasto, zrównując pod zasłoną swojego chłodu dzielnice biedaków i dzielnice bogaczy. Na Vagaran spadały cienie, wieczorne niebo ciemniało nad jego ulicami. Powiało chłodem, lek-

-101-

kim wiaterkim, zapowiedzią nocnego zimna- zjawisko zwyczajne dla pustyni... Ale obraz zobaczony w kuli nie mógł go okłamać. Jeśli w odpowiedzi na prośbę pokazania, gdzie jest Hełm, kula pokazuje panoramę areny, to musi być ku temu jakiś powód. Tam, na arenie, wydarzy się coś, co ma bezpośredni związek z Hełmem. Jaki - tego on, Aj-Berek, dowie się później. A na razie trzeba koniecznie pójść na wskazane przez czary miejsce i wszystko wyjaśnić.

Orlandar, Mistrz Zakonu Dnia Ostatniego, chodził zdenerwowany po sali. Nadciągał wieczór, a ciągle nie było żadnych wieści od wysłanych na poszukiwanie Hełmu braci. Czyżby wszystko przepadło? Czyżby w jednej chwili miało runąć wszystko to, czemu poświęcano istnienie zakonu już ćwierć milenium i moce z tamtego świata, które wyrwą się na wolność, zdobędą nad rodem ludzkim władzę absolutną?

Nie. Nie można do tego dopuścić. Jeszcze jest czas. Nawet jeśli Hełm nie zostanie odnaleziony, jest jeszcze możliwość powstrzymania wdzierającego się na Ziemię Piekła. Jeszcze mogą zdążyć - dopóki nie zamknięto na noc bramy i dopóki nie otworzyły się Wrota Czasu. Musi natychmiast pójść na arenę.

- Zmierzcha się.

- Co?...

- Mówię, że się ściemnia. Jeśli chcemy przed nocą wydostać się z miasta, musimy się spieszyć. Zbieraj się.

Conan wykapał się, doprowadził do porządku znacznie już stępione ostrze miecza, napchał do sakwy jadała z kupieckich zapasów (nie zapominając przy tym o paru butelkach cierpkiego kofskiego wina). Kupiec nie zjawił się do tej pory, a z kobiecej połowy domu nie dobiegał żaden dźwięk. Gdy Conan szykował się do opuszczenia tego bezpiecznego domostwa, jego towarzysza przebrała się w strój, znaleziony w garderobie Machara: różowe szarawary, buty z ostrymi czubkami, szeroka biała koszula, wyszywana złotą nicią i wygodna kurtka na futerku. Gdyby nie groźny błysk szabli w jej pięknych rękach i przenikliwy, płonący nierozsądną odwagą wzrok, Conan zastanawiałby się, czy ma przed sobą tę samą kobietę, z którą ramię w ramię walczył z dziesiątką uzbrojonych po zęby wojowników.

- Gotowa?

-102-

- Tak. Gdzie masz zamiar iść?

Aha, pomyślał usatysfakcjonowany Cymmerianin. Zaczęła się interesować moim zdaniem i gotowa jest posłuchać moich rad. Dobrze.

- Wyj dziemy na ulicę i pój dziemy w stronę murów miejskich - powiedział. - Spokojnie, bez pośpiechu. Unikając ludnych miejsc. Jeśli spotkamy kogoś, komu wydamy się podejrzani, zabijamy go w miarę możliwości cicho i bez hałasu. A dalej w zależności od okoliczności. Jasne? Amazonka w milczeniu kiwnęła głową.

Kłębiły się w niej dziwne uczucia. Wszyscy mężczyźni w jej plemienu byli zdolni wyłącznie do jednego - tępo i bez sprzeciwów uwolnić swoje ciało od nasienia i obojętnie przyjąć należy im los - śmierć. Ale ten człowiek, barbarzyńca z zagadkowej Cymmerii, jest zupełnie inny, zupełnie niepodobny do jej współplemieńców. Delikatny, ale uparty, spokojny i doświadczony, oraz szaleńczo namiętny Conan podarował jej zupełnie nowy świat... Nigdy nie przypuszczała, że miłość fizyczna może dać kobiecie taką rozkosz... Ten człowiek, być może mimo woli, otworzył jej oczy: nie wszyscy mężczyźni są bezradnymi, żalonymi ofermami. Amazonkę rozdzierały sprzeczne uczucia; świeżo zdobyte doświadczenie klóciło się z opowieściami matriarch...

Conan myślał o czymś zupełnie innym. Doskonale wiedział, że ich plan jest szalony i prawie na pewno skazany na klęskę, ale niczego innego nie umiał teraz wymyślić. Trzeba się wydostać z miasta i muszą spróbować tego dokonać.

Cymmerianin postanowił, że nie będzie się przebierał: po pierwsze, w każdym ubraniu rozpoznają go po wzroście, potężnej figurze i grzywie granatowoczarnych włosów, a po drugie bojowy strój, w którym uciekł z areny, bardzo się przyda, jeśli po drodze dojdzie do walki. Conan sprawdził, czy

miecz lekko wysuwa się z umieszczonej na plecach pochwy, czy wystarczająco szybko pojawia się w ręce, gotów po raz kolejny przelać krew, czy pewnie trzyma się umocowany pod pachą, znaleziony w domu kupca kindżał, czy nie krępuje ruchów długi płaszcz, również pożyczony od kupca.

- Jeśli jesteś gotowa, to ruszamy. Jeszcze tylko trochę wysiłku i będziemy na wolności. Idziemy. Po drodze do furtki Conan zajrzał do piwnicy z winami, skąd dobiegał niezrozumiały śpiew, z rzadka przerywany cichym chichotem.

-103-

- Fagnir! - krzyknął w ciemność. - Żyjesz?

- Panie gla... gladiatorze! Dobroczyńco! - usłyszał. Pod zimnym sklepieniem piwnicy, między beczkami z winem rozległo się echo. - Wybawco mój! Żyję! Chociaż już chyba w niebie jestem! Zejdź do mnie, mój panie, i podziel ze mną moją radość!... Chociaż wina coś mało zostało... zaraz... gdzieś tu jeszcze miałem... - coś ciężkiego spadło na ziemię, rozległ się łoskot i plusk. - A, do diabła, nastawiali tu różnych... Ja zaraz, panie...

- Ej, nie trzeba! - odkrzyknął wesoło Conan. - Już idę. Drzwi nie zamykam, wyjdiesz, kiedy zechcesz... - i dodał po cichu: - Jeśli zechcesz.

- Tak, tak... Ja zaraz...

Cymmerianin i Amazonka podeszli do bramy i ostrożnie wyjrżeli na zewnątrz. Nikogo.

- No - westchnął Conan. - Odwróć swój drugi wzrok, Władco Kurhanów! Naprzód.

- Niech Mitra ma w opiece nasze dusze - odezwała się jak echo wojowniczką. - Naprzód.

Kupiec Machar, potomek zubożałej zaporoskiej rodziny, znany w Vagaranie (zwłaszcza kobiecej części miasta) handlarz tkaninami, nie przepadł bez śladu. Obecny na trybunach, gdzie chciał porozko-szować się przelewem krwi, był jednym z tych, których przegonił z miejsc oszalały niewolnik i których omal nie zarąbał, przedzierając się przez tłum porządnych obywateli.

Machar miał również okazję zobaczyć na placu przed areną, jak temu nędznikowi gladiatorowi i jego babie udało się niezrozumiały sposób przebić przez szeregi żołnierzy, wyrwać na ulicę, w dodatku konno i, co najgorsze, w kierunku jego, Machara, domu.

Ten ostatni fakt szczególnie zaniepokoił kupca. Różne rzeczy mogą się zdarzyć i zawsze lepiej się ubezpieczyć, zdecydował handlarz tkaninami i skierował kroki w stronę domu swojego kuzyna, także kupca, zwanego Magribem. Ten mieszkał znacznie bliżej areny niż Machar i, co ważniejsze, w stronie miasta przeciwległej do tej, gdzie skrył się barbarzyńca. Najważniejsze jednak było to, że Magrib miał sklep z wyrobami jubilerskimi, i dlatego, chcąc nie chcąc, musiał trzymać w domu stałą ochronę. Dziesięciu uzbrojonych strażników chroniło spokój kupca-jubilera oraz jego skarby.

Pod tą ochroną

104

Machar zdecydował, iż poczeka do czasu, aż ohydny zbieg zostanie schwyty. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że nastąpi to już wkrótce - chwała Isztar, przy władcy Haszydzie straż miejska nauczyła się radzić sobie ze wszelkimi szumowinami.

Magrib, który był z Macharem w doskonałych stosunkach, rzadko kiedy wychodził z domu i ze sklepu i dlatego lubił, kiedy zaglądali do niego pewni ludzie w rodzaju kuzyna i opowiadali miejskie plotki. A dzisiaj było o czym porozmawiać! Magrib nawet zapomniał o winie, o swoim podwójnie wzmocnionym aquilońskim i ani razu nie podniósł do ust szerokiego złotego pucharu przez cały czas, gdy jego gość opowiadał mu, co widział. Jubiler wydawał tylko okrzyki zdziwienia i chwycił się rękami za głowę.

W końcu Machar zakończył opowieść słowami:

- Po czymś takim nasz mądry Haszyd nie zawaha się otoczyć areny zaostrzonymi żelaznymi prętami i kusznikami. I to najlepszymi.

- Ojoj! - Magrib po raz kolejny ścisnął dłońmi łusą głowę. - Co to się na świecie wyprawia! Mój drogi kuzynie, nie mogę pozwolić, żebyś dzisiaj chodził po mieście. Potwór, o którym byłeś tak uprzejmy mi opowiedzieć, może w każdej chwili wyskoczyć z... z... z, powiedzmy, krzaków.

Zostań u mnie, dopóki nie ogłoszą na ulicach, że go pojmano. Natychmiast każę zawołać moje nałożnice, umilą nam czas tańcami i miłością. Zostań! Moi obwiesie nie dopuszczą nikogo nawet na pół kroku.

- Jeśli tak nalegasz, kuzynie, to z największą radością zostanę - powiedział Machar zadowolony, że nie musiał sam prosić o przytułek i ochronę.

- Ojoj! - jubiler domator znowu chwycił się za głowę. - Zupełnie zapomniałem o winie! Może już jest za ciepło!

XIV

Staruszek Kumarandż, strażnik przy kostnicy, zamknął na klucz drzwi lodowni, usiadł na ławie i zrobił to, o czym marzył przez cały ten gorący dzień: odkorkował butelkę taniego, kwaśnego, ale cudownie zimnego, wina, która od rana czekała na swojaporę wśród ogromnych brył lodu i oszronionych trupów.

Dzisiaj był dzień urodzajny w nieboszczyków: straż dostarczyły do posiadłości Kumarandża aż pięć trupów - dwóch zabitych na are-

-105-

nie w czasie walk gladiatorów, jeden ochotnik zabłądził wśród piasków i zmarł pod palącymi promieniami morderczego słońca, malutka dziewczynka udławiła się podczas obiadu ością i jakiś nędzarz staruszek wyciągnął kopyta pod płotem piwiarni. W sumie - Kumarandż starannie zaginał palce - w lodowni odpoczywa dwunastu nieboszczyków...

Jednego z gladiatorów można nawet śmiało uznać za dwóch: ogromny, łajdak, ciężki, nawet miejsca mu był mało i jego martwi sąsiedzi musieli się nieco posunąć. Ale to nic, jutro ich wszystkich wywiozą z miasta, za mury, zrzucą do dołu, zasypią wapnem i zakopią. I wtedy przestanie mieć znaczenie, kim byłeś za życia- chanem czy żebraczką z placu.

Kumarandż łyknął zdrowo prosto z butelki i, ukojony, oparł się o wilgotną ścianę. Dobrze, że upał już zasnął, noc słała obietnicę ciszy, spokoju i chłodu.

Deski z nemedyjskiego buka przypominały skórę weterana, który spędził wiele lat w pochodach: szorstkie, podziurawione, pocięte nożami i kindżałami, przesiąknięte winem. Opierając się o nie łokciami, zasłaniając dłońmi twarz, za stołem w wartowni siedział Jassin, naczelnik straży Południowo-Wschodniej Bramy. Przed chwilą wybiegł stąd kapitan rotty gwardzistów, przysłanej w celu umocnienia ochrony w związku z paniką, wywołaną ucieczką gladiatora. Kapitan oświadczył, że ma tu przejąć dowództwo aż do odwołania. Naczelnika straży wcale to nie zmartwiło - mniej szata odpowiedzialność, mniej kłopotów, większa możliwość posiedzieć na wartowni, zatopić się w swoich myślach. A kapitan trafił się wyjątkowo aktywny: wybiega, przybiega, kogoś gdzieś wysyła, bez końca zmienia rozmieszczenie żołnierzy, bredzi coś o zwabieniu zbiega w pułpkę... Typowy przedstawiciel nowej wojskowej młodzieży Vagaranu: napuszony fircyk, intrygant, robiący szybką karierę albo dzięki staraniom rodziny, albo schlebieniu na wszelkie możliwe sposoby wpływowym wielmożom. Myśli zaprzątnięte ma tylko stopniami, pieniędzmi i rozpustnymi rozrywkami. A wojownik z niego żaden, co z tego, że kapitan. I za mądry też pewnie nie jest... Taak, myślał Jassin, ludzie stali się gorsi. Miasto upało się, jak sęp padliną, dzierzawnymi kaskami, pozostawianymi przez kupieckie karawany. A przecież on, Jassin, uważał się kiedyś za szczęściarza właśnie dlatego, że urodził się w Vagaranie, mieście stojącym na

-106-

skrzyżowaniu kupieckich szlaków, gdzie biedacy są biedni tylko z powodu swojego wyjątkowego lenistwa i nawet w swojej nędzy są bogatsi niż ich pobratymcy w innych miastach. Gdzie ludzie są bardziej wykształceni i uduchowieni. Gdzie możesz być spokojny

O swoje dzieci, bo wiesz, że nie będą musiały głodować, walczyć, włóczyć się... Ale pewnego dnia z jego oczu spadły łuski: wokół niego żyją dwunożne bydłeta, niepokojące się tylko o swoje małe, nikczemne sprawy. Ich mózg zarósł tłuszczem, ciała zwiotczały, męska siła wyczerpała się od zbyt wielu spowszedniałych, codziennych orgii. Jedynym celem życia było nagromadzenie jak najwięcej złota, jak najwięcej drogich kamieni, napchanie nimi sakiewek, kufrów, komór. Taplają

się w bagnie swoich żalonych uciech, nie będąc w stanie wznieść ponad nie, zdolni tylko do tego, żeby w nich tonąć, osuwać się coraz niżej i niżej, aż na same dno ohydy i łajdactwa. Pograżyli się w obżarstwie, pijaństwie, paleniu odurzających ziół. Rozwiążność i wyuzdanie w ciągu ostatnich lat rozkwitło bujnym kwieciami, jak obficie zraszany kwietnik, i rozprzestrzenia się, nie znając granic, jak chwast. Pederastia uważana jest teraz za modną ozdobę, coś rodzaju kokardy, kobiety w haremach żyją ze sobą za pozwoleniem swoich mężów, łączą się nawet ze swoimi dziećmi. Doszło już do zoofilii i nikt się jej nie wstydzi.

Gdzie jesteście, mężczyźni silni duchem i ciałem? Nie, nie ci, którzy jak prosięta kwiczą na trybunach areny, patrząc, jak leje się krew z cudzych ciał i uważając, że to widowisko pozwala im przeżyć coś prawdziwego... Gdzie są ci, którzy z mieczem w ręku

i odwagą w sercu umacniają wielkość bogini Ishtar na wschodzie i na zachodzie, strącając pogańskich bożków, walczą na śmierć i życie z czarnoksiężnikami, zmuszają do uległości hordy dzikusów, zdobywając dla Khorai chwałę i ziemię. Ci, którzy służą wielkiej idei przeobrażenia niewielkiej kofskiej prowincji Khorai w imperium, nie mającego równych sobie na całym świecie... Gdzie oni są? Gdzie się podziabili tacy mężczyźni? W armii Vagaranu sąjeszcze prawdziwi wojownicy, są tacy również w straży pałacowej Haszyda..., ale można ich policzyć na palcach jednej ręki i z każdym rokiem jest ich coraz mniej.

Naczelnik straży bramy sam niedawno był jednym z tych, którymi teraz tak pogardzał. Jednakże pół roku temu w wyniku fałszywego donosu jakiegoś „życzliwego”, trafił do więzienia, gdzie spędził trzy potwornie długie miesiące. I siedziałby w nim do tej pory, gdyby nie interwencja jedyne go krewnego, wujka ze strony matki, boga-

-107-

tego kupca, który powrócił z karawaną ze Stygii, dowiedział się

o nieszczęściu, jakie spotkało jego krewnego, i uwolnił go, a właściwie wykupił z więzienia. Mało tego, wykorzystując swoje kontakty na dworze Haszyda, pomógł Jassinowi powrócić na dawne stanowisko. Ale miesiące spędzone w więzieniu, nie kończące się rozmyślaniami w wilgotnej pojedynczej celi zupełnie zmieniły naczelnika straży Bramy Południowo-Wschodniej. Czarne i białe zamieniło się w jego świadomości miejscami.

Myśli Jassina, opierającego się o stół z nemedyjskiego buka, zwróciły się ku gladiatorowi, który zatrożył całe miasto. Naczelnik pożałował, że nie odwiedził trybun pogardzanej przez niego areny, że nie zobaczył tego człowieka, o którym słyszał od wszystkich

i wszędzie, który, jak się zdaje, był jednym z nielicznych Prawdziwych Mężczyzn po tej stronie murów miejskich. Jassin pomyślał, że dobrze by było uciec stąd, od tego wywołującego mdłości miasta razem ze zbuntowanym gladiatorem i zostać najemnikiem. Porzucić żony, które znudziły mu się dawno temu, bezmózgie rozkapryszone dzieci, obmierzłą służbę u sobiepanki Haszyda i jego pograżonych w zboczeniach wielmożów i pooddychać wiatrem wolności. Pożyć prawdziwym życiem, życiem wojownika, życiem Mężczyzny...

Do wartowni wszedł żołnierz. Po jego pełnej napięcia powadze można się było domyślić, że na ulicy albo coś się stało, albo właśnie coś się dzieje. I wojownik nie omieszkał zameldować, co właściwie dzieje się na zewnątrz. Okazało się, że pod bramę podeszło pół setki ludzi, którzy żądają wpuszczenia ich do miasta. Jassin odprawił żołnierza na poszukiwanie kapitana i wyszedł z wartowni.

„Dobrze - pomyślał naczelnik straży, patrząc na potężną Południowo-Wschodnią Bramę, oświetloną zachodzącym słońcem. - Nie ja będę podejmował decyzję i nie ja potem za nią beknę”. Zwawym krokiem, przytrzymując ręką zbyt długą szablę, podszedł do niego kapitan i zaniepokojony, zapytał:

- Co się stało, oficerze?

- Jacyś ludzie proszą, żeby wpuścić ich do miasta. Zwyczajna sprawa.

- Dzisiaj nic nie jest zwyczajną sprawą- poprawił go surowo kapitan. - Chodźmy.

Podeszli do kraty, opuszczonej na rozkaz tego samego kapitana. Przez pręty widać było sznur różnie ubranych ludzi, mężczyzn i kobiet, ciągnący się przez most aż po tamtą stronę fosy. „Nie karawana - zauważył Jassin. - Bez koni i wielbłądów. W takim razie kto?”.

-108-

- Czego chcecie? - krzyknął władczo kapitan, zatrzymując się dwa kroki przed kratą.

- Jesteśmy pieszymi pielgrzymami z Korshemishu, wysłanymi przez miłościwego króla Kofu, z darami dla świątyni Isztar - oby sławiono jej imię do Dnia Ostatniego na całej ziemi - zbliża się święto Objawienia Oblicza.

Powiedział to człowiek, który odłączył się od czekającego w milczeniu tłumu pielgrzymów i podszedł aż do potężnych prętów kraty.

- Z kim mówię? - kapitan stał z wypiętą dumnie piersią; wieczorny wiatr szarpał przyczepione do jego wypucowanego hełmu niepotrzebne, ale za to bardzo drogie chwosty.

- Jestem Neilos, kapłan Świątyni Isztar w Korshemishu. Wiodę pielgrzymów ze stolicy.

- A niech mnie, zawsze ci fanatycy, wiecznie nie w porę - burczał kapitan, odwracając głowę w stronę kapitana, ale nie ścisząc głosu. - Bez przerwy te ich idiotyczne święta... Że też się im nie znudzi to świętowanie? - potem znowu zwrócił się do stojącego po tamtej stronie kraty człowieka: - Wiesz, co się tu stało?

- Nie, panie.

- Uciekł groźny więzień. Gladiator. Zabójca. Przebywanie w mieście jest niebezpieczne.

- Co mogą obchodzić zbiegłego aresztanta jacyś biedni pielgrzymi? - zapytał rezolutnie kapłan Świątyni Isztar.

- Ilu was jest? Gdzie się zamierzacie zatrzymać? - kapitan nie ustawał w zadawaniu pytań, a kapłan w udzielaniu spokojnych odpowiedzi:

- Ze świątyni wyszło stu dwudziestu trzech ludzi. Miłościwa Isztar pozwoliła nam wszystkim dojść do gościnnego Vagaranu. Przytułek znajdziemy pod sklepieniem waszej znamienitej świątyni na wzgórzu Stulecia i wokół niego.

- Dobrze - widać było, że kapitana zmęczyła ta rozmowa. - Tylko nigdzie nie zbaczać, szybko do świątyni i nosa na ulicę nie wysuwać. Hej, podnieście no kratę! Słuchaj - powiedział nagle na ucho Jassinowi, gdy żołnierze podnosili kratę. - Może by tak zabrać im pieniądze? Powiemy, że z rozkazu Haszyda nie możemy nikogo wpuszczać, ale z uwagi na Isztar i tak dalej... No, wiesz przecież, jak się to robi!

- Tak, ale teraz już za późno - z niechęcią wydusił z siebie Jassin.

- Ech, masz rację - skrzywił się niezadowolony kapitan. - Trzeba było myśleć wcześniej.

Przegapiliśmy. A niech cię, czemu żeś mi nie powiedział!

-109-

Kapitan nieoczekiwanie zerwał się i gdzieś pobiegł. A naczelnik straży bramy odszedł na bok i w milczeniu obserwował wchodzącą do miasta procesję.

„Po ośmiu dniach pieszej wędrówki po wydmach odzież pielgrzymów powinna być cała w piasku i pyłe. A patrząc na nich, powiedziałbym, że przeszli najwyżej dziesięć lig - rozmyślał Jassin, odprowadzając wzrokiem kroczących w milczeniu mężczyzn i kobiety. -1 nie mają ze sobą tego wszystkiego, co powinni mieć wędrujący przez pustynię. Gdzie bukłaki z wodą, torby z jadem, biała tkanina, chroniąca przed słońcem?... I twarze mają dziwne. Tak samo blade, tak samo nieruchome... I ubrani jakoś nie tak... Nie pojmuję...”.

W końcu zrozumiał, dlaczego nie podobało mu się odzienie pielgrzymów - mieli wprawdzie różne ubrania, ale u wszystkich można było zauważyć ten sam brak cech charakterystycznych stroju. Tak nie ubierali się ani kapłani, ani kupcy, ani chłopci - nikt. Można było pomyśleć, że ci ludzie powyciągali ze sterty ubrań, co kto zdołał, i włożyli na siebie.

„Podejrzanе towarzystwo” - podsumował naczelnik straży. Jeszcze pół roku temu Jassin zatrzymałby ich, przesłuchał, wyciągnął z nich, jeśli by było trzeba, flaki, ale dowiedział się, czy są tymi, za kogo się podają. A dzisiaj...

„Do diabła z tym wszystkim - pomyślał. - Niech robią, co chcą. Im gorzej dla poddanych Haszyda, tym lepiej dla niewielu wartościowych ludzi w tym mieście”.

Kratę znowu opuszczono, procesja złożona ze stu dwudziestu trzech ludzi rozproszyła się po ulicach Vagaranu.

„Chwileczkę, co my tu mamy, mniej więcej dziesięć lig od miasta? - zastanowił się nagle Jassin. - A, przecież klasztor kapłanów Niewiadomego! Już i stamtąd pojawili się „pielgrzymi? Ciekawe”. I naczelnik straży Południowo-Wschodniej Bramy poszedł nudzić się do wartowni.

XV

Ziemia zachowywała się podle - wierzgała i uciekała spod nóg. Pomagały jej gorliwie beczki, progi i inne nieznane przedmioty. Zupelnym bydlęciami okazała się futryna: waliła wyłącznie w nos, a przy tym bardzo boleśnie. I nie było obok przyjaciela, który podałyby dłoń.

-110-

Z którym uporaliby się z piwnicą. Który powiedziałby: „Dobry z ciebie chłopak, Fagnir! Oprzyj się o mnie” albo: „Chodź, napijemy się, bo dobry z ciebie chłopak... jak cię tam... Fagnir!”.

A gdzie jest, ja się pytam, ten, którego on, Fagnir, sługa tego łajdaka, kupca Machara, uratował od śmierci i który wrednie zamknął go w piwnicy? Zdaje się, że była z nim jakaś baba, taka ciemna... też by mogła pomóc...

A tu nie, wszystko trzeba zrobić samemu. Podpełznąć do drzwi, ciągnąc za sobą dwa dzbany, przewalić się przez próg, uciekając przed futryną, rozbić oba drogocenne naczynia i wrócić po nowe i, nie tracąc wiary w zwycięstwo, powtórzyć wszystko od początku.

Stanowczość i upór w końcu zwyciężyły. Fagnir i dwa caluteńkie dzbany wydostali się na wolność z podziemnego więzienia. Zwycięstwo trzeba było uczcić.

„Ajajajaj - zrobił przerażające odkrycie Fagnir. - Nie ma kubka!”. Złapał się za głowę. I zamiast zwykłych włosów i uszu, nama-cał żelazo. Hełm! Co za szczęście! Dobry na puchar!

Ale z ciebie zuch, Fagnir! Dlaczego nie mógł napić się prosto z butelki i skąd wziął się na jego głowie ten Hełm, Fagnir nie próbował zgadnąć. Niepotrzebne pytania oznaczają niepotrzebne problemy. A problemów nie lubił.

Fagnir napełnił Hełm po brzegi znakomitym białym shemskim i osuszył go jednym tchem.

„Zdaje się, że słońce już zaszło” - zauważył bystry oficjalista i prosto na ziemi przed otwartą piwnicą zapadł w szczęśliwy pijany sen.

Przez całą wieczność nic się nie działo i niczego nie było: ani światła, ani ciemności, ani ruchu, ani spokoju. Nie było ani góry, ani dołu, ani dźwięku, ani zapachu... nie było nawet jego samego. Jak bezmyślny, bezcielesny kłębek niczego szybował w bezkresnej pustce i nawet tego nie czuł - po prostu go nie było.

A potem dał się słyszeć zew. Szedł zewsząd, z każdego zakamarka tej nicości i przenikał jego niematerialne ciało.

„Przebudź się, przebudź się!” - żądał melodyjny głos, a właściwie cały chór śpiewający unisono: chór, w którym słychać było i głos dojrzałego mężczyzny, i młodej dziewczyny, i wiekowego starca, i nowo narodzonego dziecka. A jednak mimo wszystko rozumiał, że woła go jeden człowiek... a raczej jedna istota, niepodzielnie nim władająca.

-111-

Do jego martwego serca zakradł się strach.

- Kim jesteś? - krzyknął na całe nie istniejące gardło. - Kim ja jestem? Gdzie jestem?

„Przebudź się, przebudź się! - śpiewał głos i nie było czym zatkać nie istniejących uszu, żeby nie słyszeć tego wołania. - Możemy ci pomóc! Chcesz znowu żyć? Chcesz zemścić się na swoim zabójcy? Możemy ci pomóc! Pomożemy ci!”

- Kim jesteś? Kim jestem? O czy mówisz? „Przebudź się, Aminie! Przebudź się!”. Amin.

Amin, Amin, Amin...

I wtedy wszystko sobie przypomniał. Przypomniał sobie obmierzonego dzikusa, czarną falę, która pokryła go, gdy umarł... Pragnienie życia i wściekłość znowu go opanowały.



- Tak! -wrzasnął. -Tak! Chcę żyć! Kimkolwiek jesteś i gdziekolwiek jestem, chcę wrócić! Pomóż mi!

„Pomożemy ci, Aminie, pomożemy... Ale i ty musisz nam pomóc...”.

Stróż Kumarandź odstawił opróżnioną do połowy butelkę na stolik i zaczął nasłuchiwać. Cisza. Dziwny zgrzyt już się nie powtórzył.

- Szczury - wyjaśnił sobie samemu. - To na pewno szczury. Przekłete tłuste szczury przyłazły posmakować ludzkiego mięsa. Nienawidzę szczurów.

Z lodowni, tym razem dużo głośniejszy, znowu dobiegł szmer. Stróż stękając wstał, podszedł do zamkniętych drzwi, zza których ciągnęło chłodem i zaczął nasłuchiwać. Nie mogło być żadnych wątpliwości: tam, w ostatniej przystani byłych obywateli miasta ktoś drapał, skrobał i szurał. Kumarandź jak mógł najciszej zdjął ze ściany pochodnię, wziął do ręki opartą o stół pałkę ze sterującym z niej groźnym gwoździem -broń na szczury - i powoli uchylił zimne drzwi. Z wnętrza powiało lodowatym powietrzem; w świetle pochodni zatańczyły iskierki szronu: na ścianach, na podłodze, na suficie, na kawałkach grubego płótna, przykrywającego ciała zmarłych. Stróż podniósł wyżej pochodnię i wszedł do lodowni.

Zazwyczaj szczury bezczelne, pijane i ciężkie od darmowego żarcia tylko podnosiły swoje maleńkie paciorki oczu i uważnie przyglądały się, ktoś to zjawił się nieproszony na ich ucztę, ale nie rzuca-

-112-

ły się do ucieczki. To dawało Kumarandźowi pewną przewagę. Umiał nabić na ostrze swojej pałki przynajmniej trzech darmożjadów, zanim pozostali zdążyli się zorientować, co im grozi i chowali się w licznych, dawno poprzegryzanych dziurach w ścianach.

Stróż pewnie chwycił rękojeść pałki i zaczął iść po wąskim pomieszczeniu z niskim sufitem wzdłuż ścian leżeli nieboszczycy, czekając na swoją ostatnią podróż - krótką drogę na cmentarz, starannie wpatrując się w każdy ciemny kąt: przekłete szczury mogły ukryć się wszędzie... Ale nic nie zakłócało martwej w ciszy, ani ruchu, ani szmeru. Pochowały się, dranie. Zmądrzały czy co... Kumarandź specjalnie głośno zatupał, chciał przestraszyć szczury i zmusić je do opuszczenia swojej kryjówki. Udało mu się- od strony nieboszczyków, którzy zajęli miejsca w najbardziej oddalonym kącie lodowni, dobiegł go szmer. „Aha, tu jesteście - uśmiechnął się pod nosem staruszek. - Czekajcie, czekajcie, macie gości...”.

Światło pochodni rzucało chwiejne cienie i zdawało się, że to nieboszczycy się ruszają, próbując wstać ze swoich lodowych łóż. Kumarandź powoli szedł naprzód, intensywnie wpatrując się w półmrok, wypatrując przeklętych gryzoni. „Jeszcze dwa - pomyślał -i będzie równo pięćdziesiąt. No, gdzie jesteście, wyłazić. Pogadamy”.

Doszedł do przeciwległej ściany lodowca. Z sufitu zwisały długie lodowe kły, w kącie leżało ciało martwego gladiatora. Kumarandź podniósł pochodnię wyżej. Dlaczego tu tak ciemno? Niepewne światło pochodni zdawało się tonąć w nieprzeniknionych ciemnościach, w których zanurzała się ta część kostnicy. I czemu tak zimno - dużo zimniej niż w innych częściach lodowni...

- No - powtórzył na głos staruszek. - Wyłazić. Mam dla was prezent.

I wtedy otrzymał nieoczekiwaną odpowiedź, od której ścisnęło mu się serce.

- Eeeeeeeee... - dobiegło spod derki, przykrywającej trupa gladiatora. Był to dźwięk zrodzony w samym sercu Świata Demonów, dźwięk pełen męki i cierpienia, zduszony, niezrozumiały, ale bez wątplenia wydany przez żywą istotę. Ale czy na pewno istotę?... czy na pewno żywą?...

Czy była to wina chwiejnego światła pochodni, wywołującego iluzję, że nieboszczycy ruszają się, czy przytłaczająca atmosfera grobowca, czy też natrętnie szczury, które sądziły, że można tu nieźle podjąć, w każdym razie przez chwilę Kumarandź poczuł niezrozu-

8 - Conan i prorok ciemności

-113-

miały strach, którego nigdy wcześniej nie odczuwał w tej przystani trupów. Ręka, w której trzymał pochodnię zadrzała, po oszronionych ścianach zatańczyły złowieszcze cienie. Co to? Gra światła? Czy może ciało martwego gladiatora rzeczywiście poruszyło się pod derką?

Stróż pochylił się nad trupem.

Po mieście krążyły najróżniejsze legendy o ożywionych nieboszczykach, chodzących trupach i wydostających się z mogił zmarłych, ale Kumarandź w nic takiego nie wierzył i często się z nich śmiał -przecież pracował w takim miejscu, gdzie każdy bardzo szybko przekonywał się: jeśli nawet zmarli umieją wracać na ten świat, to nie tu, nie w Vagaranie. Dlatego stróż bez wahania i lęku zerwał swoją pałąk derkę z głowy byłego gladiatora, spodziewając się zobaczyć pod nią wierzące się tłuste szczury. Ale to, co zobaczył, było stokroć straszniejsze od dziesiątki gryzoni, zżerających twarz nieboszczyka. Mózg staruszka zastygł w oszłomieniu, ale ciało zareagowało natychmiast - po starych, pokrytych setkami łat spodniach Kumaran-dża pociekła gorąca strużka moczu.

- Eeeee... - wydobyło się zposiniałych warg trupa, zimne powieki powoli się uniosły, odsłaniając martwe oczy niehumanoidalnego koloru. Czerwone źrenice wpatrzyły się w znieruchomiałego staruszka, martwa ręka zgięła się w łokciu; palce były pozakrzywiane jak szpony sępa.

- O Isztar - wyszeptał wstrząśnięty Kumarandź. - Co tu się...

Nie zdążył jednak dokończyć - usta zmarłego gladiatora rozciągnęły się w drapieżnym uśmiechu, pojawiła się na nich czarna piana i sina ręka, która nieoczekiwanie wystrzeliła w górę z szybkością atakującej kobry, schwyciła staruszka za gardło.

Kumarandź zbulgotał, pochodnia wypadła z jego słabnącej dłoni i cała ta scena pograżyła się w ciemnościach. Starzec czuł, jak jego gardło zgniatają silne, jakby wytoczone z metalu palce, uzbrojone w ostre paznokcie, tak długie, że zamknęły się na pomarszczonej szyi jak obręcz. Więcej już niczego nie czuł: zmartwychwstały gladiator złamał mu kark jednym ruchem. Potem gwałtownie cofnął rękę.

Szyja nieszczęsnego stróża została w garści ożywionego trupa. Głowa straciła oparcie, oddzieliła się od ciała i potoczyła w kąt, ciało z głuchym stukiem upadło na podłogę. Z rozerwanych arterii chlusnęła krew, z sykiem spotkała się z płomieniem walającej się nieopodal pochodni i ugasiła ją. Lodownię otulił szczelny, duszny całun czerni. Ale były gladiator nie potrzebował światła: dla niego światłem była ciemność, w niej czuł się dużo pewniej i spokojniej.

114

Ten, którego niegdyś zwano Aminem, wstał ze swojego zimnego łóża i przeciągnął się. Czuł niezwykle nawet dla niego przepływ sił. W martwym mózgu roily się nowe, nie znane człowiekowi myśli, zamilkłe serce przepełniały nowe uczucia, których nie sposób było wytłumaczyć językiem ludzi. Szach Dżumał, jego pan i ojciec, poszedł w zapomnienie, teraz Amin miał nowych panów - potężniejszych, choć na razie niewidzialnych, hojniej szych, mimo że oddalonych od niego na niewyobrażalną odległość. I ci władcy rozkazywali mu działać. I on musi ich słuchać. Może ich słuchać. Chce ich słuchać.

Amin podniósł głowę i zaryczał. Ryk ten omal nie zburzył ścian tego padołu śmierci. Słysząc go było pięć ulic dalej... niósł zapowiedź zguby wszystkiemu, co żyje na ziemi.

- Co to? - Minolia schwyciła Vellacha za rękę. - Słyszałeś? Chyba ktoś krzyczał...

- Być może - odpowiedział jej towarzysz. - Albo pies zawył. Nie rozprasza się, Minolio. Musimy znaleźć Hełm przed zmrokiem, a już się ściemnia, widzisz?

Rzeczywiście: słońce już dotykało krawędzi murów miasta i nad Vagaran napływały niebieskawe cienie, nadając ulicom na pół realny wygląd starego fresku. Ludzi było coraz mniej, straganiarze zwijali swój towar, kupcy zamykali sklepy, właściciele pijalni pomagali wyjść ostatnim gościom. Miasto szykowało się do snu, aż do rana, gdy znowu otworzą się knajpy i stragany, ulice się zaludnią, ożywią głosami przechodniów i krzykami zachwalaczy. Tak działo się zawsze, dzień po dniu, rok po roku... I nikt nawet nie podejrzewał, że tę noc przeżyje tylko jeden człowiek: Fagnir.

Vellach i Minolia szli po opustoszałych ulicach. Mężczyzna szedł szerokim, szybkim krokiem i dziewczyna z trudem nadążała za swoim towarzyszem. Teraz, gdy przebiegający ulicę Vagaranu członkowie zakonu mieli na sobie normalne odzienie, mieszkańcy miasta mogliby się przekonać, że są to zwyczajni ludzie, a nie żadne potwory, jak głosiły plotki - mogliby, gdyby wiedzieli, że mają przed sobą nie spóźnionych przechodniów, lecz kapłanów słynnego Niewiadomego.

Vellach, rosły chudy mężczyzna z ciemnymi włosami i niewielką szczoteczką jasnych wąsów, cienkimi bladymi ustami, nad którymi wisiał długi prosty nos, nadający jego twarzy ptasi wygląd, odziany

-115-

był w strój, który nie zdradzał, do jakiej sfery czy gildii należy jego właściciel. Tak jak i mężczyzna, jego towarzyska - zielonooka dziewczyna z rozwianą grzywą słomianych włosów, mieniących się złotem w czerwonym świetle umierającego słońca, miała na sobie nieokreśloną szeroką suknię z szerokimi rękawami, doskonale nadającymi się do ukrycia w nich damskiego kindżału. Suknia była bladozielona, a błękitny pasek na prawym rękawie podpowiadał, że jest kobietą zamężną i dlatego zaczepianie jej nie ma, niestety, sensu.

Vellach był jej starszym bratem, ale wiedzieli o tym tylko oni dwoje i Orlandar, Wielki Mistrz Zakonu Dnia Ostatniego. Gdy Vellach miał dwanaście lat, jego matka urodziła Minolię i umarła przy porodzie. Od tamtej pory rodziców zastąpił dziewczynce brat (ojca nie pamiętał - Orlandar opowiadał, że zginął w czasie nieudanej próby pierwszego i ostatniego myślowego kontaktu z mędrkami Starożytnych). Minolia we wszystkim słuchała Vellacha i bardzo szybko stała się wierną kapłanką sprawy zakonu. Romantyczka z natury często wyobrażała sobie powrót Starożytnych - silnych, pięknych, mądrych istot, których doświadczenie i mądrość zostały unicestwione ślełą wściekłością ciemnego Człowieka. Nie lubiła istniejącej cywilizacji, ludzie wydawali się jej nieokrzesanymi, lubieżnymi, złymi i głupimi stworzeniami, niegodnymi mienić się panami ziemi. Właśnie przedstawiciele martwej rasy, ci, którzy pojawili się na ziemi na długo przed człowiekiem, powinni władać nią całą swoją potęgą, mądrością i chwałą. Często wypytywała innych członków zakonu jak wyglądają Starożytni, ale nikt nie umiał udzielić jej wyczerpującej odpowiedzi: nikt nie znał takiej odpowiedzi. Dlatego Minolii pozostawały tylko marzenia i rysowanie w wyobraźni przyszłego królestwa spokoju i sprawiedliwości. A teraz przepełniała ją radość i duma, że będzie świadkiem spełniania się przepowiedni.

- Vellach, nie biegnij tak, nie nadążam. Gdzie ty tak lecisz? Przecież przepowiednia się spełniła, Starożytni powracają! Po co się spieszymy?

- Cicho, siostrzyczko - odpowiedział jej brat. - Musimy jeszcze coś odnaleźć. Czy nie słyszałaś, co powiedział Mistrz?

- Słyszałam, ale nie rozumiem, po co mamy tego szukać. Wrota są otwarte, wkrótce wejdą przez nie Starożytni. Świat i tak się zmieni, więc po co nam jakiś tam stary Hełm?

- Nie wiem. Ale skoro Mistrz tak powiedział, znaczy, trzeba... - Vellach rzeczywiście nie wiedział, czemu Hełm był tak ważny dla Mistrza. Ale jego słowa nie podlegały osądom. - Nic nie czujesz?

116

- Nie. Na razie nie.

- Prawidłowo wypowiedziałaś zaklęcie?

- Vellach, czemu się mnie czepiasz? Zaklęcie pamiętam doskonale, przecież tyle razy mnie sprawdzałaś!

- Nie gniewaj się, Minolio. Po prostu się niepokoję. Patrz, słońce skryło się już za murami. A Mistrz powiedział, że jeśli Hełm nie zostanie odnaleziony do północy, to wszystkie nasze wysiłki mogą pójść na marne.

Zatrzymał się i skoncentrował na emanacjach, przenikających wszystko, co istnieje i niedostępnych dla zwykłych śmiertelników. Ale ani Vellach, ani Minolia nie byli zwykłymi ludźmi: zaklęcie, którego nauczyli się podczas obrzędu Wtajemniczenia i które powtarzali każdego wieczoru, pomagało im nastroić się na magiczną falę i wyczuć, gdzie jest czarodziejski Hełm.

Nie czuli nic. Jakby Hełm zapadł się pod ziemię...

Co prawda odległość, na jaką działało zaklęcie, była niezbyt duża. Możliwe, że Hełm znajdował się w innej części miasta. Na przykład w dzielnicy bogaczy. Albo w ogóle za murami Vagaranu.

- Posłuchaj, siostrzyczko - powiedział Vellach, gdy pojął całą nieefektywność ich poszukiwań. - Musimy się rozdzielić. W ten sposób tylko zawężamy krąg poszukiwań. Idź na górę, do dzielnicy bogaczy, a ja poszukam tutaj, wśród domów zwykłych obywateli.

- A jeśli znajdę Hełm, to jak go odbiorę temu wielkoludowi?

- Dziecinko, przecież znasz zaklęcie Rozbite Naczynie. Ten, który ukradł nasz Hełm, jest tylko zwykłym wojownikiem, nie czarownikiem, a poza tym nie wie, że Hełm nie jest takim sobie zwykłym hełmem. Zaklęcie da mu radę. A gdy upadnie, łap Hełm i biegnij do klasztoru, do Orlandara. Rozumiesz?

- Tak... A co z tobą?

- Dam sobie radę, Minolio. Pamiętaj, że musisz zdażyć przed północą. Jeśli nie znajdziesz Hełmu, to i tak wracaj do klasztoru. Możliwe, że znalazł go któryś z braci. Może będę to ja. - Vellach uśmiechnął się, chcąc dodać dziewczynie otuchy. - Spiesz się, mała. Wierzę, że Hełm znajdziesz właśnie ty.

Minolia ledwo zauważalnie uśmiechnęła się w odpowiedzi, stanęła na palcach i pocałowała brata w policzek.

- Dobrze. Zrobię tak, jak mówisz. Bądź ostrożny, Vellach.

- Oczywiście, siostrzyczko. Co może mi się stać w tym spokojnym miasteczku?

-117-

Objęli się na chwilę i potem każde z nich, wsłuchując się w emanacje, poszło w swoją stronę: Vellach w prawo, do dzielnicy handlarzy, a Minolia w górę ulicy, do dzielnicy bogaczy.

Karczma „Spętana Wesz” wyróżniała się spośród podobnych knajp w tej dzielnicy nor biedaków obfitością klientów, potocznie nazywanych „szumowinami wszelkiego rodzaju”. Fizjonomii odwiedzających tonącą w brudzie karczmę nikt nie nazwałby twarzami, za to na usta pchały się różnorodne określenia w rodzaju: mordy, pyski, ryje. Ślady na tychże ryjach wskazywały na zawieranie bliskiej znajomości z biczami strażników, pięściami więziennych dozorców, szczypcami katów. Ludzie, podobnie jak szczury, wiedli nocny tryb życia, ich odzienie w pewnych miejscach fałdowało się i odstawało, i tylko niewinne dziecię mogłoby pomyśleć, że kryje się pod nim coś nieszkodliwego.

Przed drzwiami, opierając się o ścianę włochatymi plecami, krzyżując na piersi ogromne łapy i uważnie oglądając zbliżających się do progu „Spętanej Wszy”, stało potężne chłopisko z porwanymi nozdrzami i strzępami uszu. Przypadkowy przechodzień, który znalazł się tu niechcący, widząc przed wejściem kogoś takiego, raczej nie zaryzykowałby przekroczenia progu karczmy. Zresztą, i tak nie wpuszczono by nikogo przypadkowego.

Wewnątrz, za wysmarowanymi stołami siedzieli ludzie, którzy doskonale się znali i rozumieli.

Czas wolny od polowania na łup spędzali na niezbyt wyszukanych rozrywkach: grali w kości, pili, obści-skiwali wesołe kobiety i bili się na noże, nie zapominając także

o omawianiu aktualnych spraw.

Teraz bywalcy „Spętanej Wszy” porzucili swoje zabawy, skupili się w centrum sali dookoła stołu z postawionym nań krzesłem, na którym nie mniej majestatycznie niż Haszyd na swoim tronie, zasiadał niewysoki chudy Shemita w czarnych szarawarach, wpuszczonych w buty i ciemnoczerwonej luźnej koszuli. Ze swojego piedestału rzucał słowa tak, jak skąpiec rzuca pieniądze żebrakom: z rzadka

1 niewiele. Słowa te słuchacze chwyтали z taką chciwością i miłością, jakby sam Mitra zniżył się do rozmowy z nimi.

- ...Bрудna PaszczeKa: plac rynkowy i Potrójny kwartał. Podpalacz: od Południowo-Wschodniej do świątyni. Gnojarcz: od koszar do wzgórza Stulecia. Nie zabijać. Jak go zobaczycie - wyślijcie gońca. Przez cały czas tu będę. Wezmę go żywcem. Sam.

Wśród otaczających go ludzi rozległ się szmer zdziwienia i zachwytu. Wilk już od dawna nie wychodził ze swojego legowiska. Semita, zwany Fendi, król vagarańskich złodziei, władał podporządkowanymi mu się bez szemrania szumowinami, nie wychodząc ze „Spętanej Wszy”. A niby po co? Cedzone przez niego słowa dolatywały z szybkością pegazów do najodleglejszych zakątków Vagara-nu, a rozkazy spełniano jeszcze szybciej. Jego władza opierała się na tym, że nigdy nikomu niczego nie wybaczał, nawet najmniejszego sprzeciwu. Bywalcy „Spętanej Wszy” nieraz byli świadkami jego rozpraw z tymi, którzy odważyli się działać na własną rękę. Nieposłuszny nie zdążył wyrazić swojego niezadowolenia - zamigotała czerwona plama koszuli i lśniące ostrze sztyletu wbijało się w oko albo w szyję. Nieposłuszni zdarzali się rzadko - po prostu nie było powodów do skarg na podział łupów czy też organizację złodziejskich wypraw. Shemita miał głowę na karku.

Dzisiaj, gdy tylko usłyszał o obiecanej za schwytanie zbiegłego gladiatora nagrodzie, Fendi zwołał wszystkich. Przywódca vagarańskich złodziei opisał zbiega i rozesłał swoje psy po mieście, podniósł na nogi żebraków i informatorów we wszystkich dzielnicach, rozkazał odszukać wartościowego niewolnika i natychmiast donieść mu, gdzie ten się ukrywa. Dalej ataman będzie działał sam. Jak chciał wziąć żywcem tak niebezpiecznego i niepokonanego wojownika? A może planował namówić go do wstąpienia do szajki?... Oczywiście, żaden z ludzi Fendi nie odważył się o to zapytać. Ich zadanie polegało tylko na wykonywaniu rozkazów. I to jak najlepiej.

- No? Na co jeszcze czekacie, gnidy? Precz stąd!

Gdy przebrzmiało ostatnie słowo, karczma opustoszała. Został w niej tylko pogrążony w rozmyślaniach przywódca, a przed wejściem nigdy nie opuszczające posterunku chłopisko z rozerwanymi nozdrzami.

## XVI

Szacha Dżumala dusiły ściany pałacu Haszyda. Oddychał z trudem, bolało go serce. Chodził po pokojach, ale nigdzie nie mógł znaleźć sobie miejsca, nie mógł się też zatrzymać. Nie był nawet w stanie myśleć. Mógł tylko cierpieć, a jego mózg paliło pytanie: „Jak to się mogło stać?”.

„Syn! - taka myśl od czasu do czasu przesywała jego świadomość, zasnutą mgłą smutku. -Mój syn!”.

I od razu wszystkie jego uczucia zapalały się pragnieniem zemsty. Tak niepohamowanie silnego uczucia nie doświadczał jeszcze nigdy w życiu. Miał nadzieję, że zemsta ugasi nieznośny ból, pomoże pogodzić się z utratą syna, chroniącego życie i tron szacha. Szarpany bólem władca przeklinał się za to, że tak mało uwagi poświęcał swojemu potomkowi - ciału z jego ciała, krwi z jego krwi (nawet jeśli w tym ciele i krwi była domieszka czarnych mocy z tamtego świata) - nigdy nie rozmawiał z nim od serca, nie wiedział, jakie problemy i pragnienia męczyły młodego Amina. Przyjmował istnienie obok siebie syna jak coś należącego mu, oczywistego, wiecznego... A teraz było już za późno. Dżumal czuł wewnątrz siebie pustkę, tak jakby z jego ciała, z jego duszy wyrwano ogromny kawał, pozostawiając bolącą, poszarpaną ranę.

Za oknami powoli ciemniało, a do tej pory nie pojawił się goniec z wieścią od Haszyda, że podły zabójca został złapany. Innych wieści również nie było... Nikt i nic nie zakłócało samotności turańskiego szacha.

Zbliżała się północ, gdy szach rzucił się do drzwi, wiodących z pokojów na korytarz, otworzył je jednym szarpnięciem i, ciągnąc za sobą strażników pilnujących komnat Dżumala, zaczął biec korytarzami i schodami do wyjścia z pałacu.

Jak leopard atakuje z nocnych ciemności swoją ofiarę, tak nieoczekiwanie na szacha spadła straszna myśl: już nigdy nie zobaczy swojego syna. Nigdy. Jutro Amina pochowają - nie we wspólnej mogile, jak sądził stróż kostnicy Kumarandż, ale w oddzielnej, ze wszystkimi honorami. Ale on, ojciec, nie będzie mógł pożegnać się z synem. Szach nie może brać udziału w pogrzebie zwykłego strażnika. Zwyczaj i tradycje jego kraju, jego pozycja nie pozwalały na to. I już nigdy

nie zobaczy... Nie! Musi! Ma obowiązek pożegnać się, ostatni raz spojrzeć na tego, w którym płynęła jego krew. Zamknąć mu oczy. Dotknąć go.

I szach rzucił się do drzwi, na korytarz, do wyjścia z pałacu.

Z rozkazu Dżumala jego słudzy odszukali wśród sług Haszyda kogoś, kto za dobrą opłatą zgodził się zaprowadzić Turańczyków do miejskiej kostnicy, położonej na peryferiach miasta.

I oto na ulicach Vagaranu widać niesiony przez stale zmieniające się służki palankin, w którym ukryty za opuszczonymi zasłonkami szach Dżumal drżącymi palcami przebiera paciorki, próbując się

-120-

uspokoić. Przed, za i po bokach palankinu maszerują po khorajskim mieście Turańczycy, dwudziestu najlepszych strażników szacha. Widzą to, od czego odgradził się jedwabnymi storami ich władca -niepokojne miasto. Konne patrole straży miejskiej oświetlają pochodniami ciemne ulice. Wyłaniają się zza rogów i natychmiast kryją się ciemnych zaułkach różne podejrzone typy. Nie śpią również ludzie z oczami pełnymi jednakowo fanatycznej koncentracji, nieobecnyimi oczami kapłanów dokonujących jakiegoś rytuału. Strażnikom Dżumala obce miasto nie podoba się w tę noc.

Wejście na trybuny zamykano co wieczór, ale osobisty czarownik władcy Vagaranu bez przeszkód ominął strażę, wszedł na arenę i zastygł pośrodku. Nie wiedział, po co tu przyszedł, czego ma szukać, ale z jakiegoś powodu był przekonany, że odpowiedź na wszystkie pytania znajdzie właśnie tutaj.

Ogromne purpurowe słońce już w połowie skryło się za trybunami i na piasek, mieniący się krwawo w jego konającym świetle, padł czarny cień murów areny. Wieczorny wietrzyk szeptał coś w szczelinach grubych kamiennych murów, tworzył malutkie piaszczyste wiry, poruszał siwe wąsy i włosy maga. Panowała cisza, ucichł nawet uliczny szum. Miasto jakby się przyczaiło, przeczuwając, że tej nocy zdarzy się coś takiego, co zmieni los nie tylko Vagaranu, ale być może również całego świata... Ale co się miało wydarzyć?

Aj -Berek oczyścił swój mózg z myśli, rozluźnił ciało, otworzył umysł i przeniknął w astralną przestrzeń. To, co zobaczył, było tak nieoczekiwane, wyraziste i przerażające, że stary czarownik się zachwiał. Z jego ust spłynął mimowolny jęk...

W rzeczywistości nadal stał na stygnącym piasku areny, słońce świeciło mu w plecy, świat był cichy i spokojny...

Ale w przestrzeni astralnej Aj-Berek zauważył, że płynie nad bezdenną, dyszącą palącym chłodem dziurą, ziejącą pośrodku piaszczystego kręgu. Mroźny cuchnący wiatr, wyrrywający się z przepaści, bezlitośnie szarpie włosy jego astralnego ciała, targa odzienie, utrudnia oddychanie.

Zielonawoczarne, oślizłe ściany tej niemal okrągłej studni, sięgającej aż do serca wszechświata, drżą, rytmicznie kurczą się, konwulsyjnie falują, poruszają się jak żywe, wyglądając jak rozwarłono jakiegoś olbrzymiego monstrem, dla którego na ziemi nie ma ni miejsca, ni nazwy. I stamtąd, z przepaści, na Aj-Bereka lecą pułki istot, zrodzonych w koszmarnych snach

-121-

szaleńca. Sajeszczce daleko, ale roją się jak pszczoły, wyją, wymachują złowieszczą błyszczącą bronią i zbliżają się - szybkie, jak strzała wypuszczona z łuku, nieokiełznane jak oszalały tygrys. Dyszą taką nienawiścią do ludzi, taką żądzą zgładzenia całego rodu ludzkiego, że przerażony Aj-Berek czym prędzej powrócił do świata fizycznego.

W tym świecie nic się nie zmieniło. Nadal panowała pełna spokoju cisza, słońce kontynuowało swoją wędrówkę za horyzont i już prawie schowało się za trybunami. Nic nie wskazywało na kryjącą się pod areną przepaść, czekającą tylko na odpowiedni moment, żeby wychlusnąć na ziemię swoją koszmarną zawartość.

Aj-Berek odetchnął i otarł pot z czoła. Jeszcze nigdy przedtem nie stykał się z tak potężnym i tak wściekłym przejawem mocy z tamtego świata. Czuł się jak bezbronny robak, którego poryw huraganu oderwał od znanej, przytulnej i bezpiecznej gałązki i niósł ku niewiadomemu.

- Witaj na ziemi, od wieków przynależnej twemu narodowi - rozległ się z tyłu cichy, pełen szacunku głos.

Aj-Berek gwałtownie się odwrócił.

Przed nim stał wysoki, starszawy mężczyzna z poprzecinaną zmarszczkami bladą twarzą i gorejącymi triumfem oczami. Rzadkie rudawe włosy spływały mu kędziorami na ramiona, cienkie bezkrwi-ste wargi pod długim guzowatym nosem skrzywiły się w uśmiechu. Nieznajomy ubrany był w strój, który nie mówił absolutnie nic o przynależności kastowej swojego właściciela. Mag zmarszczył brwi.

- Kogoś tu witasz?

- Tak. Was. Już dawno czekamy na wasze przybycie - od dwustu pięćdziesięciu lat! I jakie to szczęście, jaki to zaszczyt, że mogłem pierwszy...

- Czekacie? - przerwał mu Aj-Berek, szybko badając aurę nieznajomego. Nie, nie był czarownikiem, ale bez wątplenia miał jakieś pojęcie o magii. Nie był niebezpieczny. - Kto czeka?

- My, Zakon Dnia Ostatniego i ja, Orlandar, jego Mistrz - odpowiedział Mistrz, nie zauważając nawet, że został poddany magicznym oględzinom. - Ci, którzy poświęcili swoje życie i siebie waszemu powrotowi. W imieniu wszystkich moich braci witam ciebie, pierwszego z powracających.

- Zakon Dnia Ostatniego... - powtórzył w zadumie Aj-Berek. Nigdy nie słyszał o tym zakonie, ale w jego nazwie było coś nie-

-122-

uchwytnie znajomego... i wtedy mag przypomniał sobie i wyszeptał: - „W Dzień Ostatni, w godzinie Oślepiającego Światła...”. Orlandar się cofnął.

- Znacie przepowiednię? - wyszeptał zdziwiony. Czarownik uśmiechnął się w swoje długie siwe włosy.

- Pomyliłeś się, Orlandarze, Mistrzu Zakonu Dnia Ostatniego. Nie jestem tym, na kogo czekacie. Jestem Aj-Berek, osobisty mag Haszyda, satrapy Vagaranu.

Orlandar popatrzył na maga z niedowierzaniem, potem potarł twarz swoimi długimi palcami i znowu się uśmiechnął - tym razem był to uśmiech zmęczenia.

- Och... Wybacz mi, potężny czarowniku. Dzisiaj dla całego naszego zakonu nastął wielki dzień i zdaje się, że trochę nie panuję nad sobą... Przyszedłem tutaj, żeby popatrzeć, jak daleko już to zaszło. .. Zresztą, nieważne. Ale co ty tu robisz? Czy może tobie również wiadomo o powrocie Starożytnych?

Aj-Berek pokręcił głową.

- Nie. Dzisiaj wydarzyło się tu coś takiego, co zmusiło mnie do przypomnienia sobie o pewnej dawnej przepowiedni. I przyszedłem tu, żeby sprawdzić, czy moje domysły były słuszne. Za pomocą mojej sztuki czarnoksiężskiej zdołałem zajrzeć na tamtą stronę rzeczywistości. To, co zobaczyłem, przeraziło mnie...

I opowiedział o koszmarnych istotach, mknących na niego z głębin Czasu i Przestrzeni.

- Odpowiedz mi, Orlandarze, Mistrzu Zakonu Dnia Ostatniego. Czy właśnie na te potwory czekacie?

Mistrz zamyślił się, ale już po chwili z przekonaniem pokręcił głową.

- Nie. Nie, Aj-Bereku. Czekamy na powrót Starożytnych - dawno wymarłej rasy, pięknej, mądrej, potężnej. Rasy władającej Ziemią na długo przed pojawieniem się ludzi, która została przez nich zniszczona na początku ich cywilizacji - w oczach Orlandara zapłonął ogień fanatyzmu. Teraz mówił już nie do Aj-Bereka - przemawiał, przepowiadał, przekonywał i udowadniał swoją rację całemu światu. - Nasz zakon sądzi, że wtedy stała się wielka niesprawiedliwość. Prawdziwymi władcami świata powinni być oni, Starożytni, nie ludzie. Dzisiejszy człowiek bardzo różni się od tego, który żył, gdy cywilizacja była młoda - teraz stał się leniwym, tępym, lubującym się w rozrywkach i przyjemnościach stworzeniem, które zapomniało, jaką cenę zapłaciło za zdobycie władzy nad tym

-123-

światem... Ludzkość - to ślepa uliczka życia, czarowniku. Ale zdarzyło się tak, że wytępiona w czasie wojny Starożytna Rasa zyskała możliwość powrotu. Jak i dlaczego pojawiła się ta możliwość, nie wiemy, albowiem nie musimy tego wiedzieć. Najważniejsze, że teraz możemy cofnąć historię i rozpocząć na ziemi nową erę -Erę Rasy Starożytnej. Kto miał rację, a kto był winien w tej dawnej, rozpętanej tysiące lat temu wojnie pomiędzy Starożytnymi i Człowiekiem, nie wiadomo - czas zatarł wszystkie odpowiedzi, wszystkie ślady o przyczynach bitwy. Pokonani przenieśli się do lepszego świata i Ziemiąwładająteraz zwycięzcy, którzy zamieszkali wszystkie jej krańce.

I oto nastał dzień, kiedy spełni się przepowiednia i powrócą prawdziwi władcy Ziemi. Dzisiaj o północy przedstawiciele Starożytnej Rasy ożyją tutaj, na tej arenie... Znasz klasztor, znajdujący się na północ od Vagaranu?

Nazywają nas kapłanami Niewiadomego. Dwieście pięćdziesiąt lat temu nasz zakon osiadł w tej miejscowości. Albowiem powiedziane jest: „W kraju, skąd ostatni ze Starożytnych wstąpił na Szare Równiny, pojawią się...”. A legendy twierdzą, że ostatnia bitwa między ludźmi i Rasą Starożytnych, bitwa, którą Starożytni przegrali, odbyła się właśnie w miejscu, w którym tysiące lat później wyrósł Vagaran.

Czarownik słuchał uważnie, nie przerywał, ale też nie krył dręczących go ponurych wątpliwości. Potem odezwał się z odcieniem podejrzliwości w głosie:

- Wiem o tym. Jednakże wielokrotnie badałem strefę eteru nad tym klasztorem i nie zauważyłem żadnych zakłóceń.

- Zgadza się, nie jesteśmy przecież czarownikami. Po prostu czekaliśmy na powrót Starożytnych. Czekaliśmy i przygotowywaliśmy się do niego.

- „I załopocze sztandar Zemsty. I wystąpi Starożytny Legion” - zacytował w zadumie Aj-Berek. - Teraz już wiem, co to znaczy...

- Tak, my też sądzimy, że słowa te dotyczą właśnie powrotu Starożytnej Rasy.

- W takim razie, kogo widziałem w astralnej przestrzeni? Co to za monstra pędzą tu z przepaści?

- Nie wiem, magu. Chociaż, pamiętasz? - „Przychodzący w ślad za pierwszymi, rozleją się czernią po świecie”. Pierwsi - to pewnie Starożytni, a idący śladem... Widzisz, Wrota Czasu, łączące Teraźniejszość i daleką Przeszość, w swojej nieskończoności przecinają

-124-

również Świat Demonów - domenę wszelakiego plugastwa i władców Czarnych Mocy. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że istoty Mroku zawsze dążyły do tego, żeby przeniknąć na Ziemię i nią zawładnąć. Bracia z zakonu sądzą, że póki Wrota będą otwarte, za starożytnymi postarają się tu wtargnąć hordy demonów... Można byłoby ich powstrzymać, ale zaszło coś nieprzewidzianego - Hełm przepadł z naszego pola widzenia, a bez niego... nie wiem, nie wiem, w przepowiedni tyle jest niedomówień i dwuznaczności... Szczegółów Przyjścia nikt do tej pory nie zdołał odczytać. Na przykład, co to za „Czarna Moc, która zniszczy samą siebie”...

- To akurat proste - machnął ręką Aj-Berek. - Amin, gladiator, który zginął, był tylko w połowie człowiekiem: w jego narodzinach brały udział Czarne Moce. Drugi gladiator, Conan, przez cały czas znajdował się we władzy Magii - zaklęcia, które ja sam na niego nałożyłem. W ten sposób jeden przejaw Czarnych Mocy starł się z drugim i gdy zginął jeden z gladiatorów, oba przejawy wzajemnie się zniósły. Dlatego Conan wyrwał się spod władzy mojego zaklęcia i udało mu się uciec. A w miejscu, w którym doszło do zderzenia jednobiegunowych sił, rozerwała się tkanina wszechświata i powstały Wrota... Zresztą, wyjaśnienia są długie i nudne. Ale masz rację: ja również wielu rzeczy nie mogłem odgadnąć w przepowiedni. Co to za Hełm, o którym mówi prorocstwo i o którym wspominałeś?

Orlandar zawahał się.



- „A na przedzie - poznają go po Hełmie jego”... Nie wiem, czy powinienem odkryć przed tobą prawdę - nie zostałeś wtajemniczony. .. Ale skoro Hełm zginął... Posłuchaj mnie uważnie, czarowniku Aj-Berek.

Rasa Starożytnych to nie tylko mędrcy i myśliciele, ale również silni, dzielni wojownicy. Pragną zemścić się na ludziach za to, że przegrali wojnę i zostali zgładzeni. Kieruje nimi ślepa, niszcząca wszystko na swojej drodze, żądza zabijania. Wojownikom tej armii potrzebny jest przywódca, który powiedzie ich za sobą w triumfalnym pochodzie po Ziemi. „Grody i sioła w proch się obróca. Zginą narody i rasy... Ażeby pokornym być Starożytnym i przykazaniom ich”. I ten, który zwyciężył na arenie, ten, czyją głowę wieńczył Hełm, ten powinien zostać Głównodowodzącym Armii Starożytnych. Albowiem tylko za pomocą Hełmu można podporządkować sobie tę armię, zmusić żołnierzy do wykonywania rozkazów. I tylko przy użyciu tego Hełmu można zamknąć Wrota Czasu, zanim Moce Ciemności spróbują wtargnąć tu, na Ziemię... Jednak coś poszło nie tak

-

-125-

ten, który nosił Hełm, zginął, a jego zabójca zbiegł razem z Hełmem. I nie wiem, gdzie on teraz jest. I nie wiem, co teraz będzie.

- „Lecz jeśli z woli bogów umrze nie ten, który powinien...” . Ach, więc to znaczy... - przypomniał sobie Aj -Berek, patrząc w zadumie na cienki pasek słonecznego światła, oświetlający czarny masyw areny i nagle jego twarz wykrzywiła się przerażona strasznym przecuciem. - Nie, Orlandarze, poczekaj! Innymi słowy, skoro zwyciężył nie ten gladiator, który nosił wasz Hełm, Armia Ciemności zdoła bez przeszkód przeniknąć na ziemię i... i... - mag mimo woli przełknął ślinę, wyobrażając sobie, jak katastroficzne skutki może mieć zniknięcie Hełmu.

- I „... .przychodzący w ślad za pierwszymi rozleją się czernią po świecie i nie staną ni ziemi, ni wody, ni ludzi, ni bydła” - bardzo cicho, niemal szeptem, dodał Orlandar. - Masz rację, tak się właśnie stanie.

Starcy popatrzyli sobie w oczy i obaj zachłysłeni się tą samą falą strachu. Tylko ich dwóch było na arenie; dookoła tak samo obojętnie szemrał w piasku wiatr, słońce już zupełnie schowało się za trybunami i szary zmierzch otulił arenę. Na ciemniejącym niebie tajemniczo zamigotały pierwsze gwiazdy.

- Możliwe, że nasze spotkanie nie jest przypadkowe - powiedział ochryple Aj-Berek. - Ty wiesz jedno, ja coś innego, razem możemy spróbować coś zrobić. Jakoś poprawić tę sytuację. Jeśli znajdziemy Hełm... Wiesz, jak go szukać?

- Tak - odparł z przekonaniem Mistrz. - Znam zakłęcie, które pomoże określić, gdzie się on znajduje... ale na razie nic z tego nie wychodzi. Coś przeszkadza. Ale przecież nie jestem magiem, moich zdolności wystarczyło tylko na to - Orlandar uśmiechnął się gorzko - żeby bez przeszkód wejść na arenę. Ale zapewne ty, jako bardziej doświadczony, zdołasz...

- Zapomnij o Hełmie, Mistrzu - powiedział szybko Aj-Berek. Inna myśl jak błyskawica wybuchła w jego mózgu. - Wiem, jak znaleźć Conana. Znam odcienie jego aury, a przy tym aura ta jest tak silna i wyraźna, że określenie, gdzie jest nie będzie zbyt trudne. Znalezienie Conana jest teraz najważniejszą sprawą. Jeśli jest jeszcze w mieście... Ilu Starożytnych ma przybyć tu o północy?

- Około dziesięciu tysięcy.

Aj-Berek wydał bezsilny jęk. Dziesięć tysięcy - tylu mieszkańców liczył Vagaran. Ludzi zdolnych do walki - najwyżej jedna dziesiąta. A przecież do wtargnięcia szykuje się również Armia Czarnych Mocy...

-126-

- Musimy się pospieszyć, Orlandarze, Mistrzu Zakonu Dnia Ostatniego. Do północy zostało już niewiele czasu. Błagam cię, zostaw na chwilę swoich Starożytnych. Nie mam pojęcia, jak bardzo są mądrzy i sprawiedliwi, ale... zresztą, to nieważne. Teraz potrzebujemy tylko Conana. Przed chwilą zrozumiałem ostatnie słowa przepowiedni: „A tylko ten, który przeżył, zdoła dwa razy zabić martwego i zawrzeć Wrota”. Rozumiesz? - Ostatnie zdanie powiedział już biegnąc w stronę bramy.

Orlandar pospieszył za nim.

- Sądziś... Sądziś, że mowa tu o tym gladiatorze Conanie? Zdoła zamknąć Wrota? Ale w jaki sposób?

- Nie mam pojęcia. Ale to niewątpliwie on. I tylko on.

- „Dwa razy zabić martwego”... - Mistrz zastygł wstrząśnięty nagłym olśnieniem. - Powiedz mi, czarowniku, gdzie odniesiono trupa tego drugiego gladiatora?

- Do jutra - do miejskiej kostnicy. W południe zostanie pochowany z hono... - Mag również się zatrzymał. - Chcesz powiedzieć, że...

- Wszystko jest możliwe. W naszych czasach zdarza się, że nawet martwi wstają z grobów. Tym bardziej musimy odszukać Conana. Jeśli, jak mówisz, jeszcze nie opuścił miasta.

- W takim razie ruszajmy, Orlandarze.

- Ruszajmy, Aj-Bereku.

I pospieszyli w stronę bramy, prowadzącej na ulice śpiącego miasta.

XVII

Szach Dżumał zabronił strażnikom iść za sobą. Od ogrodzenia, otaczającego kostnicę, od furtki, przez którą wszedł do parterowego, niepozornego budynku, dość już zaniedbanego, było pięćdziesiąt kroków. Nie wiadomo, dlaczego szach liczył kroki. „Pięćdziesiąt. Tyle, ile mam lat” - pomyślał, podchodząc do budynku. Ręka, która podniosła się, żeby pchnąć drzwi, zamarła w powietrzu. Dżumał się obejrzał. W nocnych ciemnościach nie sposób było zobaczyć ani furtki, ani ogrodzenia, ani tym bardziej czekających na swojego władcę strażników.

„I po co mi to? Co było, minęło” - błysnęła w jego świadomości iskierka myśli... Ale natychmiast zgasła.

-127-

Znowu zapłonęło w nim pragnienie zobaczenia za wszelką cenę syna po raz ostatni i ożywiło uniesioną rękę.

Drzwi otworzyły się, Dżumał wszedł do środka. Poczul dreszcz, owionął go chłód. Oczy jakby zasnuło szronem, rozmywając kontury przedmiotów. Szach podniósł dłonie do twarzy, zamrugał powiekami, zaczął przecierać oczy. Poczul, że odegnał niewidzialną zasłonę i otworzył oczy. Dwa kaganki w przeciwległych kątach niewielkiego pomieszczenia skąpo oświetlały niezbyt bogate wyposażenie ostatniej przystani człowieka. Przed wejściem do lodowni stał zбитy z desek stół, obok niego jedyne w tym pomieszczeniu krzesło.

Na krześle siedział Amin.

- Czekałem na ciebie, ojcze - powiedział bezbarwnym, zimnym jak powietrze kostnicy głosem, ale ten głos parzył szacha piekielnym gorącem. - Przywołałem cię.

- Wiesz, że jestem twoim ojcem? - wyrwało się Dżumałowi. Szach na widok Amina nie przestraszył się i nie zdziwił. Przeciwnie, od razu poczul, że tak właśnie być powinno, że właśnie po to jechał tu w środku nocy, na krańce obcego miasta.

Jak mógł się nie domyślić, że jego syn, w połowie człowiek, a w połowie strach, może tak po prostu zginać z ręki jakiegoś tam śmiertelnika?

- Wiele rzeczy teraz wiem - oczy Amina zapłonęły pomarańczowym płomieniem, a w środku paliła się jak czerwony węgiel żrenica. - Moi nowi władcy o wielu rzeczach mi opowiedzieli, na wiele rzeczy otworzyli oczy. Zdradziłeś mnie.

- Nie! - krzyknął szach. Wypadły, potoczyły się po podłodze paciorki różańca. - Nigdy!

- Nikt nigdy nie powinien był się dowiedzieć, że jestem twoim synem - po kostnicy przetoczyło się grobowe echo. - Przez ciebie muszę teraz służyć innym władcom, innym panom.

Amin wstał z krzesła.

- Mogliśmy być razem, ojcze.

Na szacha szedł jego syn, na jego szyi pulsowały grube żyły. Wyglądał groźne, ale jednocześnie przy każdym kroku chwiał się niepewnie. Dżumał odniósł wrażenie, że palce bezsilnie zwisających

rąk Amina wydłużyły się... Całe ciało jego martwego syna uległo strasznym przemianom. Amin ciężko dyszał i przy każdym jego wydechu, w nozdrza szacha bił smród.

- Mógłbyś zostać moim sługą, ojczu.

-128-

Głos i pomarańczowy płomień oczu Amina hipnotyzowały szacha. Nie chciało mu się ani myśleć, ani ruszać, ani zaprzeczać. To, co się działo, mroziło go, jak nieboszczyków w lodowni. Nawet serce Dżumala biło wolniej. Zastygały pragnienia, zamierały uczucia, pamięć zmieniała się w lód.

- Zdradziłeś mnie, ojczu.

Amin stał bardzo blisko Dżumala, jego ogromne ciało zawisło nad nim. Podniosła się ręka z ogromnymi haczykowatymi paznokciami i zatrzymała na wysokości piersi szacha.

- Zdradziłeś mnie, ojczu.

Coś jakby obraza zadźwięczało w pozbawionej emocji mowie zmartwychwstałego Amina. I do mózgu szacha wróciła niedawna myśl: „Co było, minęło”. Skończyło się, przeszło. Nic nie powróci, rozumiał szach, niczego nie można już naprawić. Każdy ma swój los i każdy sam go tworzy. A on, turański szach Dżumal, już skończył tworzyć swój los. Dlatego zdołał rozkleić zaschnięte, sztywne od zimna wargi i odpowiedzieć:

- Tak, synu, zdradziłem cię.

Ręka, zabijająca wrogów Dżumala, odbijająca ostrza i strzały, niosące władcy śmierć, wbiła się w ciało szacha. Palce weszły w ciało, jak nóż w masło. Potem Amin wyszarpnął rękę, rozrywając skórę i szach zobaczył przed sobą leżące na ogromnej dłoni, jeszcze bijące, jego, Dżumala, serce. Syn i strażnik ścisnął rękę w pięść, zgniatając ojcowskie serce. Krew bryzgnęła na wszystkie strony. Szach Dżumal nie żył.

Amin złapał osuwającego się na podłogę ojca i lekko, jak dziecko, wziął na ręce. Chciwie, niczym do źródła na pustyni, przypadł do ziejącej w piersi trupa rany.

Chłęptał krew swojego ojca, na podbródku miał czerwone plamy, na pierś spadały purpurowe krople.

Wreszcie Amin oderwał się od krwawego źródła, zadarł głowę do góry i zawył jeszcze bardziej przerażająco, jeszcze bardziej piekielnie niż poprzednio, gdy jego ryk słyhać było we wszystkich zakątkach Vagaranu. W odpowiedzi na ten zew pośrodku opustoszałej areny spienił się piasek, zalśniły czarne błyskawice i z podziemnych niewidocznych przejść, zamkniętych przez setki lat, chlusnęło morze ciemności. Przebijając sobie drogę przez tysiąclecia, kłębiąca się chmura wylała się na powierzchnię, szybko wyszukując sobie przejścia w skałach. Jednym z takich przejść okazał się podziemny

9 - Conan i prorok ciemności

-129-

labirynt pałacu Haszyda. Czym była ta chmura? Uświadomienie sobie tego wtrąciłoby zwykłego śmiertelnika w przepaść nieprzeniknionego szaleństwa, nie pojmując bowiem rozumem, co widzi, prosty człowiek instynktownie wyczułby, że ma przed sobą Śmierć.

Były strażnik, martwy gladiator, nowo objawiony sługa Czarnych Władców, istota zmartwychwstała przestała już w czymkolwiek przypominać człowieka. Wydawało się, że ojcowska krew wlała w jego ciało nową niezemską siłę. I tak już gigantyczne mięśnie powiększyły się trzy razy, szyja zniknęła, głowa zatopiła się w zwałach mięśni. Oczy rozszerzyły się na pół twarzy, nos zmienił się w dwa ziejące otwory, pod którymi czerwieniła szeroka szczelina ust... Ust? - raczej paszczy. Paszczy gotowej połknąć wszystko, co zrodziło się na ziemi. I pierwszymi ofiarami nowo narodzonego potwora, protegowanego Ciemnych Mocy i potomka demonów, stali się niczego nie podejrzewający, czekający przed furtką strażnicy martwego szacha. Do miasta Vagaran weszła wietrzna, milcząca północ. Obojętny księżyc zalewał miasto zimnym niebieskawym światłem.

Vagaran spał. Spali kupcy, taksatorzy drogocенności, spali biedacy i żebraczkі. I nikt z nich nie wiedział, że ta noc będzie dla nich ostatnią. A ci, którzy wiedzieli, nie zamykali oczu. Ale nie mogli nic zrobić.

Do miasta Vagaran weszła północ.

A razem z nią Śmierć.

Gdyby na arenie był ktoś, kto umiałby przeniknąć wzrokiem nieprzeniknione ciemności, zauważyłby, że jej środek zapłonął czarnym światłem; że pojawił się wirujący lej ciemności, z którego zaczęły się wyłaniać niewyraźne postacie: przysadziste, zgarbione istoty wychodziły znikąd i rozbiegały się po arenie... Ale kogoś takiego na arenie nie było. Nie było tam również żadnego innego zwykłego człowieka. Gdyby był, usłyszałby dźwięki wydawane przez dziwnych przybyszów - szcęknięcie, skrzeczenie, zawodzenie, skrzypienie... Starożytni rozmawiali w swoim języku.

„W końcu nadeszła nasza godzina...

Jesteśmy tu...

Powróciliśmy...

Nasza ziemia...

Nasze niebo...

Nasze powietrze...

-130-

Znowu tu jesteśmy...

My-władcy...

Jedyni...

Prawowici...

Prawdziwi...

Zabić wszystkich ludzi...

Przywrócić nasze...

Zemścić się...

Odebrać przeznaczone nam...

Zabić...

Zemścić się...

Zabić...

Zabić..."

Ale nie było nikogo, kto mógłby usłyszeć i zrozumieć te dźwięki.

Arena jarzyła się światłem czarnych piorunów, rozbłyskała światłem czarnych wybuchów, płonęła czarnym ogniem. Czarne błyski biegały po jej murach, zapaliły się czarne iskry, migotały języki czarnego płomienia.

Członkowie Zakonu Dnia Ostatniego mylili się. Starożytni nie byli ani mądrzy, ani piękni, ani sprawiedliwi. Była to rasa bezlitosnych, chciwych krwi, tępych istot, których jedynym celem było zgładzenie wszelkiego życia na swojej drodze. I dzisiaj powrócili na Ziemię. I ujrzeli najbliższą budowlę, zamieszkaną przez podłych człowieczków: pałac satrapy Haszyda.

XVII

Kupiec Machar zasnął na krótko przed północą, zaspokój ony przez ślicznotki Magriba, uspokojony i ukołyszany dobrym aąquilońskim wzmocnionym winem i wymyślonym przez niego samego, tuż przed oddaniem się we władzę duchów snu, sposobie sprzedawania agros-skiego taniego jedwabiu jako modnego vendhyjskiego, co przyniosłoby mu, sprytnemu handlarzowi, najmarniej półtora raza większy zysk. Przerażający gladiator poszedł w niepamięć. Do rana na pewno go pojmają, Machar wróci do domu i wszystko pójdzie swoją koleją.

Obudziły go jakieś szelesty i krzątania. „Myszy, czy co?" - przestraszył się kupiec. Uniósł się na łokciach. Ziewając, zaczął trzeć

-131-

oczy grubymi, wypiełgnowanymi palcami. Z głębi domu dobiegł łoskot-jakby przewrócono na podłogę wypełnioną naczyniami szafę. To nie mogły być myszy.

Machar podskoczył jak na niewidocznych sprężynach. Serce zaczęło bić jak szalone, próbując przebić skórę, wyskoczyć z piersi, potoczyć się po podłodze. „Zbuntowany niewolnik wdarł się do domu!” - do kupca powróciłyienne strachy. Zza ściany oddzielającej pokoje gościnne od komnat gospodarza dał się słyszeć jęk, który natychmiast ucichł. Po nogach obłąkańczo przerażonego, zamarłego na środku pokoju, Machara pociekły ciepłe strumyczki.

Ale kupiec nie czuł wstydu, właściwie nie zauważył nawet takiego drobiazgu. Kobięcy pisk przebił się z żeńskiej połowy domu, zawibrował i natychmiast umilkł. Dziwne, ale to właśnie wyrwało kupca z oszołomienia. Machar poczłapał w stronę drzwi i wyjrzał na korytarz. Akurat w tym samym momencie, gdy z sąsiednich drzwi wyleciał, grzmotnął o ścianę i osunął się na podłogę jeden ze strażników Magriba. Z jego rozprutego brzucha ciekła krew i wypadły wnętrzności.

Uczeni medycy być może zdołaliby wyjaśnić, jakim cudem przerażonemu na śmierć, wstrząśnietemu kupcowi udało się nie stracić przytomności na widok czegoś tak potwornego; jak zdołał od razu przejść do ratowania własnego i dlatego tak bardzo lubianego i cenionego przezeń życia: Machar przyskoczył do szerokiego łóżka, pod które chciał się schować przed szalejącym po domu wściekłym gladiatorem. Już odrzucił sięgające do podłogi prześcieradło, gdy przyszło mu do głowy, że zabójca widząc zmiętałościel, odgadnie, że w tym pomieszczeniu znajduje się ten, kto w niej spał. Zacznie szukać i znajdzie.

„Pozostaje okno i drzwi do kuchni” - mózg kupca pracował nie-wytlumaczalnie jasno. Nie odważył się wyskakiwać przez okno w straszną ciemność nocy i dlatego rzucił się do niedużych drzwi prowadzących prosto do kuchni.

Nie wiadomo, w jakim celu zbudowane przez Magriba połączenie pokoi gościnnych z kuchnią bardzo przydało się kuzynowi jubilera. Cały i zdrowy dotarł ciemnym wąskim korytarzem do dwóch przestronnych pomieszczeń, w których gospodarzowi domu szykowano wykwintne potrawy. Gdziegdzie słabo migotały zapalane na noc kaganki i ich blask pozwolił Macharowi przemieszczać się, nie wpadając na stoły, stołki, ściany, kotły i worki. Kupiec szukał kryjówki. Spieszył się, bo przerażające dźwięki nie ustawały i szarpały nerwy. Handlarz tkaninami nie zwrócił jednak uwagi na to, że dobiegały one jednocześnie z dwóch lub trzech końców domu.

-132-

Wreszcie Machar wyszukał odpowiednią kryjówkę - niepozorną spizarkę, w której trzymano jakieś kasze w workach. Wdrapał się na worki, zamknął za sobą drzwi i zamienił się w słuch. „O nie, tutaj ten szalony niewolnik mnie nie znajdzie” - uspokajał sam siebie. Nawet mu się to udawało.

Gdyby przerażony handlarz dalej wpatrywał się w oświetlony kagankami korytarz, zobaczyłby, kto wyszedł w ślad za wyrzuconym z komnaty Magriba strażnikiem z rozprutym brzuchem. Gdyby jeszcze chwilę zamarudził, gdyby nie opuścił swojego pokoju w takim pośpiechu, zobaczyłby, kto wszedł do pokoju, w którym dopiero co spał. Handlarz nie mógł mieć pojęcia, kto przeniknął do tak doskonale strzeżonego i tak, wydawałoby się, bezpiecznego domu jego kuzyna, kto z zimną krwią odrąbał głowę czołgającemu się po dywanie Magribowi, któremu z przerażenia sparaliżowało nogi, kto bez specjalnego wysiłku poradził sobie z tymi, których jubiler nazywał: „moi obwiesie”; kto, wyważając drzwi i przechodząc przez okna, przeszedł przez komnaty Magriba, zostawiając za sobą krwawy ślad; kto na kobiecej połowie bez wahania i bez litości wyrzwał, niczym gospodyni kury, wszystkie żony, nałożnice, mamki i dzieci...

Machar poczuł wewnątrz lodowaty chłód, gdy uświadomił sobie, że to, co przed chwilą usłyszał, to nic innego tylko skrzyp otwieranych drzwi do kuchni. A to? O bogowie, o Isztar! - ciężkie kroki, człapiące, skrobiące...

„Nie! - zaklinał nie wiadomo kogo skulony w kłębek kupiec. -Żeby tylko przeszedł. Żeby tylko nie mnie...”.

Kroki zbliżały się. I nagle ucichły. Płynęły sekundy i nie słychać było najmniejszego dźwięku. Machar już miał odetchnąć z ulgą...

.. .gdy nagle drzwiczki od spiżarki otworzyły się na oścież.

Handlarz tkaninami o imieniu Machar umarł, zanim jego ciało wywleczono z komórki i ogromny brązowy półksiężyc siekiery oddzielił głowę kupca od tułowia. Machar umarł na serce, gdy zobaczył, kto przed nim stoi, oświetlony płomykami przewróconych kaganków, które zaczynały już chciwie lizać ściany.

Kalian cicho bulgotał, słodkawy dym biegł po fajce, wypełniał płuca, wylatywał na zewnątrz przez nozdrza i usta, wlatywał pod sufit. Realność odpływała.

Haszyd, władca khoraj skiego miasta Vagaran, kilka miesięcy temu zasmakował w paleniu mieszanki z suszonych płatków czarnego lotosu

-133-

i innych, równie rzadkich i drogich ziół. Przenosiły go na Ziemię Nieznane, gdzie wprawdzie nie był satrapą, ale niemniej jednak przebywając tam, odczuwał niewypowiedzianą rozkosz, która, w odróżnieniu od całej reszty, jeszcze nie zdążyła mu się znudzić. Za powtórzenie dziwnych snów trzeba było płacić ogromne pieniądze, gdyż zioła, dostarczane mu przez Aj-Bereka, były tak drogie, że wątpliwe, aby kogokolwiek w Vagaranie, poza samym satrapą, stać było na podobne przyjemności.

Dzisiejszy dzień przyniósł Haszydowi zbyt wiele kłopotów i zdenerwowania. Potrzebował uspokojenia. Niczym nie zakłóconego zapomnienia. Haszyd zjadł kolację, odmówił wieczorną modlitwę, wydał Sdemakowi rozporządzenia na noc, poszedł do siebie i wyciągnął kalian.

Jak zawsze, z każdym łykiem dymu zacierały się kontury znajomych przedmiotów, unosiła się i zasnuwała wszystko wokół biało-różowa mgła. Realność odpływała. Mgła odrywała Haszyda od ziemi. Z białoróżowych oparów pieszczących ciało delikatnym dotykiem, a uszy dźwiękiem dzwoneczków i dalekim śpiewem czystych kobiecych głosów, wyciągały się ręce splecione z aromatycznych traw, obejmowały go i unosiły gdzieś wysoko ponad obłoki. Spadając z niebieskich przestworzy, Haszyd płynął w ciepłych błękitnych oparach. Towarzyszył mu korowód nagich tancerek niezemskiej urody, których ruch i śmiech wywoływały u satrapy konwulsje szczęścia oraz nieznaną zwierzęta i ptaki, śpiewające peany pochwalne.

Czas w Ziemiach Nieznanych nie miał żadnego znaczenia.

Nagle płynne opadanie zostało przerwane. Nogi dotknęły ziemi. Otaczająca satrapę błękitność rozsunała się i Haszyd zobaczył przed sobą czyjeś oblicze. Znajome rysy. Skłębiona posiwiła broda, zmarszczone brwi. Co to za postać? Zna jej imię...

Twarz zamiast zniknąć, zbliżyła się do satrapy, przerywając cudowne pływanie. Jej wargi poruszały się bezdźwięcznie, z otwierających się ust wystrzelały ruchliwe czarne żmijki i przelatywały obok Haszyda. Władca Vagaranu poczuł, że upojenie wycieka z niego jak woda z dziurawej beczki i zamiast niego pojawiają się mdłości.

Haszyd przypomniał sobie imię twarzy. Sdemak! Co on tu robi? Po co przyszedł? Trzeba go przegonić.

- Wynoś się. Precz. Wynocha - mamrotał satrapa, dopóki twarz się nie rozwiąła. Zaraz potem spod nóg odpłynęła ziemia i Haszyd poczuł, że znowu płynie.

-134-

Dowódca Sdemak zaklął długo i soczyście. Nie w porę Haszyd napalił się tego świństwa. A wszystko przez tego Aj-Bereka, niech go diabli, to on podsunął władcy tę truciznę. Dowódca zrozumiał, że nie uda mu się otrzeźwić satrapy, nie ma na to czasu.

Sdemak wykrzyknął imiona i od razu do komnaty Haszyda wpadło z korytarza dwóch żołnierzy.

- Chłopczy - powiedział ze zmęczeniem dowódca. - Będziecie nieść pana. Nie odstępujcie mnie nawet na krok. Wypełniać tylko moje rozkazy. Tylko moje, jasne? Pan zachorował. Jest nieprzytomny. Gdyby coś mówił, wyrwał się - nie zwracajcie uwagi. Jasne? Dobrze... Chłopczy, mamy obowiązek uratować naszego władcę. Obowiązek! Biercie go.

Z komnat Haszyda wyszedł Sdemak, za nim dwóch potężnych żołnierzy, którzy mieli na zmianę nosić na rękach swojego władcę.

Z pięciu kuszników, dwóch miało iść w ariergardzie ich maleńkiego oddziału. Ruszyli pałacowym korytarzem.

Zza pierwszego zakrętu wypadł zziębnięty oficer. Sdemak nie zatrzymując się, rozkazał mu iść tuż obok nich.

- Zachodnie skrzydło zajął przeciwnik - ciężko dysząc, głosem, w którym strach mieszał się z bojowym zapalem, powiedział oficer. - Nie sposób się przedrzeć. Północne skrzydło płonie. Tam też nie można przejść. Jedyna jeszcze wolna droga- przez amfiladę na pierwszym piętrze, a potem po spiralnych schodach. Już tam wysłałem wszystkich moich kuszników. Powinni się utrzymać do naszego przyścia.

- Zuch - Sdemak nie na próżno zawsze lubił tego chłopca -będzie z niego dobry dowódca. Jeśli... - Sygnalne ognie zapalono na dachu?

- Dowódco! Tam już były demony! Przed naszymi chłopcami! Jak? Skąd? Dowódco, to przecież nieludzie, to plemię Negrali! -teraz w głosie młodego oficera dało się słyszeć również rozpacz. -Nic nie możemy zrobić. W każdego demona trzeba by wsadzić w dziesięć bełtów, co najmniej.

- A więc można je zabić! Co to za demony! - parsknął Sdemak. - Demonów żelazo się nie ima! Zbiegli schodami na pierwsze piętro. Tutaj doskonale było słychać odgłosy rozgorzałej w pałacu Haszyda bitwy: przedśmiertne wycie i jęki rannych, brzęk i łoskot żelaza, przekrzykujących się obrońców pałacu, łoskot wyważanych drzwi i budowanych w przejściach barykad.

-135-

- Chłopcy się boją. Jedni uciekają w panice. Inni zamierają z przerażenia i nie mogą podnieść rąk. Przecież wy ich widzieliście, dowódco! Przyszli ze Świata Demonów! Zajęli pałac!

- Milczeć, oficerze! - brutalnie przerwał mu Sdemak, myśląc przy tym: „Sam widzę, że pałac jest skazany. Obrony już się nie da zorganizować. Za późno... Żeby tylko udało się uratować Haszyda...”.

Atak był nieoczekiwany i gwałtowny, jak atak kobry z zasadzki. Parę chwil temu pałac, jak zwykle o tej porze, syczał się do snu, cichły komendy straży, gasły jaskrawe wieczorne kaganki, zapalano nocne - nie tak jasne, rzadsze; wszystko w rezydencji Haszyda zamierało... i nagle -jakieś stworzenia, włochate, z trąbami, z dziwnymi, wygiętymi do tyłu kolanami leżą przez paradne wejście, przez boczne wejścia, przez każde drzwi, okno, każdą szczelinę, wypełniają pałac swoimi ohydnyimi ciałami, blaskiem zaostrzonych siekier i wypolerowanych hełmów, przewracają lampy i pochodnie. Ogień zaczyna pełzać po ścianach, w jego odblaskach migają złowieszcze postacie, i nie ma czasu na zorganizowanie obrony, na zwołanie wojowników, ustawienie ich w odpowiednich miejscach...

Nie ma czasu na zrozumienie, co się dzieje, co za wróg przeniknął do pałacu Haszyda. Ale... przez głowę Sdemaka przemknęła krótka jak błysk myśl, szach Dżumał, jak zameldowała Sdemakowi straż, opuścił swoje komnaty i wyszedł z pałacu. Wyglądał przy tym na bardzo zaniepokojonego i szalenie się spieszył... Czyżby to był podstęp wiarołomnego Turanu? Czyżby turańskie psy chciały zająć miasto i przebrać się za potwory, żeby wywołać panikę w szeregach dzielnych wagaranczyków? A gdzie podział się ten mądrała, Aj-Be-rek? Też razem z Turańczykami?... Sdemak pokręcił głową. Nie czas teraz o tym myśleć. Potem. Teraz trzeba ratować władcę. Na półpiętrze czekało na nich dwudziestu kuszników. Starsza-wy wojownik ze świeżymi zadrapaniami na twarzy, w dymiącym, nadpalonym mundurze dziesiętnika rzucił się do zbiegającego po schodach Sdemaka.

- Te gady zaraz tu będą! Przebili się przez barykady na dole! Nie mam już nikogo, kogo mógłbym wysłać na dół! Słyszycie?!

Ze schodów prowadzących na parter dał się słyszeć miarowy tupot nóg - bez pośpiechu, ale konsekwentnie wchodzących po stopniach.

- Biegnij, Sdemak! Szybko! Pięciu do mnie, pozostali za satrapą i dowódcą!

Stary wojownik osunął się na jedno kolano, podniósł wycelowaną w schody kuszę. Dołączyło do niego jeszcze pięciu żołnierzy.

-136-

Sdemak skierował swój oddział w stronę amfilad sal przeznaczonych na przyjęcia i uroczystości. W biegu żołnierze niechcący zahaczali o drogie wazy i posągi, i te z łoskotem spadały na podłogę, rozбивały się na tysiące kawałków. Nikt się tym nie przejmował: życie satrapy było ważniejsze od jakichś tam ozdóbek. Sdemaka poraziła nagła myśl: czy nie przecięto im korytarza prowadzącego do spiralnych schodów? Gdyby tak było, znaleźliby się w pułapce, bo droga do tajnego podziemnego przejścia, wiodącego do zachodniej odnogi rzeki, była już odcięta przez pożar. Co prawda, dostać się na tę stronę piętra demony mogły tylko przez okna, a te były wysoko nad ziemią, ale... ale... Dowódca wołał nie kończyć myśli.

Haszyd już nie płynął w błękitnych oparach. Stał się delfinem i z zawrotną szybkością wbijał się w oślepiający podwodny świat - nurkował na samo dno, usiane perłami i koralami, wypływał tuż pod powierzchnią, skąd widać było słońce. Witwały go ławice ryb o dziwnych kształtach. Krążyły rekiny, ale satrapa nie bał się ich...

Od schodów dzieliły ich już tylko dwie nieduże sale, gdy z drzwi naprzeciwko ruszyły ku nim trzy ciemne szerokie postacie.

W świetle pożogi zaśniły siekiery i hełmy. „Przecież mogły wejść tylko przez okno - zdziwił się Sdemak. - Jak im się to udało? Jak, do licha?”. I zaryczał:

- Strzelać! Nie spać, niech was!... Pal!

Kusznicy unieśli kusze. Dowódca odsunął żołnierzy niosących Haszyda do ściany i zasyczał:

- Stać tu i nie ruszać się.

Pierwsze bełty wyrwały się ze swoich drewnianych łoży. Z półtorej dziesiątki kroków vagarańscy gwardziści nie mogli chybić.

Ale nawet po drugiej salwie wychodzący znikąd wojownicy--potwory szli na nich jak gdyby nigdy nic.

- Strzelać! Strzelać! - rozkazywał Sdemak.

Teraz można już było dokładnie przyjrzeć się budzącym strach i wstręt potworom, których legiony wtargnęły do pałacu. Zamiast twarzy - kościana narośl na czole, ledwo zauważalne oczy, wyrostek, zastępujący podbródek, kończący się na piersi i ohydnie ruszający się, jak żywe stworzenie. Ciała pokryte bizonią sierścią, trójpal-czaste szponiaste łapy, wykręcone do tyłu stawy nóg. Podobne

-137-

ohydztwo mogło wyjść tylko z czarnych przepaści, znikąd więcej! Ale mimo to...

- Strzelać! Strzelać! Strzelać! - wrzeszczał Sdemak. Nie można było dopuścić, żeby któryś z żołnierzy spanikował. - Są ranni! Dobijcie ich, chłopczy!

Niektóre z bełtów wbijały się w drewno tarcz, inne odbijały od brązowych hełmów i kościanej narośli na czole, ale były i takie, które trafiały w wystawione na ciosy, nieobronne fragmenty ciał potworów. I każdy nowy bełt, trafiający w cel, powstrzymywał zbliżanie się ohydnych wojowników, odrzucał ich do tyłu. Ledwo zauważalnie.

Odległość w dalszym ciągu nieubłaganie się zmniejszała. Siedem kroków...

Sdemak obejrzał się-jego napięte nerwy wyczuły coś niedobrego.

W ciemnej głębi przelotu przez kilkanaście sal i pokoików dostrzegł jakiś ruch. Dowódca nie miał żadnych wątpliwości - z tyłu nadchodzili Nieludzie. Z przodu też. Ale z przodu tylko trzech. Dzieli ich pięć kroków...

- Kusze na bok! Wyjąć szable! - zakomenderował, jednocześnie przyciągając do siebie za rękaw młodego oficera. - Odciągnij ich od ściany. My z Haszydem przebijamy się. Potem od razu za nami, w dół po schodach. Jasne?

- Tak jest - odpowiedział oficer.

- Naprzód - Sdemak popchnął go w kierunku walczących już na szable żołnierzy.

Młody vagarański wojownik wspaniale wykonał swoje zadanie. Napadł na najbliższej stojącego ściany potwora i uchylając się przed próbującą dosięgnąć go siekierą, oficer pociągnął potwora za sobą na środek sali. Nie było na co czekać. Sdemak z dwoma żołnierzami, z obojętnym na



wszystko satrapą na ramieniu jednego z nich, rzucił się wzdłuż ściany, ku wyjściu z tej sali, żeby dostać się do drugiej, a stamtąd na schody. Nikt ich nie prześladował, nikt nie stawał na drodze. Już są na schodach.

Zawrotny, długi bieg od jednej plamy światła do drugiej. Niżej, jeszcze niżej. Do podziemi pałacu. Schody dobiegły do wrośniętych w granitowe płyty żelaznych drzwi. To było wejście do labiryntu, wykutego w skale głęboko pod ziemią, do którego wejść, nie zabłądzić i wyjść mogli tylko nieliczni wybrańcy. A jednym z nich był dowódca Sdemak. Wyszarpnął z gniazda pochodnię, wsunął rękę w otwór w kamieniu, wymacał tajną dźwignię i nacisnął ją. Mechanizm podnoszący zasuwę od wewnątrz zadziałał i drzwi stanęły otworem.

-138-

Gdy zatrzasnęły się już za ich plecami, na nowo zamykając przejście do podziemnej części pałacu, dowódca ze smutkiem pomyślał o młodym oficerze.

Jeśli uda mu się ujść spod ostrzy brązowych siekier i dojść do obiecującego bezpieczeństwo podziemia, to nieszczęsny wojownik znajdzie się w pułapce. Nie zna tajemnicy tych drzwi. Ale zrozumie, powinien zrozumieć - Sdemak nie mógł postąpić inaczej. Nie ma prawa ryzykować życia władcy.

Dowódca armii Haszyda prowadził swoich nieco poweselałych żołnierzy (którzy już chyba nie wierzyli, że przeżyją) krętymi korytarzami. Przed rozwidleniem dróg Sdemak nie skręcił w lewo, do podziemnego więzienia, gdzie często prowadził Haszyda (satrapa lubił osobiście torturować więźniów), lecz w prawy korytarz, z którego nikt nigdy nie korzystał i który doprowadził maleńki oddział w ślepą uliczkę. Żołnierze, nic nie rozumiejąc, spojrzeli na swojego dowódcę.

- Co tak patrzycie? Idziemy - Sdemak wyjął swój krótki ceremonialny miecz, nachylił się, wsunął koniec ostrza w ledwie widoczną szczelinę między płytami podłogi, nacisnął na rękojeść. Jedna z płyt poddała się i odjechała na bok. Dowódca wsunął do powstałej dziury rękę, wymacał tam pierścień, do którego umocowany był gruby łańcuch. Szarpnął.

- Klnę się na piersi Isztar, jeszcze nigdy nic podobnego nie widziałem! - wykrzyknął zdumiony żołnierz, gdy fragment wyglądającej na monolit ściany ze zgrzytem odsunął się w głąb, otwierając ciemne przejście.

- Jesteśmy uratowani! - krzyknął ktoś.

- Uratowaliśmy naszego władcę - poprawił Sdemak. Pierwszy wkroczył do kryjówki przygotowanej właśnie na taką wyjątkową sytuację.

A Haszyd dalej był w Czarownej Krainie Snów.

XIX

Fagnir, najemny sługa Machara, obudził się i wstał z szybko stygnącej ziemi.

„Co ja tu robię? - zdziwił się. Zadarł głowę do góry. - Musi już być bardzo późno! A może nie?”. Opuścił oczy, zobaczył dzbany i wszystko sobie przypomniał. Wszystko z wyjątkiem tego, co jest w drugim dzbanie. W pierwszym,

-139-

to oczywiście - białe z Shemu... Fagnir nachylił się i stękając, podniósł przesiąknięty zapachem wina Hełm. Postać chwilę zamyślony, po czym usiadł obok wymagającego oględzin naczynia.

Aromat, który roztaczał Hełm, był bardzo urozmaicony - dołączył do niego nieporównywalny z niczym bukiet brythuńskiego cierpkiego, aąילוńskiego wytrawnego i... i... co to takiego? .. a, oczywiście, stygijski jabłecznik. Nie, co za połączenie! Ambrozja, nektar, napój bogów! Fagnir, upojony, wwąchiwał się w Hełm. Zaczęła do niego powracać częściowo utracona podczas snu nietrzeźwość.

„Wychodzi na to, że Machara jeszcze nie ma! - radośnie zagrało w piersiach sługi. - Przepadł nasz indor!”.

Fagnir poczuł, że ma ochotę coś zaśpiewać. Coś dziarskiego. Ale szybko mu się odechciało. Wpadł na inny pomysł: przejdzie dwie ulice, przelezie przez ogrodzenie, wdrapie się do okna trzeciego z

prawej, obudzi tego leniwego osła, oficjalistę kupca Efrema i namówi na parę dzbanów, grę w kości i wesołą rozmowę.

Jak pomyślał, tak zrobił. Założył na głowę podarunek od przestępców - żelazną czapkę (pełniącą jednocześnie rolę pojemnej czary) i wymachując ciężącymi mu dzbanami, Fagnir wziął kurs na bramę. Dobił do niej, pozostawiając za sobą dziwnie kręty ślad.

Przed nosem oficjalisty gościnnie otworzyła się furtka. I przez nią na terytorium kupca Machara wkroczyło przerażające monstrum.

- Ajajaj! - zmartwił się na głos Fagnir. - A tom się doczekał -już i zwidy mam. Niece, rację miał Achmed - muszę z tym skończyć.

Postawił dzbany na ścieżce i usiadł między nimi. W tym samym momencie głęboko się zamyślił, utkwiał wzrok w ziemię. Od czasu do czasu spod spuszczonej głowy dobiegało: „...dobrze, że nie szczury...”, „...od jutra ani kropli...” „... dzisiaj ostatni raz, a od jutra już na pewno...”, „Rzucę. Klnę się na piersi Isztar...” i temu podobne.

Wreszcie Fagnir porzucił świat rozmyślań i podniósł głowę. Potwory były już dwa- do pierwszego dołączył drugi, tak samo urokliwy: morda jak u indora, sierść jak u capa, topór na ramieniu, na łbie żelazny hełm. Hełm z czymś się Fagnirowi kojarzył, ale z czym, tego Fagnir nie mógł sobie przypomnieć.

Zjawy stały jak wkopane, wyciągnięte na baczność jak struna.

- Tak - powiedział uroczyście oficjalista Machara. - Od jutra koniec. Od jutra. A dzisiaj Święto Pożegnania. Co robić, kochani, jeszcze dzisiaj będę musiał was znosić. No i gdzie mielibyście się podziać, dranie! Ale pamiętajcie: więcej was już nie będzie. Inaczej

140

nie nazywam się Fagnir! Od jutra ani kropli. Aż po grób. Ani, ani!... A teraz siadajcie, trzeba to uczcić.

Złożywszy tę straszną przysięgę, Fagnir machnął głową- Hełm, ledwo trzymający się na niej, upadł dokładnie na podstawione ręce. Fagnir napełnił go po brzegi - tym razem białym shemskim.

Przestronną, bogato wyposażoną komnatę oświetlały zapalone przez Sdemaka i żołnierzy oliwne lampki, dym zaś wychodził przez wentylacyjne otwory w ścianach.

Żołnierze położyli władcę na łożę, niemal tak szerokie, jak to, do którego Haszyd przywykł, obłożyli go poduszkami, po czym otrzymali od dowódcy pozwolenie na wypicie kubka wina z zapasów podziemnej kryjówki.

Podobna do tej, w której przebywali, jaskinia była magazynem jadła i wina, było w niej też źródło wód gruntowych. Pozwalało to czteroosobowej grupie ukrywać się pod ziemią przez rok. A może nawet dwa.

Wojownicy Sdemaka z kubkami w rękach siedli na malutkiej kanapce, ich zmęczone twarze co chwila rozjaśniał uśmiech. Nie mogli powstrzymać radości, że wyrwali się z łap nieuniknionej śmierci, uratowali siebie i wytaszczyli z piekła swojego władcę. A przecież możliwe, że w pałacu oprócz nich nikt nie przeżył. A im się udało.

Ale nikt z nich, ani żołnierze, ani Sdemak, ani przebywający w cudownym stanie nieświadomości Haszyd, nie podejrzewał, że śmierć już jest wśród nich. I nie były to obmierzłe stworzenia z siekierami. Tamte potwory mogłyby się wydać zabawnymi zwierzątkami w porównaniu z tym, co zbliżało się do zaczajonych w ukryciu ludzi z głębin podziemi. Z głębin Świata Demonów.

Sdemak rozumiał radość swoich orłów, ale nie dzielił jej. Staremu wojakowi było ciężko na sercu. On, dowódca, porzucił armię. Co prawda by ratować władcę, ale jednak... Uratowanie Haszyda nie uspokoiło Sdemaka. Co działo się teraz na górze? Skąd wzięły się te stworzenia? Kim oni byli - przebranymi ludźmi czy potworami z przepaści? Czy miasto zdoła pokonać wroga? Jak długo przyjdzie im siedzieć pod ziemią? Co zobaczą, gdy kiedyś wyjdą na powierzchnię? Pytania, same pytania... i cuchnie tu coś - zdechły szczur, czy co?

Haszyd poruszył się, zajęczał, otworzył oczy. Sdemak ciężko westchnął i zmusił się do wstania z fotela, do podejścia do władcy.

-141-

Stary wojownik wiedział, że władca będzie rozdrażniony, zły -jak zawsze, gdy mijało szczęśliwe zapomnienie.

Dowódca zrobił krok... i nic nie rozumiejąc, spojrzął na nogi. Miał uczucie, jakby buty mu w czymś grzęzły. Ale w czym? Może dywan pokrywa sadza? Nie, sadzy nie było. Skąd się wziął ten czarny nalot? Sdemak miał wrażenie, że podłoga lekko się zakołysała. Haszyd znowu jęknął. Dało się słyszeć mamrotanie przez sen. Sdemak chciał podejść do władcy - i nie mógł oderwać nóg od podłogi.

- Co to znowu za gówno! - wykrzyknął rozeźlony. Żołnierze zdziwieni popatrzyli na swojego dowódcę.

A dowódca miał wrażenie, że warstwa sadzy wzdyma się i - to przecież niemożliwe! - pełźnie w górę po jego butach! Co to za brednie!

- Na podłodze, panie dowódcu! Na dywanie! - niezwykle zjawisko zauważyli również żołnierze.

- Sdemak, stary ośli ogonie, to ty? - dobiegło z łoża. Dowódca poczuł, jak do skóry jego stóp przywarło coś lepkiego

i niewiarygodnie, nieznośnie zimnego - zimniej szego od wszystkiego na świecie. „Jak to, przez buty?...”. Sdemak nie wytrzymał i krzyknął z bólu.

- Panie dowódcu, to coś je wasze buty! - zakrzyczeli żołnierze jeden przez drugiego. - To je was! Radość błyskawicznie zniknęła z ich twarzy, ustępując miejsca przerażeniu. Przepychając się, żołnierze weszli na kanapkę z nogami, żeby uciec przed puchnącą, rosnącą okropnością. Jeden nie utrzymał się na krawędzi i spadł na podłogę. Wrzasnął dziko, przenikliwie, nieludzko. Próbował wstać, ale nie zdołał: czarna masa otuliła go swoją bezkształtną powłoką, owinęła, wchłonęła. Krzyk urwał się, jakby krzyczącemu nagle zasłonięto usta.

Ohydna galareta zachowywała się jak żywe i rozumne stworzenie. Szybko i zwinnie wspinała się po ciele Sdemaka. Ten wyciągnął wolną jeszcze ręką długi kindżał (ceremonialny miecz nie przydałby się tu na wiele) i z rozmachu ciął po czarnych skrzepach. I... nic się nie stało. Ostrze weszło w masę jak we mgłę, nie czyniąc jej żadnej krzywdy. A nieznaną substancję przykryła dowódcę po szyję. Topiła go. Wspinała mu się do gardła. Nie czuł już zupełnie swojego ciała, nie mógł się ruszyć... Zrozumiał, że to koniec. Dwa, trzy oddechy i to coś przedostanie się przez usta do jego ciała.

„O Isztar, pomóż mi umrzeć szybko!” - błagał w myślach dowódca nie istniejącej już vagarańskiej armii. Coraz głośniejsze wycie żołnierza świadczyło, że i jego spotkał ten sam los.

-142-

- Ej, który tam? Odezwijcie się! - w absolutnej ciszy, okryty jedwabnymi prześcieradłami i obłożony ałasowymi poduszkami, wychrypiał Haszyd, który odzyskał przytomność. Wsłuchał się w ciszę. Nic. Tylko jakieś obrzydliwe cmokanie i bulgotanie. Uchlali się wszyscy, czy jak? - Do mnie, zdechłe świnię! Ja wam dam... Gdzie jest stąd wyjście, żeby was...

W końcu wydostał się spod prześcieradeł i rozejrzał wokół zamglonymi oczami. Nie przypomina to jego pokoi. Jakaś piwnica. Wilgotne ściany, mało światła...

Gdzie on jest? Gdzie są służby, ochrona, nałożnice, w których objęciach zasypiał każdej nocy? Nie było nikogo.

Do gardła podeszły mdłości i Haszyd przechylił się przez krawędź łóżka, żeby opróżnić żołądek na podłogę. Ale nie zdążył tego zrobić. Zdążył tylko pomyśleć, że jest ciągle w Świecie Snów, który nieoczekiwanie stał się Światem Koszmarów.

Podłogi, na którą chciał wypluć na wpeł strawioną kolację, nie było. Zamiast niej kłębiła się, przelewała i tętniła czarna galaretowata masa, sięgająca do samej krawędzi łóżka.

Gdy głowa satrapy zawisła nad nią, na jej spotkanie wyprysnął ośli-zły lśniący odrost. Haszyd, władca miasta Vagaran, przestał istnieć.

Po rozstaniu z Vellachem, Minolia wypowiedziała niezbędne zaklęcie, zamknęła oczy, skoncentrowała się i spróbowała ustalić, gdzie jest zaginiony hełm. Kompletne, nieprzeniknione

ciemności były jedyną odpowiedzią. Jednak w tym czarnym kokonie astralnej wizji zamigotała brązowa isierka. Zamigotała i zniknęła, pozostawiając po sobie jedynie znak kierunku, w którym należy szukać hełmu: południowy wschód, niemal centrum miasta, dzielnica kupców... Minolia pospieszyła w tamtym kierunku.

Tymczasem słońce skryło się już za horyzontem; po ulicach Vagara-nu płynął szary zmierzch, przemieniając budynki w ciemne głązy na pustynnym przedgórzu, a rzadkich spóźnionych przechodniów - w zjawy.

Minolia poczuła strach. Nie wiedziała dlaczego, ale gęstniejący mrok, bezludne ulice, brak zwykłego ulicznego hałasu przerażały ją. Wydawało się, że miasto zamarło, skuliło się ze strachu, czekając na cios, tak jak mały chłopak czeka, aż uderzy go ogromny łobuz. Niejasne, niewyraźne słowami uczucie było rozlane w wieczornym chłodniejącym powietrzu.

Za pobliskim zakrętem nagle zastukały kopyta - przejeżdżała straż miejska. Słysząc było głośne rozmowy strażników. Ulica spadała w dół i nogi mimo woli poniosły Minolię szybciej.

-143-

Przed wspólną studnią twarzą do ziemi leżał człowiek. Dziewczyna nachyliła się nad nim, dotknęła ramienia, z jej ust gotowe było spłynąć pytanie: „Może potrzebna pomoc?”.

Ale słowa zastygły jej na wargach - Minolia zobaczyła, że spod rozpostartego ciała wycieka, formując kałuże, ciemna, gęsta ciecz.

Walcząc ze strachem, dziewczyna szarpnięciem przewróciła człowieka na plecy.

Odzież nieznanego mężczyzny przesiąkała na wylot krwią, która nawet jeszcze teraz płynęła z jego ciała.

Gryząc pięść, żeby nie zacząć krzyczeć, Minolia cofnęła się, obejrzała i zaczęła biec w górę po ulicy. Nieświadomie pobiegła w tę stronę, gdzie, sądząc po głosach, niedawno przejechała straż. Poczowała, że nie potrafi być teraz sama.

Ciężko dysząc, dziewczyna dotarła do skrzyżowania. Zatrzymała się, żeby złapać oddech.

Obejrzała się, popatrzyła w uliczną ciemność. Wydało się jej, że z dołu idzie ku niej coś utkanego z mroku i krwi.

Nie mogła zostać sama. Potrzebowała kogoś, kogokolwiek. Obrony, pomocy, źródła siły. Gdyby w pobliżu znalazła się straż, dziewczyna rzuciłaby się do uzbrojonych mężczyzn, których obowiązkiem było chronić i ratować. I nieważne, że niemal bezprawnie dostała się do Vagaranu, nieważne, że nie znalazła Hełmu... Najważniejsze, żeby obok niej ktoś był. Ale na razie wokół nie było żywego ducha.

Wspomnienie Hełmu przypomniało jej o czymś innym: Vellach! Przecież ona wie, gdzie on jest, wie, dokąd poszedł. Znajdzie go i jeśli trzeba, jeśli jeszcze nie jest za późno, będzie dalej szukała nieszczęsnego Hełmu. Ale nie sama.

Minolia przebiegła ulicę, wiodącą do dzielnicy, którą wybrał jej brat. Szybciej, szybciej, zobaczyć Vellacha...

Biegnąc słyszała, jak miasto wypełnia się dźwiękami: urywanymi, dziwnymi, przerażającymi. Dźwięki sprawiały, że coraz bardziej się bała, coraz szybciej biegła.

W tym czasie, gdy ona, zmęczona, nie czując pod sobą nóg dotarła do pierwszych domów dzielnicy, gdzie skierował się Vellach, do miasta razem z nocną ciemnością weszło nieszczęście, którego pierwszą oznakę zobaczyła dziewczyna i które rozpląnęło się po nim z szybkością górskiego strumienia.

144

Jassin, dowódca straży Południowo-Wschodniej Bramy, myślał, że będzie tak sobie siedział aż do zmiany patrolu przy stole z neme-dyjskiego buka, drzemał i odpowiadał na głupie pytania kapitana, bez końca wpadającego do pomieszczenia i znowu gdzieś wybiegającego. Ale kapitan nieoczekiwanie zmęczył się własną nadmiernie aktywną i bezsensowną działalnością i położył się spać na pryczy w jednym z pokoi wartowni. Wtedy Jassin również uznał, że może się wyciągnąć na

szerokiej długiej ławie, na której do tej pory siedział. Ledwo zamknął oczy, od razu zasnął mocnym żołnierskim snem.

Żołnierz, który wpadł, niemal wyrywając drzwi wartowni z zawiasów, z obłąkańczym krzykiem „Alarm!”, zastał Jassina biegnącego do wyjścia z szablą w rękę. Słuch dowódcy straży, szczególnie wyczulony na niezwykle dla nocy dźwięki, wstrząsnął śpiącym mózgiem i minutę później oficer był już na nogach. Wtedy właśnie wpadł zaniepokojony żołnierz.

Do stojącego na progu Jassina dołączył zaspany kapitan.

- Co się sta... - pytanie zastygło na ustach dzisiejszego dowódcy bramy.

Plac przed Południowo-Wschodnią Bramą oświetlały pochodnie, umocowane w gniazdach na murach i na specjalnie w tym celu wkopanych w ziemię słupach przed wartownią. Wymiana pochodni również wchodziła w skład obowiązków straży. Teraz ich jaskrawe światło pozwalało zobaczyć coś takiego, że hełm z sobolimi frędzlami wypadł z nagle osłabłych rąk kapitana i potoczył się po stopniach.

Przed bramą toczyła się bitwa. Z ciemności bezszelestnie, w absolutnym milczeniu wychodziły figury uzbrojone w siekiery i tarcze, i atakowały próbujących sformować szyk żołnierzy.

- Nieludzie... Demony... - wydusił z siebie kapitan. Nawet nie patrząc na niego, było wiadomo, że jest bledszy od samej bladeści.

Jak stworzeni z krzyków na wpół obłąkanych głupków bożych, porośnięci sierścią, z trąbopodobnymi wyrostkami, z kościanymi naroślami na czole, z Niewiadomego wyłonili się wojownicy - po to, żeby zabijać. I zabijali. Zabijali.

Jassin zobaczył, że potwory przedarły się już do bramy i teraz walczą z ostatnimi obrońcami mechanizmów podnoszących kratę. Inne stwory zamykają szyk, podchodzą ze wszystkich stron, nie pozwalając ludziom uciec. Jassin nagle poczuł lekkość i radość. Wszystko stało się proste i zrozumiałe. Spadł niewidoczny ciężar przygniatający go przez długie lata. Nareszcie mógł odetchnąć pełną piersią i rozprostować ramiona.

10 - Conan i prorok ciemności

-145-

Wszystko jasne. Stało się to, co musiało się stać. Miasto, pogrążone w brudzie i lenistwie, rozpuście i podłości, dostanie to, na co zasłużyło. Niebiosa obróciły w końcu swój gniew na tych, którzy hańbią ród ludzki. I on, Jassin, niedługo zginie razem ze wszystkimi. Ale dano mu szansę uczynić to z honorem, jak przystoi mężczyźnie i wojownikowi. Być może będzie miał szczęście i znajdzie się w ogrodach Isztar, wśród bohaterów, wśród tych, którzy zginęli z bronią w ręku...

Mała chwytna ręka wpiła mu się w ramię.

- Uciekajmy! Gdzie tu uciec? Gdzie się schować? - krzyknął ktoś z boku.

Jassin strząsnął rękę, obrzucił kapitana pogardliwym spojrzeniem. Uśmiech rozciągnął wargi dowódcy straży:

- Poszedł won, padalcu, łajdaku, synu capa i dziwki! - potem odwrócił się do żołnierzy, zgodnie z regulaminem zastygłych przy mechanizmie podnoszącym kratę i na cały głos zawołał: - Podnieść most! Żeby mi żadna swołocz stąd nie wyszła i tu nie weszła!

I zapominając zupełnie o istnieniu takiego płaza jak ten kapitan, Jassin zszedł po schodach na dół, na spotkanie śmierci. Pragnął jak najszybciej zmierzyć się z prawdziwym wrogiem. W walce przekona się, ile jest wart.

Jassin zabił dwóch nie ludzi. Okazali się śmiertelni, jak ludzie, tylko skórę mieli grubszą, twardszą. Do walki z trzecim swoim przeciwnikiem Jassin stanął już ranny. Wojownicy wymienili się ciosami. Po kolei i jednocześnie wlatywały szabla i siekiera. Ciała obu przeciwników pokryte były niezliczonymi ranami. „Muszę poczekać, aż umrzesz!” - zaciskając zęby, vagarański dowódca bramy zmusił się do rąbania i cięcia.

- Koniec - uśmiechnął się Jassin, widząc mętniejącym wzrokiem, jak jego nie ludzki wróg pada ohydą mordą na ziemię.

Dowódca straży Południowo-Wschodniej Bramy runął martwy obok pokonanego przeciwnika. Dotykali się głowami.

Minęło pięć uderzeń serca. Po śmierci Jassina brama została zdobyta przez nie ludzi i nowi strażnicy stanęli na posterunku u wyjścia z miasta. Co prawda, potworom nie udało się opuścić mostu i na razie nie mogli wydostać się z Vagaranu. Na razie.

Czarna galareta, winna śmierci Sdemaka i Haszyda i żadna nowych ofiar, porzuciła martwy pałac i teraz powoli rozplątywała się po mieście. Ofiary czekały na nią: setki, tysiące żywych istot, zamieszkujących skazane miasto Yagaran.

-146-

Błękitnobiałe widmowe światło księżyca mieszało się z purpurowym odbłaskiem pożogi i zmieniało ginące miasto w półrealny świat, zrodzony w otumanionym umyśle palacza czarnego lotosu.

Skomląc ze strachu jak pies, potykając się na każdym kroku, człowiek w porwanej, pokrwawionej szacie taksatora drogocенności biegł ulicą. Ale nie dane mu było daleko uciec: rzucona silną ręką siekiera, załśniła czerwienią jak rażący piorun, zasyczała w locie i wbiła się nieszczęsnemu w kręgosłup. Człowiek wydał słaby okrzyk, upadł na ziemię, jego ciałem przez chwilę wstrząsały drgawki. W końcu ucichł. Monstrum z tarczą podeszło do niego niespiesznie. Jednym szarpnięciem wyrwało swoją groźną broń z pleców martwego człowieka i w poszukiwaniu nowych ofiar rozejrzało się po pustej ulicy.

Orlandar skrył się za rogiem budynku, żeby go nie zauważono i bez sił przywarł do brudnej kamiennej ściany.

- Już nie mogę, czarowniku - zajęczał. - Nie mogę. Schowajmy się gdzieś, przeczekajmy...

- Trzeba iść, Mistrzu - odpowiedział stojący obok niego Aj--Berek. - Już niedaleko. Czuję Conana. Jest gdzieś obok. Gdzieś się tu zaczął.

- Przecież nas zabijają! Twojej magii nie starczy, żeby nas ochronić! Widziałeś, ilu ich jest? Całe legiony!...

- Nie. Mówiłeś, że jest ich tylko dziesięć tysięcy.

Orlandar potrząsnął głową, zlepione kosmyki rudawych włosów załatały po chudych ramionach.

- To niemożliwe... Starożytni tacy nie są... Starożytni są piękni, mądrzy, dobrzy. Tylko nienawidzą ludzi. A oni... oni... nawet nie wiem, kim oni są...

- W takim razie może wiesz, jak wyglądają ci twoi Starożytni? - wyszczał przez zęby Aj-Berek. - Widziałeś ich kiedyś? Czy ktoś z tego twojego durnego zakonu rozmawiał z nimi?... Nie, wy wbiliście sobie do głowy, że ludzie to dzikusy, żądni śmierci wszystkiego, co napotkają na swojej drodze, że ci, którzy żyli przed ludźmi musieli być czystszy, jaśniejsi, mądrzejsi i lepsi; że wraz z powrotem Starożytnych na Ziemi zapanuje pokój, dobro i sprawiedliwość... Ale kto wam to powiedział?!

Mistrz zapłakał ze smutku i bezsilności.

- Czarowniku, mylisz się. To na pewno nie są Starożytni. Może to ci... idący śladem... synowie Ciemnych Mocy...

- Tak? A hełmy na ich głowach widziałeś? Prawie takie same, jak ten u martwego gladiatora, który powinien stanąć na czele Sta-

-147-

rożytnych! Czarne draństwo, które wylazi ze wszystkich szczelin i wkrótce pochłonie całe miasto, to są właśnie idący śladem. Tamten Świat w całej okazałości, który teraz przenika na ziemię i pokrywa sobą wszystko wokół. Zajrzyj w swoje serce i pojmiesz, że mam rację.

Mistrz nie przestawał płakać w milczeniu. Sam się już domyślił (tylko bał się do tego przyznać), że Starożytni okazali się być dzikimi, bezmózgimi bydlętami, pochłoniętymi tylko jednym pragnieniem - ślepym pragnieniem zabijania; że zakon w ciągu dwustu pięćdziesięciu lat mylił się, sądząc, że przyście Starożytnej Rasy na Ziemię przywróci sprawiedliwość i pozwoli zaginionej

cywilizacji osiągnąć utracone z winy ludzi wyżyny w nauce, sztuce i rzemiosłach... Rozumiał, że przeklęty czarownik ma rację, ale nie mógł się z tym pogodzić.

- Chodźmy wreszcie - poganiał go Aj-Berek. - Jeszcze nie wszystko stracone. Jeszcze możemy powstrzymać Starożytnych i idących śladem. Już niedługo. Czuję obecność Conana. Jest gdzieś tutaj, możliwe, że za następnym rogiem. Idziemy, Mistrzu Orlan-darze.

Staruszek chlipnął i skinął głową. Czarownik znowu miał rację: jeśli znajdą zbiega, to znajdą hełm i może uda się zamknąć Wrota. Ale w jaki sposób?...

Ostrożnie wyszli zza rogu budynku i rozejrzeli się.

Na początku poszukiwań przepadłego jak kamień w wodę Conana, Aj-Berek przypomniał sobie wszystkie znane mu zaklęcia, które mogły odgrodzić, osłonić, obronić i uratować ich przed niepokonanymi wojownikami Armii Starożytnych. Ku jego zdumieniu, takich zaklęć był całkiem sporo. Dzięki nim poruszali się po ulicach Vaga-ranu praktycznie bez przeszkód, nie zauważeni przez ohydnych Starożytnych, którzy zajęli miasto... Ale ten medal miał dwie strony: utrzymywanie stałego magicznego pola wokół nich odbierało Aj--Berekowi siły, coraz trudniej było mu dojrzeć aurę barbarzyńcy w astralnej przestrzeni. W dodatku astralna wizja zasnutą była szarą mgłą - niewątpliwie efekt potężnego wyładowania pola magicznego. Z rzadka w drżącej mgłę nieprzeniknionej szarości wybuchały kleksy tak obrzydliwej, tak nieludzkiej potwornej czerni, że czarownik zaczynał mieć mdłości. Wiedział, że te kleksy są przejawami siły bardziej złej, bardziej okropnej, bardziej starożytnej niż sami Starożytni. Tak najwidoczniej wyglądały na astralnym poziomie ohydnie pulsujące czarne kałuże, małe strumyki czarnej cieczy i dziwne

-148-

czarne sople, miejscami zwisające z gzymsów i dachów. Magia Aj-Bereka na nie nie działała; gdy pojawiali się ludzie, kałuże, strumienie i sople zaczynały się poruszać, chciwie wyciągać w stronę żywych istot. Czarownik czuł, że z każdą chwilą czarnych chorych plam robi się coraz więcej na ciele miasta, że ich ruch staje się bardziej świadomy, coraz szybszy i ukierunkowany, że wkrótce pokryją sobą cały Vagaran, a potem cały świat... i że to właśnie jest Śmierć, która wdarła się na ziemię...

XX

Miasto było pełne pijanych pochodników! Pijanych w dym! A to się uchlali! Zapalić tyle pochodni! I to takich ogromnych... tyle dymu, a niech ich...

Oho, strażnicy też się narabali, że hej. Cha, cha, przewracają się razem z końmi, objęci... i walają się... Wszyscy się walają, wszyscy, gdziekolwiek się spojrzy. Całe miasto się upiło. Przecież dzisiaj święto! Ale jakie?

- Jakie to dzisiaj święto? - Fagnir szturchnął łokciem w kudłaty brzuch. Nie otrzymał odpowiedzi, chwycił za trąbę i zawisł na niej, podkurczając nogi. - Święto... pij do dna... wina... Machar, wina! - i znowu wszystko zawirowało i przewróciło się. Znowu uderzenie. Tym razem plecami i karkiem. I czysty, długo nie milknący brzęk wokół głowy.

Niebo, lśniące czerwienią, wypełniają trąby, sierść, ładnie po-błyskujące blachy, oczy pod kością... To przyjaciele! Spokojni i dobrzy. .. jedyni... Dobrze, że jest ich coraz więcej... Wyciągnę ręce i podniosą mnie...

Fagnir wyciągnął ręce.

Wojownicy Legionu Starożytnych spędzili już z oficjalistą sporo czasu i wiedzieli, czego się od nich żąda. Chwycili Pana za ręce i postawili na nogi. Pan klasnął w dłonie - podszedł do niego Starożytny zaszczycony niesieniem dzban. Pan podniósł rękę do Hełmu i zdjął go z głowy - wojownicy z szacunkiem skłonili głowy. Pan stuknął Hełmem o dzban - strumień wina chlusnął z wąskiej szyjki do podsuniętego naczynia.

- Przy... przyjaciele! - zawołał ile tchu Fagnir i zamoczył usta w winie. Wsypał w siebie boski napój, dopóki się nie zmęczył. Po-

-149-

tem przechylił głowę razem z Hełmem - na twarz, ramiona i pierś chlusnęły aromatyczne strumienie. - Chcę wypić zhas... hss... s... Has... ydem - Fagnir wysunął język, łowiąc krople, ściekające z założonego na właściwe miejsce Hełmu. Pojmał jedną i powrócił do myśli, która przed chwilą zaświtała mu w głowie. - Naprzzz... Naprzód, do pała... cu... Do Haszyda! Pić... On i ja... Do dna...

Świat huśtał się, jak wiszący nad przepaścią most. Dobrze, że ma obok przyjaciół. Podsuwają brzuchy, pozwalają chwytać się za włosy, za trąby... trąby...

„Indory! - przeraził się Fagnir. - Moi przyjaciele to indory?!”.

Nie zdążył się przestraszyć jak należy, bo zza białej plamy na przodzie wychylił się Haszyd.

- Haaasyd! - zawył radośnie oficjalista.

Jeden z ludzi Fendiego bardzo usilnie, ale bez powodzenia szukający zbiegłego gladiatora, w porę zauważył demony i to, co robią z ludźmi. Najpierw rzucił się biegiem w stronę „Spętanej Wszy”, ale potem już tylko po prostu uciekał przed wylażącymi zewsząd potworami z siekierami.

Biegł, gdzie go nogi poniosą. Wychylił się zza rogu jakiegoś domu i zobaczył dziwną kompanię: w jego stronę szła i już była jakieś dwadzieścia kroków od niego horda demonów, na której czele szedł pijany jak bela człowiek, wyglądający na kupieckiego sługę. Potwory tak troskliwie podtrzymywały go pod ręce, towarzyszyły mu z takim szacunkiem, jakby był przywódcą ich szajki. Mętny, rozbiegany wzrok wodza demonów nagle spoczął na wysłanniku Fendiego, który nie zdążył schować się za rogiem. Przepita twarz zajaśniała radością.

- Haaasyd! - krzyknął dowódca potworów, gapiąc się na niego i wyciągając do niego rękę.

Człowiek Fendiego oszołomiony i przerażony rzucił się do ucieczki. Byle gdzie, żeby tylko jak najdalej stąd.

Kluczył jak zając. Gdy tylko zobaczył odbłask brązowych siekier i hełmów, rzucał się w bok, nie patrząc gdzie biegnie.

Wysokie ogrodzenia nie stanowiły problemu. Szerokie strumienie i doły przeskakiwał jednym susem. Ale wszędzie byli tamci. Złodziejaszek zupełnie zapomniał o swoim zadaniu, o jakimś tam barbarzyńcy, nie wiedział, w jakiej dzielnicy jest teraz, nie miał pojęcia, co robić dalej. Żeby chociaż mógł chwilę odpocząć...

-150-

Chyba w końcu był sam. Oparł się o wysoki mur, ocierając pot i uspokajając oddech. Zaraz zbierze myśli i...

Kamienne ogrodzenie rozsypało się jak pod uderzeniem potężnego, przeznaczonego do rozwalania murów twierdzy tarana. Jeden z kamieni rozbił głowę poddanemu Fendiego. Ten upadł nieprzytomny, ale żywy. Na jego piersi stanęła ogromna szponiasta łapa, łamiąc mu kości, zgniatając wnętrzności, wyduszając z niego życie.

Amin, były strażnik martwego szacha Dżumala, nie zauważył, że kogoś rozgniół. Rozwalił ogrodzenie nie po to, żeby pozbawić życia jakąś żalosną istotę - to była tylko stojąca mu na drodze przeszkoda. Ludzie go nie interesowali. Nie patrzył na nich, tylko łamał, deptał, kruszył. Przecierał sobie drogę i szukał. Potrzebny mu był człowiek, który go zabił. Amin pozna go po zapachu, oddechu, bez względu na ubranie, po chrzęście żwiru pod jego butami. Znajdzie go i wypije jego krew.

Coś szukało Amina, Coś, co było mu potrzebne, bez czego było mu źle. Amin czuł, że to jest tuż obok. Niedługo się spotkają. Już niedługo.

Człowieka, który go zabił, nigdzie nie było. Ani pod dachami pudełek, w których żyli ludzie i które Amin rozdeptywał, ani na zalanych światłem pożarów ulicach, ani tam, gdzie można się ukryć w ciemności, którą Amin rozpraszał swoją pochodnią: trzymał w ręku wyrwane z korzeniami płonące drzewo. I żeby było widniej, zapalał od niego inne pochodnie. Niech płoną te wszystkie przeszkody. Im mniej przeszkód, tym szybciej znajdzie człowieka, który go zabił. I wypije jego krew.



Amin szedł ulicą. Ale na razie widział tylko swoich. Ich można było nie ruszać - nie przeszkadzali. Podszedł do nowego muru - żeby go zburzyć i zobaczyć, czy nie ma za nim tego, kogo krwi łaknął. Nagle zatrzymał się. Poczuł. Zobaczył. Zrozumiał. Wreszcie. Znaleźli się.

Amin zaryczał.

Minolia znalazła swojego brata Vellacha. Szukając ratunku przed koszmarem, który pochłaniał miasto, miotła się od muru do muru, od domu do domu, z zaułków na ulice. Wszędzie były przelewające

-151-

krwawą potwory w hełmach podobnych do zaginionego Hełmu. Płomień pożarów oświetlał nocny Vagaran.

W jego niepewnym pomarańczowym świetle majaczą sylwetki miotających się panice ludzi, pojawiają się i znowu znikają w ciemnościach złowieszcze, milczące postacie ohydnych istot, rodem z nocnego koszmaru, wymachujących brązowymi siekierami, potrząsających drewnianymi tarczami, zabijających każdego, kogo spotkają na swojej drodze...

Minolia weszła przez furtkę w ogrodzeniu jednego z domów. Zobaczyła na werandzie skuloną postać brata. Wewnątrz domu szalał pożar. Minolia chwyciła brata pod pachy i odciągnęła od ognia, na ulicę. Czerwone języki wysuwały się z okien, lubieżnie oblizując ściany skazanego domu.

Jeszcze nigdy Minolia niczego nie dźwigała, nigdy nie miała do czynienia z pracą fizyczną. Dlatego z wysiłku kręciło się jej w głowie, miała uczucie, jakby w dole brzucha coś się miało zaraz oberwać. Zaciśnęła zęby. Wyciągnęła brata przez furtkę na ulicę i oparła o ścianę. Usiadła obok Vellacha, przez chwilę ciężko oddychała, potem nachyliła się nad bratem.

Mordercy z siekierami mieli charakterystyczny sposób zabijania-przynajmniej sadząc po tych trupach, które widziała Minolia. Swoim ofiarom albo odrąbali głowy, albo rozpruwali brzuchy. Jej rodzonemu bratu próbowali rozpruć brzuch. Najwidoczniej półksiężyc siekiery tylko go musnął. Albo Vellach się odchylił, albo coś odwróciło uwagę potwora. Vellach żył, ale stracił przytomność. Nie było jednak wątpliwości - nie przeżyje. Podarowano mu kroplę czasu i morze cierpienia. Minolia rozchyliła rozciętą odzież brata. Tego typu rany można tylko ścisnąć rękami, nie pozwalając wylać się wnętrzościom, i umrzeć.

Vellach uniósł powieki. Jego oczy strasznie zezowały, głowa miotła się na boki, jak u szmacianej lalki. Ale w końcu poznał dziewczynę i spróbował się uśmiechnąć.

- Siostra... - wychrypiał. Nagle z jego gardła wydobył się bulgoczący dźwięk i z kącika ust pociekła krew zmieszana ze śliną. -Siostra... Rozb... roz...

Mówił z trudem. Minolia objęła jego głowę rękami, przytuliła twarz do jego policzka i szeptała: „Ciszej... ciszej...”.

- Zakłęcie... Rozbite... Naczynie... nie... działa... Vellach zachłysnął się krwią.

- Uciekaj stąd... Zapomnij oHe... Hełmie... Uciekaj... Staro... Starożytni wrócili...

-152-

- To są Starożytni? - oczy Minolii otworzyły się szeroko ze zdumienia.

- Taak... nas... okłama...

I nagle głośny, straszny krzyk:

- Uciekaj stąd!

Vellach krzyknął, czując nadchodzącą agonię i wkładając w ten krzyk ostatek sił, resztkę życia. Jeszcze krzyczał, gdy jego ciało zwinęło się przedśmiertnych drgawkach.

A potem umarł.

Minolia płakała, przyciskając głowę brata do swojej piersi.

Nagle ogrodzenie jakby wybuchło, na wszystkie strony poleciały kamienie. Z wyłomu, z pyłu wyszło na ulicę coś, co było straszniejsze niż wszystkie koszmary widziane dotąd przez Minolię.

Trzy razy wyższy od człowieka, z głazami mięśni przelewającymi się pod skórą, z ogromnymi, ciężkimi jak granitowe płyty dłońmi... gdzieś w górze tonie w ramionach malutka główka, z

wyszczерzoną paszczęką. Minolia miała wrażenie, że w tym potworze było coś znajomego. Nie odrywała wzroku od demonicznej istoty i zamiast uciekać, z szaleńczym uporem starała się przypomnieć sobie, dlaczego potwór wydaje jej się znajomy.

Monstrum, pozostawiając za sobą rozgniecione ciało jakiegoś człowieka, szło w stronę Minolii. Dziewczyna powinna się ratować, ale nie ruszała się, tuliła głowę brata do swojej piersi i patrzyła na demona. Nie miała już siły uciekać, ale nie czuła strachu przed śmiercią. Czy umrze trochę wcześniej, czy trochę później, czy zabije ją ten demon, czy inny - co za różnica...

Monstrum doszło już do połowy ulicy.

I nagle zastygło.

Z pobliskiego rynsztoku płynął ku niemu czarny cienki strumyczek. Czarna (nie wiedzieć czemu Minolia pomimo ciemności była tego pewna) gęsta ciecz podpłynęła do szponiastej stopy potwora i popęzła w górę po jego nodze. Ciemny strumyczek dotarł do brzucha, do pępka i wpił się w niego. Tak, wpił się, Minolia była pewna, że się nie pomyliła. A po chwili demon zaryczał triumfalnie, jak zwierz z Mrocznych Lasów Tamtego Świata, któremu dogodzono. Zaryczał tak, że żaden człowiek nie był w stanie tego wytrzymać. Można było albo stracić rozum, albo rzucić się do ucieczki na złamanie karku.

Minolia uciekła. Obejrzała się dopiero na końcu ulicy. I zobaczyła, co dzieje się z demonem. Ciało potwora przypominało wil-

-153-

gotną glinę, zmieszaną rękami niewidzialnego garncarza, sączyły się z niego czarne krople, topiło się...

Dziewczyna rzuciła się do ucieczki, nie wiedząc dokąd, nie wiedząc przed czym.

Amin znalazł i jego znaleziono. Czuł upajające Połączenia, dające siłę, nie mającą sobie równych, siłę, której nie można pokonać. On, Amin, będzie rósł aż do nieba, rozdepcze ziemię, stanie się Wielką Nicością. I zabije człowieka, który go zabił.

Minolia upadła, zmęczone nogi zawiodły ją. Dziewczyna leżała, niemal dotykając kamiennego postumentu, na który codziennie wchodził inny kapłan ze Świątyni Isztar i do wieczora stał tam z kubkiem na jałmużnę.

Dopóki Minolia biegła, chciało jej się walczyć o życie. Ale gdy tylko upadła, fizyczne i psychiczne siły opuściły ją.

Dlatego gdy z ciemności wyszły trzy złowieszcze, oświetlone blaskiem pożarów i światłem księżycy postacie z siekierami w łapach, pomyślała tylko, że być może śmierć w takim miejscu zostanie przyjęta jako ofiara dla Isztar. Dwa potwory zastygły w pewnym oddaleniu, trzeci szedł w stronę Minolii.

„Jego ostatnie kroki - moje ostatnie chwile - przemknęło na krańcach jej świadomości. - To właśnie są Starożytni... To są ci, na których czekaliśmy dwieście pięćdziesiąt lat. Kaci. Wszystko na próżno. Całe życie na darmo. Umarł mój Vellach, teraz moja kolej...”.

Na dwa kroki przed ofiarą, siekiera została wzniesiona do uderzenia. Pozostawało tylko opuścić ją na drobną szyjkę. I dziewczyna pokornie pochyliła głowę, żeby karu wygodniej było zadać cios. Wielkimi bezgłośnymi krokami gdzieś zza postumentu wyskoczył i rzucił się na potwora rosły mężczyzna ze wzniesionym nad głową mieczem, trzymanym obiema rękami. Starożytny spostrzegł niebezpieczeństwo i zwrócił się ku niemu twarzą, ustawiając swoją siekierę tak, żeby zablokować opadający miecz.

Potwór wystawił przed siebie siekierę, żeby osłonić się przed uderzeniem z góry. Ale zamach był fałszywy i mężczyzna wyhamował opadające ostrze, błyskawicznie zmienił ustawienie nóg i ramion i zadał cios, wbijając klingę dokładnie pod kościaną narośl na czole.

Starożytny wojownik runął jak podcięty.

- Miałem rację! - zawołał człowiek, zapewne zwracając się bezpośrednio do nocy. - Nosaci mają słabe miejsce pod tym guzem na czole!

-154-

Minolia poznała go: to był gladiator, który zabił Turańczyka na arenie.

A gladiator spojrział na Minolię, mrugnął do niej i ruszył na dwóch następnych Starożytnych, którzy teraz szli w jego stronę. Gdy zbliżył się do nich na odległość pozwalającą na walkę wręcz, za plecami Starożytnych wojowników pojawiła się jeszcze jedna ludzka postać - kobieta z szablą. Uderzyli jednocześnie na tego samego przeciwnika - mężczyzna i kobieta, mieczem i szablą, w pierś i plecy. Giętka szabla wygięła się, napotykając grubą, twardą skórę, ale metal zwyciężył i kho-rajska szabla zatopiła się w ciele przybysza. Dwukrotnie trafiony Starożytny zachwiał się i wypuścił brązowy półksiężyc.

A mężczyzna i kobieta (ją Minolia również poznała - wojowniczką z areny, która pokonała kozaka) od razu zwrócili się do trzeciego przeciwnika i zaatakowali go tak samo jak pierwszego, z obu stron. I znowu zwyciężyli.

- Widzisz, padł na ziemię - powiedziała głośno kobieta. - Taka taktyka jest na nich najlepsza.

- Taka co? Zresztą, nieważne. Nie podoba mi się to - mężczyzna trącił nogą leżących wojowników, upewniając się, że nie żyją. - Nie lubię atakować od tyłu.

Najwidoczniej kontynuowali jakiś przerwany spór.

- To nieludzie! - gorączkowała się kobieta. - I do nich zasady honoru nie mają zastosowania! Za to celnym ciosem pomiędzy kręgi szyjne zabijasz ich od razu, na amen...

Kłócili się, tak jakby wokół nich nie płonęły domy, jakby nie majaczyły w oddali okrutne potwory.

- Dziękuję! Uratowaliście mnie! - Minolia wstała i niepewnym krokiem szła w stronę ludzi, którzy uratowali jej życie. Siły zaczęły jej wracać, gdy zobaczyła pokonanych Starożytnych i usłyszała ludzką mowę... Jakby wypięła czarę ożywiającego balsamu z wyjątkowo silnych ziół.

Gladiator zwrócił na nią uwagę.

- Nie ma za co, dziewczyno. Widziałas czarne kałuże?

- Nie - odpowiedziała Minolia... i w tym samym momencie przypomniała sobie czarny strumyczek, zlewający się z demonem. „Czy nie o tym mówi?”

- Jakieś draństwo wycieka zewsząd. Przypomina smołę - wyjaśnił mężczyzna. - Omijaj ją, w żadnym razie nie wchodź. Widzieliśmy, co się dzieje z ludźmi, którzy w nią wpadali...

-155-

Minolia już była obok barbarzyńcy i jego towarzyszki. Kobieta--wojownik spojrzała na swojego barczystego towarzysza z dołu do góry („A może więcej niż towarzysza?” - pomyślała Minolia zupełnie nie na miejscu) i kpiąco zapytała:

- Wszystkie kobiety w mieście będziemy ratować?

Conan nie zdążył nic odpowiedzieć. W głowie dziewczynki wybuchła błyskawica myśli i Minolia nagle przypomniała sobie, że właśnie na poszukiwanie tego człowieka Orlandar wysłał cały zakon. Co za szczęście! Ale na głowie barbarzyńcy nie było żadnego Hełmu...

- Hełm! - krzyknęła tak niespodziewanie i głośno, że jej nowi znajomi drgnęli. - Gdzie jest Hełm, wojowniku, który pokonał Tu-rańczyka? Wziąłeś go ze sobą!

Cymmerianin spojrział na uratowaną dziewczynę z litością, a potem odwrócił się do Amazonki:

- Idziemy, marnujemy tu tylko czas. Musimy jeszcze dotrzeć do murów...

- Najwyższa pora - parsknęła Amazonka.

I Minolia zobaczyła plecy swoich wybawców.

- Stójcie! Zatrzymajcie się! Hełm! On daje władzę nad Starożytnymi! - krzyczała zrozpaczona dziewczyna, biegnąc za gladiatorami, odchodzącymi w ciemność nocy w pośpiechu, lecz bez paniki. - Wy niczego nie wiecie!

Conan nie zatrzymując się, odwrócił głowę i z niejakim zainteresowaniem zapytał:

- Nad kim daje władzę?

- Nad Starożytnymi! No, nad tymi z trąbami... Myśleliśmy, że oni są dobrzy, a oni są źli, zabijają ludzi! A Hełm może zmusić ich do posłuszeństwa! Dlatego Orlandar wysłał nas, żebyśmy cię szukali...

- Jasne - przerwał Conan ten potok słów. Biedna dziewczyna, zupełnie zwariowała ze strachu. - Najkrótszą drogę do murów znasz?

- Znam - skłamała szybko Minolia - bała się, że zostawiają samą. W rzeczywistości nie wiedziała nawet, gdzie są teraz.

- To pokaż. A po drodze opowiesz nam o tym Hełmie. Amazonka nie odezwała się, ale dość jednoznacznie parsknęła.

Ale czy mężczyźni warci są słów?

Cymmerianin groźnie przypomniał dziewczynie:

- Patrz pod nogi i uważaj na smołę! I na inne rzeczy też...

-156-

„Spętana Wesz” była pusta jak nigdy. Fendi samotnie siedział za stołem, przed nim stał nietknięty kubek z winem i talerz z zimnym mięsem. Myślał w napięciu. O czym? - nie urodził się jeszcze na świecie taki człowiek, któremu pozwolono by poznać jego myśli. Nagle otworzyły się drzwi. Gwałtownie. Ale nóż był szybszy. Zamigotał jak srebrzysta rybka i wbił się na poziomie piersi wchodzącego. Żaden z psów Fendiego nie śmiałyby tak szarpać drzwiami, a więc obcy. Obcym śmierć. Jeśliby między powstaniem myśli a wprowadzeniem jej w czyn była choćby chwila pauzy, Fendi nie zająłby i nie utrzymał tronu vagarańskich złodziei. Ataman odwrócił się, słysząc skrzypienie i jednocześnie rzucił nożem, który nie wiadomo skąd pojawił się w jego ręku. Z uczuciem zdziwienia Fendi pożegnał się dawno i na zawsze. Od dzieciństwa rzucało go po świecie, był w najokrutniej szych sytuacjach i widział przeróżne rzeczy. Także wszelkiego rodzaju czary i najdziwniejsze potwory.

Monstrum, które otworzyło drzwi, władowało się do środka, trzymając przed sobą tarczę z wbitym w nią nożem. Przerażający wygląd syna piekieł i nieudany rzut nożem nie wywołał u Fendiego niczego poza pragnieniem działania. Gdy obcy zrobił krok po brudnej podłodze karczmy, niewysoki, ruchliwy Shemita pokonał dzielącą ich odległość i wąskie, żyłaste dłonie króla złodziei wyjęły spod czerwonej koszuli dwa sztylety. Stało się to tak szybko, że potwór chyba nie zrozumiał, gdzie podział się człowiek, którego dopiero co widział.

Ale dwa -jeden po drugim - ciosy w plecy odpowiedziały mu gdzie. Ozdobiona kościanym guzem głowa zaczęła kręcić się w poszukiwaniu bezczelnej ofiary, siekiera została podniesiona przez włochate łapy do zadania śmiertelnego ciosu. Wtedy prawą stopę potwora użądliły dwa cienkie ostrza.

Tak jak zabija się moskity - nie patrząc, klepiąc się po tym miejscu, gdzie czuje się obecność obcego ciała i ukłucie, tak właśnie potwór machnął siekierą, kierując półksiężyc tam, gdzie powinien znajdować się bezczelny człowiek.

Gdyby Fendi umiał się śmiać, to teraz na pewno pozwoliłby sobie na taką przyjemność, patrząc, jak potwór przecina swoim toporem powietrze, obraca się i gapi na to miejsce, gdzie w jego, potwora, rozumieniu powinien walać się przecięty na pół trup. Przerażające straszdyło zastanawia się, gdzie śmiał podziąć się ten owad z niepoważnymi nożykami i jak mu się udało uciec. A Fendi stał za włocha-

-157-

tymi plecami potwora, prawie się o nie opierając. Nie spiesząc się, wybierał punkty, w które uderzy za chwilę. Człowiek widział jasno koniec pojedynku.

Potwór nie miał szans. Był zbyt nieruchawy. Z tymi, którzy ustępowali Fendiemu pod względem szybkości reakcji i ciosów, szybki, zręczny, gibki Shemita rozprawiał się bez skrpułów, nie dając przeciwnikowi żadnej szansy przeżycia. Ci, którzy mu pod tymi względami nie ustępowali, musieli popełnić inny błąd - skoro Fendi do tej pory żył i cieszył się dobrym zdrowiem. I nikt - ani w Vagaranie, ani nigdzie indziej nie ma prawa uważać się za najlepszego wojownika, dopóki oddycha tym samym powietrzem, co Fendi. A jeśli ktoś zacznie mieć o sobie zbyt wysokie mniemanie, to musi spróbować szczęścia i albo umrzeć, albo zabić Fendiego. W Vagaranie już od dawna takich nie ma...

Pozostali jednak przyjezdni. Na przykład ten wychwalany bar-barzyńca-gladiator, który jak mówią, nie ma sobie równych i który zapewne też tak sądzi. Ale to nic: wkrótce się wyjaśni, kto umie lepiej zabijać. Już niedługo się spotkają.

Ale najpierw ta jaszczurka z toporem. Mimo twardej jak skorupa starego orzecha skóry, Fendi podziurawi ją sztyletami, wykluje oczy. Straszdyło zamieni się w ślepe rzeszoto, i jeśli nawet jest z samego Świata Demonów, tam właśnie powróci. A on wyjdzie z tego bez jednego zadrapania.

Prawie tak właśnie się stało.

Fendi zadał jeszcze trzy ciosy nożami - w bok, plecy i włochatą nogę bestii - i zupełnie nieoczekiwanie dla potwora znalazł się przed nim i podskoczył.

Zimny błysk metalu - to była ostatnia rzecz, jaką zobaczył Starożytny. Rozpalone pręty wbiły się w jego oczy i świat zgasł. Potwór po raz pierwszy w życiu wydał ochryply, wściekły ryk, zakręcił się, rąbiąc siekierą wszystko, co było za blisko. Z wyklutych oczu sączyła się żółta mętna maź.

Fendi odskoczył na bezpieczną odległość i wybrał miejsce do kolejnego, ostatniego już ciosu, gdy kątem oka zauważył ruch w drzwiach.

Odwrócił się, stało tam jeszcze jedno straszdyło, a za nim błyszczał hełm trzeciego.

Decyzja została podjęta błyskawicznie. No cóż, pierwszy potwór miał szczęście. Ci, którzy teraz przybyli, również. Król złodziei zupełnie nie był ciekaw, co to za potwory i skąd się wzięły w jego -158-

rezydencji, najważniejsze, że wrogów było dużo. „Rzucać się do walki z przeważającymi siłami przeciwnika - to głupota, a nie odwaga” -tak brzmiała jego dewiza i dlatego postanowił uciec ze „Spętanej wszy”, wybierając do przymusowej i nie hańbiącej ucieczki najpewniejszą drogę.

Z sali jadalnej do kuchni. Z kuchni - do przybudówki, gdzie dzielono tusze. Wszystkie drzwi za sobą zamykał na zasuwę. W przybudówce Shemita odsunął stół, otworzył klapę tajnego luku i skoczył do podziemnego przejścia, łączącego karczmę z oddaloną o pięćdziesiąt kroków stajnią. Tunel wykopano w celu ucieczki przed obławami, które co jakiś czas organizowała straż miejska, ale korzystano z niego rzadko - różnice zdań załatwiano zazwyczaj pokojowo, jak to między swojakami.

„Woda. Żaden nie pilnuje. Łotry. Już ja im dam”. Fendi zrobił dwa kroki w wodzie, która sięgała mu do kostek i przy trzecim poczuł, że nie może wyciągnąć nogi.

Shemitę zawsze ratowała z opresji sprawdzająca się zasada: „poczujesz niebezpieczeństwo - błyskawicznie zareaguj”. Ataman podskoczył, uwolnił nogi z safianowych butów i wparł się rękami i nogami w ściany wąskiego przełazu. Nie wiedział dlaczego, ale czuł -jeśli dotknie tego, w czym ugrzęzły jego buty, zginie.

Pokonanie drogi do stajni po ścianach przełazu było zajęciem bardziej niebezpiecznym i wyczerpującym niż powrót i opuszczenie karczmy przez dach na linie. Przed jaszczurami z toporami uda mu się uciec, ile by ich tam było. A poza tym: po co potwory miałyby wlaźić na dach?

I Fendi jak mucha na ścianie ruszył z powrotem.

Oto i luk. Uniósł głową klapę, wsunął pod nią prawą rękę, chwycił za brzeg. Lewą otworzył luk, potem wczepił się palcami w deski obok prawej dłoni. Zaczął wciągać ciało na górę.

Jak oni zdążyli - tacy powolni, nieruchawi, przecież nie powinni byli zdążyć!...

Ale nad głową załśnił półksiężyc i odrąbane dłonie zsunęły się do podziemnego przejścia. Rozległ się głośny plusk, gdy ciało ata-mana zetknęło się z grząską galaretą.

Czarna, lepka, gęsta jak miód substancja wydała dźwięk podobny do cichego, zadowolonego burczenia, gdy uwiązał w niej człowiek z pokaleczonymi rękami. Fendi jeszcze próbował uwolnić ciało z grząskich objęć, ale z każdym konwulsyjnym ruchem czuł się coraz mniej wolny i wkrótce znalazł się w pełnej władzy czarnej mazi.

-159-

Mucha wpadła do miodu... Jednocześnie w nozdrza Fendi uderzył mdlący smród i jego ciało przejął chłód - albo coś podobnego do chłodu, wgryzającego się w każdy por ciała, wdzierającego

się do żył, miazdżącego mózg lodowatym imadłem. Ostatnim odczuwanym w tym życiu przez Shemitę uczuciem była irytacja. Że nie udowodnił zarozumiałemu gladiatorowi, kto z nich jest najlepszym wojownikiem na świecie.

A potem przyszedł Ból, który zaćmił wszystko. Huczał w ciele człowieka, dopóki życie wysącało się z niego po kropli, dopóki miękkie kości, pękała skóra, uwalniając krew, rozpląwał się mózg w czaszce. Dopóki człowiek nie stał się tym, co go wchłonęło - grząską, śmierdzącą ciecżą.

- Stój! - nieoczekiwanie zawołał Aj-Berek. - Tutaj! Zasapany Orlandar zastygł obok swojego towarzysza.

- Co... tutaj? - wydusił z siebie.

- Conan. Gdzieś blisko. Czuję go. Albo jest w tym domu, albo w następnym... Albo gdzieś pod naszymi nogami. Znaleźliśmy go, Mistrzu.

Starcy byli w jednej z dzielnic, w której żyli biedacy - niemal przy samych murach miejskich. Na nieudanych poszukiwaniach zbiegłego gladiatora upłynęła im większa część nocy, wkrótce powinien wstać świt... ostatni świt człowieka. Ale ciągle było tak samo ciemno, tylko płomienie pożarów oświetlały ulice, już niemal całkowicie pokryte czarną, ruchliwą galaretą, wchłaniającą ludzi, konie, wielbłądy, kundle i nawet Starożytnych.

- Czarowniku, patrz! - krzyknął nagle Orlandar, pokazując przekrzywiony, wyblakły szyld na ścianie przed wejściem do pobliskiego budynku bez okien, z jedynymi mocnymi dębowymi drzwiami. Aj-Berek podniósł głowę i zdumiony zamarł z otwartymi ustami.

„Tanio, do syta i do zamroczenia!” - było napisane na samym dole szyldu. „Chłodne wino i gorące zakąski!” - głosiły nieco większe litery trochę wyżej. „Pijalnia starca Kafara!” - oznajmiał najwyżej umieszczony największy napis.

A na samej górze wypisana była ogromnymi krzywymi literami nazwa knajpy: „Brazowy Hełm”.

- Jakże to... - wyszeptał wstrząśnięty Orlandar, opierając się o ramię maga. Przy każdym wydechu powietrze z chrypieniem wydostawało się z jego wyschniętego gardła.

-160-

Aj-Berek otrząsnął się ze zdziwienia i wzruszył ramionami.

- Nie wiem, Mistrzu. Możliwe, że to przypadek. Możliwe też, że to znak losu. Albo przejaw zamysłu bogów. Albo... Nie wiem. Jestem za to pewien, że napewno musimy tu wejść. Taak, bez wątpienia. Chodźmy.

Podszedł do drzwi i spróbował je otworzyć. Zamknięte. Pchnął ramieniem. Drzwi nie ustępowały. Ale Aj-Berek wyraźnie słyszał dobiegający zza nich szmer.

- Conan! - krzyknął i jego głos załamał się ze wzruszenia. - Conan, otwórz! Jesteśmy przyjaciółmi! Wiemy, że tam jesteś! Możemy pomóc! Otwórz, Conanie, barbarzyńco z Cymmerii! Niepokonany gladiatorze, który nigdy nie stał się pokornym niewolnikiem!

Szmer stał się wyraźniejszy, jakby spod drzwi odsuwano jakieś ciężkie przedmioty. I drzwi otworzyły się. Przed magiem i Mistrzem stał z obnażonym mieczem, gotowy do walki z każdym, ten, którego szukali przez całą koszmarną, niekończącą się noc.

- Mistrz Orlandar! - rozległ się w głębi ciemnego pomieszczenia znajomy radosny głos.

- Minolia? - zdziwił się Mistrz, który nigdy by się jej tu nie spodziewał, a już zwłaszcza w towarzystwie zbiegłego gladiatora.

- Chwała Bogini, w tej dziurze sajeszczce jacyś żywi ludzie... - rozległ się inny głos - kobiecy, ochryply, bardzo zmęczony.

- Conan - wyszeptał z ulgą Aj-Berek i poczuł, jak ogromny ciężar spada z jego ramion.

- Czarownik! - zaryczał niepokonany gladiator, wciągnął zaskoczonego takim obrotem wydarzeń Aj-Bereka do „Brazowego Hełmu” i przystawił mu ostrze do gardła. - Na Croma, nareszcie cię mam!

XXI

Czarna masa powoli, stopniowo rozpląwała się po mieście, wchłaniając wszystko, co napotkała na swojej drodze - od rezydencji Haszyda, przez dzielnice wielmożów, kupców i bogatych lichwiarzy,

płynąc w kierunku siedzib biedniejszych handlarzy i rzemieślników, domów prostytutek i złodziei, i dalej, do chałup biedaków i pijaków, dalej, do nor żebraczek i włóczęgów, aż do miejskich murów. Wchłonięte przez czarną galarete rozplywały się pałace i minarety, tajały domy i baraki, znikwały magazyny i sklepy, przepadały

11 - Conan i prorok ciemności

-161-

bez śladu warsztaty i tawerny... Masa nie pozostawiała po sobie nic - tylko bulgoczące, kołyszące się morze absolutnej czerni.

W przestronnej, ale brzydkiej knajpie „Brazowy Hełm” panował półmrok i bałagan. Ciężkie drewniane stoły były przewracane, ławy porzrucane po kątach, kontuar rozrąbany na pół czymś potężnym ciosem miecza albo siekiery. Podłoga usłana była skorupami naczyń, kawałkami pieczonej baraniny... i poodrąbywanymi częściami ludzkich ciał. Ale wydarzenia tej nocy, które widzieli i w których uczestniczyli schowani w knajpie ludzie, były tak koszarne i wstrętne, że już nikt nie zwracał uwagi na to, że krew zmieszała się z wylanym winem, ludzkie szczątki walają się razem z kawałkami talerzy i resztkami zakąsek... Było to makabryczne miejsc, ale bezpieczniejsze niż ulice oszalałego miasta. Drzwi znowu zastawiono długimi ciężkimi ławami i dębowymi stołami.

Amazonka siedziała na wysokim taborecie, ponuro zamyślona spoglądała na swojego towarzysza i przyciskała do boku zakrwawioną opaskę- została ranna w jednym ze starc ze Starożytnymi. Wtedy Conan postanowił, że pora odpocząć i przeczekać w jakimś ciemnym kącie i zaciągnął kobiety do pierwszego napotkanego budynku. Wnętrze budynku świadczyło, że Starożytni już tu byli i na początek barbarzyńca musiał zawlec do piwniczki najbardziej okaleczone ciała, żeby wrażliwa Minolia nie zemdląca. Potem zabarykadował drzwi i dopiero wtedy zajął się raną Amazonki.

Minolia stała teraz w kącie i rozszerzonymi strachem oczami patrzyła na Conana. Na Cymmerianina patrzył również Mistrz Or-landar - błagalnym gestem przyciskając ręce do piersi. Na jego twarzy malował się wyraz bezsilności.

Tymczasem Cymmerianin wznosił się pośrodku sali jak ogromna góra. W lewej ręce trzymał mocno włosy Aj-Bereka, w prawej ścisnął rękojeść swojego miecza, przystawionego do gardła czarownika i złowieszczo lśniącego w świetle oliwnej lampy.

- Conan, coś ty... - pisnęła Minolia.

- Cicho, kobieto! - wrzasnął barbarzyńca nie odwracając głowy, a potem nachylił się nad twarzą maga. - Od razu cię poznałem, ohydny czarowniku! Tam, na grzbiecie Zawodzącego Wąwozu, to ty rzuciłeś na mnie czar, prawda? Odpowiadaj!

I mocno pchnął starca.

Aj-Berek głośno przełknął ślinę, ale gdy z jego ust spłynęła odpowiedź, głos był spokojny, a spojrzenie spod przymkniętych powiek-obojętne.

-162-

- Tak - odpowiedział czarownik. - To ja, broniąc swojego władcy, satrapy Haszyda, powstrzymałem cię zaklęciem... Ty walczysz po swojemu, a ja po swojemu... Oczywiście, możemy porównać nasze metody i zastanowić się, które są bardziej sprawiedliwe...

Barbarzyńca jeszcze raz potrząsnął staruszką, tym razem silniej, tak że zęby zadzwoniły o zęby. Oczy barbarzyńcy ciskały błyskawice, knykcie palców, zaciśniętych na rękojeści miecza, zbieleły. Potwornym wysiłkiem woli Conan powstrzymywał się, żeby nie podciąć gardła podłemu czarownikowi, tu, od razu, bez dyskusji.

- Ty mówisz mi o sprawiedliwości! Ty! - zaryczał Conan.

- Wielce szanowny wojowniku - wtrącił się nieśmiało Orlan-dar, robiąc krok w stronę Cymmerianina. - Przyszliśmy tu nie po to, żeby... Uwierz mi, teraz nie czas, by...

- Cofnij się, starcze! - krzyknął Conan na chwilę odsuwając miecz od szyi czarownika i wymierzając go w Mistrza. - Cofnij się, jeśli nie chcesz być następny! - Conan głośno odetchnął. Dusila go wściekłość, wściekłość i radość, że już za chwilę będzie mógł zemścić się za wszystko,

co przyszło mu wycierpieć w tej mieścinie. Znowu zwrócił się do Aj-Bereka, znowu przystawił miecz do jego gardła: - Ty, wstrętny czarnoksiężnik, miłośnik demonów i pożeracz padliny, ty śmiesz się ze mną równać? Ja jestem wojownikiem, walczę uczciwie, otwarcie, twarzą w twarz z wrogiem i nie korzystam przy tym z tego całego magicznego gówna!

- Spełniałem tylko rozkaz swojego władcy: chronić go przed niebezpieczeństwem - cicho i tak samo spokojnie, nie czyniąc najmniejszej próby uwolnienia się, odpowiedział Aj -Berek. - A ty - ty wykonywałeś rozkaz swojego pana: zabić satrapę Haszyda, napaść na Vagaran, splądrować go. Przynajmniej pod tym względem można nas sprawiedliwie porównać.

- Zgadza się, czarowniku - zasyczał Cymmerianin. - Zgadza się. Jestem najemnikiem, robię to, co każą mi inni i nie myślę. Rozkazą-zabiję, rozkazą - będę szturmować dowolne miasto... - Ale nigdy -słyszysz? Nigdy nie znęcam się nad pokonanym przeciwnikiem, nie bawię się z nim, jak kot z pojmaną myszą, nie zmuszam go, bezsilnego, żeby tańczył, jak mu zagram... W odróżnieniu od ciebie i twojego drańskiego satrapy. I dlatego ja postępuję bardziej sprawiedliwie.

- Wykonywałem rozkaz - tylko tyle zdołał wydusić Aj-Berek. Barbarzyńca uśmiechnął się krzywo.

- I to wszystko, co masz do powiedzenia? Wystarczy. Tygrys, który wyrwał się z klatki, napada na tego, kto go w niej zamknął

-163-

i wszystko mu jedno, czyj rozkaz wykonywał jego dręczyciel. To właśnie będzie sprawiedliwe.

Pomógł się do swojego czarnego boga, czarowniku - Conan z Cymmerii wziął zamach, żeby zadać ostatni cios. Orlandar przerażony zasłonił twarz rękami, Minolia bezsilnie gryzła pięść, w oczach miała łzy.

- Conanie, postępujesz jak ostatni mężczyzna- rozległ się zmęczony, pogardliwy głos.

- Co takiego?! - zachnął się barbarzyńca i odwrócił do Amazonki. Kobieta siedziała rozluźniona, przez cały czas przyciskając do rany zakrwawioną opaskę. Twarz wojowniczkki była blada, wargi wykrzywiały się w pogardliwym uśmiešku, ale wzrok miała twardy. Ze złością patrzyła Cymmerianinowi prosto w oczy.

- Jak ostatni mężczyzna - powtórzyła - który jest tylko dodatkiem do swojego członka. Jesteś zły, pragniesz zemsty i nawet nie próbujesz myśleć tym, co masz między uszami - na chwilę zamilkła, krzywiąc się z bólu.

- Przecież przez tego gada i jego pana ty też musiałas walczyć na arenie! -krzyknął Conan. -Tak samo jak ja mogłaś zginąć ku ich uciesze! Niemożliwe, żebyś nie chciała odplacić im tą samą monetą!

- Chcę, barbarzyńco. Ale najpierw zadałabym sobie kilka pytań. Ci ludzie szukali Conana- po co? Znaleźli go -jak? Przyszli do Conana sami, z własnej woli - dlaczego? Czarownik mógłby uspokoić Conana jednym ruchem palców - nie zrobił tego, z jakiego powodu? Powiedzieli, że mogą pomóc - w jaki sposób?... Nie wydaje cię się, mężczyzno, że najpierw warto by było poznać odpowiedzi na te i inne pytania, a dopiero potem dokonywać „sprawiedliwego” sądu? Zabić zawsze zdążysz..., ale jak będziesz rozgrzebywał to gówno, które pluska tam, na zewnątrz?

Zapanowała pełna napięcia cisza. Cymmerianin zastygł bez ruchu i intensywnie o czymś myślał. W końcu zaklął półgłosem i odepchnął od siebie Aj-Bereka.

Mag poleciał w kąć „Brązowego Hełmu”, tam, gdzie stała Minolia, potknął się, ale dziewczyna złapała go pod pachy i starzec ustał na nogach.

- Dobrze, czarowniku - wysapał Conan. - Wygrałeś. Podziękuj tej kobiecie - machnął mieczem w stronę Amazonki. - Jeśli rzeczywiście wiesz, co tu się dzieje, i wiesz, jak się z tego wyrwać -mów. I pamiętaj: jeśli usłyszę w twoich słowach choćby jedną fał-

-164-

szywą nutę, choćby aluzję, że znowu zaczynasz swoje magiczne sztuczki, umrzesz, zanim skończysz zdanie.

- Teraz śmierć jest wszędzie wokół nas - odpowiedział Aj-Be-rek. -Nie boję się jej. Ale na kartę postawiono więcej niż moje i twoje życie, barbarzyńco... Wysłuchaj mnie spokojnie i uważnie,



mam nadzieję, że mi uwierzysz... Mamy bardzo mało czasu, dlatego będę mówił krótko. Na długo przed pojawieniem się ludzi, na Ziemi panowała nieludzka rasa - nazywano ich Starożytnymi... Aj-Berek skończył swoją opowieść i zamilkł.

Conan siedział na taborecie, mocno zaciskając palce. Nikt nie uronił ani słowa; słychać było jak potrzaskuje knot w oliwnej lampie, a z zewnątrz dobiegały dziwne szeleszczące dźwięki. Minolia objęła Amazonkę, bezgłośnie oplakując załamanie się wszystkich jej nadziei i marzeń, Orlandar posępnie popijał z pękniętego kubka znalezione za kontuarem kwaśne wino.

- Wierzysz mu, kobieto, która nie chce nazwać swojego imienia? - zapytał w końcu ochryple Cymmerianin.

Amazonka skinęła głową.

- A ty, służąca Zakonowi Dnia Ostatniego? Minolia kiwnęła.

- A ty, Mistrzu Zakonu Dnia Ostatniego? Orlandar skinął.

Conan opuścił nisko głowę. Znowu zgęstniała cisza.

- Sprawiedliwość... - powiedział cicho barbarzyńca, nie zmieniając pozy. - Mój żywioł to wojna, a nie filozofowanie. Wiem, że białe to białe, a czarne to czarne..., a wszystkie odcienie przewyższają moje rozumienie - zamilkł na chwilę. - Czy postąpił sprawiedliwie Orlandar, pomagając powrócić mądrej, jak sądził, rasie, która w rzeczywistości okazała się bandą tępych zabójców?... Czy postąpiłeś sprawiedliwie ty, czarowniku, z rozkazu Haszy da trzymając mnie w okowach czaru po walce w Zawodzącym Wąwozie?... - podniósł głowę i ledwie słyszalnie zakończył: - Czy sprawiedliwie postąpiłem ja, zabijając Amina i tym samym pomagając Czarnym Mocom zapanować na Ziemi?... - w jego oczach zalśniła rozpacz. - Co powiecie, panowie mędrcy i magowie?

Aj-Berek i Orlandar milczeli przygnębieni.

- Wszyscy popełniliśmy błędy z niewiedzy - odezwała się nagle Minolia. - Winni jesteśmy wszyscy i... nikt. Co się stało, to się nie

-165-

odstanie. Ale jeśli możemy jeszcze poprawić sytuację, to trzeba postanowić, jak to zrobić. A sprawiedliwości szukać będziemy później.

- „Dwa razy zabić martwego” - powiedział w zadumie Conan.

- Sądysz czarowniku, że to o mnie?

- Tak, barbarzyńco.

- Sądysz, że Amin ożył?

- Tak, barbarzyńco.

- Sądysz, że powinienem zabić go po raz wtóry?

- Tak, barbarzyńco.

- Sądysz, że wtedy wszystko się skończy?

- Tak, barbarzyńco.

- Wiesz, jak go zabić?

- Nie, barbarzyńco. Cymmerianin zaśmiał się niewesoło.

- Nienawidzę czarowników, magów i innych czarnoksiężników! Najpierw nawarzą piwa, a potem każą ci je wypić...

- Amin rzeczywiście żyje - odezwała się nieśmiało Minolia. - Widziałam go. On, on się zmienił. I połączył się z tym czarnym paskudztwem, które zalało miasto.

Po krótkiej chwili Conan uderzył dłońmi w kolana i głośno powiedział:

- Cóż, skoro tylko ja mogę uratować świat, to, co robić, uratuję go... po raz kolejny. Mam tylko nadzieję, że, powiedzmy, za jakieś trzy, cztery tysiące lat ktoś wspomni moje imię... Czarowniku parszywy, wiesz ty chociaż, gdzie chowa się ten raz już zabity Amin?

- Nie, barbarzyńco.

- Oczywiście. Głupie pytanie. Skąd miałbyś wiedzieć... Na Croma, sam muszę wszystko zrobić!

- Zapomnieliście o Hełmie - wtrącił nieśmiało Orlandar. -Możliwe, że z jego pomocą udałoby się pokonać Amina...

- Nie mamy Hełmu i nie ma czasu, żeby go szukać. Trudno. Sami sobie poradzimy- Conan zerwał się, tak jakby w ogóle nie był zmęczony i wsunął miecz do pochwy. - Tak, moi sprawiedliwi przyjaciele. Teraz wychodzimy stąd i idziemy w stronę murów miejskich

- biegiem, żeby to czarne draństwo nas nie dogoniło. Jeśli ktoś zostanie z tyłu, nie będziemy na niego czekać - nie pora na to. Niech sobie sam radzi. Potem wchodzimy na mur i stamtąd patrzymy, co się dzieje. Gdzie jest nasz zmartwychwstały przyjaciel. A tam...

Nieoczekiwanie zamilkł, nasłuchując. Pozostali zamarli i również wyteżyli słuch. Ale wokół w dalszym ciągu panowała cisza.

-166-

Potem jednocześnie rozległy się dwa zgrzytające dźwięki: to Conan zazgrzytał zębami z irytacji i wyciągnął miecz z pochwy.

- Na tyły knajpy. Szybko. W razie czego uciekajcie przez kuchnię. No!...

Jego towarzysze w pośpiechu, nie rozumiejąc, co się dzieje, ruszyli w stronę ciemniejących za kontuarem drzwi do kuchni. A potem oni też usłyszeli: na zewnątrz, zupełnie blisko, rozległ się tupot nóg, jakby dziesięciu żołnierzy maszerowało po ulicach martwego miasta. Ludzie zamarli. Conan stał z mieczem w pogotowiu. Czuł, jak po jego twarzy płynie zimny pot, ale nie mógł go zetrzeć. Zamienił się cały w kłębek napiętych nerwów, gotów natychmiast stanąć do walki - nawet z Najwyższym Demonem, jeśli taki istnieje i odważy się przyjąć wyzwanie... Ale jak nie w porę, na Bela, jak nie w porę!

Kroki przybliżyły się... ucichły... ktoś kopnął w zastawione drzwi... nie poddają się... pchnął ramieniem... upadł... z trudem się podniósł...

I ze złością zasyczał, jękając się:

- I tutaj zamknięte! Darmozjady... w gardle mi zals... zachstł... Krótko mówiąc, chłopaki, wyważajcie.

W drzwi ktoś mocno uderzył i z tej strony, z której ukryli się zbiegowie, z powstałej w dębowych drzwiach szczeliny wysunęła się krawędź brązowej siekiery. Uderzono jeszcze raz, potem jeszcze i jeszcze... Szczelina w drzwiach była coraz szersza.

Minolia zacisnęła sobie usta obiema rękami, żeby nie krzyknąć z przerażenia, Amazonka wyciągnęła szablę, gotowa do walki na śmierć i życie, Aj-Berek wyszeptał kilka magicznych słów, wznosił ręce ku sufitowi, zdecydowany wykorzystać cały pozostały zapas magicznej siły do walki z okrutnym wrogiem, Orlandar trząsł się za ich plecami, a Conan...

A Conan bez sił osunął się na podłogę. Miecz wypadł z jego osłabłych palców i wszyscy zobaczyli, że jego ciałem targają konwulsje.

Jedne z zawiasów drzwi nie wytrzymały naporu i spadły. Drugie - ostatnie -jeszcze się trzymały.

- Conan!-krzyknęła Amazonka.-Conan! Wstań, wojowniku! Conan przewrócił się na plecy, z jego gardła dobiegało bulgotanie, jakby dusiła go agonia.

- Conan!... Bez rezultatu.

-167-

- To koniec... - wyszeptał Orlandar.

W tym momencie runęły drzwi i do knajpy wdarła się wataha potworów, uzbrojonych w brązowe siekiery i drewniane tarcze. Ustawili się pod ścianami karczmy, otaczając ludzi i wojowniczo wysunęli przed siebie broń. A w ślad za nimi do „Brązowego Hełmu” wtoczył się wysoki, niewiarygodnie chudy człowiek, którego głowę zdobił przekrzywiony Hełm.

- O, chłopaki! - powiedział płaczącym się językiem, wpatrując się zmętniałym wzrokiem w Minolię i Amazonkę, z całych sił próbując skupić wzrok, ale źrenice złośliwie się rozjeżdżały ku skroniom, albo zjeżdżały do nosa. Omal nie upadł. Ale się utrzymał. -Nalewają tu porzą... p.. .p... porząd.. .nym obywatelom, czy nie?

Wtedy Conan, ciągle jeszcze siedząc na podłodze, zaczął się obłąkańczo śmiać.

- Co to wszystko znaczy? - widząc, że nikt nie ma zamiaru rąbać ich na kawałki, zapytał szeptem zbity z tropu Orlandar.

- To znaczy... - zajęczał Cymmerianin, nie będąc w stanie opanować chichotu. - Och... To znaczy - Fagnir...

W tym momencie oficjalista kupca Machara i posiadacz magicznego Hełmu z hałasem upadł na brudną podłogę.

- I temu człowiekowi powierzyłeś Hełm! - zachichotała Amazonka, gdy Conan skończył wyjaśniać, kim jest Fagnir i zaproponował plan działania.

Cymmerianin wzruszył ramionami.

- Przecież nie wiedziałem, że hełm to Hełm... A tak w ogóle, mogłaś mnie uprzedzić.

- A tak w ogóle, akurat się wtedy kąpałam.

Minolia z przerażeniem zerknęła na Starożytnych Wojowników.

- Dlaczego... dlaczego oni nas nie atakują? - wyszeptała. -Dlaczego wy ich nie zabijacie?...

Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Aj-Berek popatrzył w zadumie na spokojnie chrapiącego pod ławą oficjalistę Machara.

- Myślisz, że to pomoże? - zapytał powątpiewająco.

- Pojęcia nie mam - odpowiedział szczerze Conan. - Ale jak widzisz, na razie potwory nas nie ruszają. A w drodze być może uratują nas przed tym głównym, które zżera całe miasto.

Rzeczywiście, sześciu potworów z siekierami, jak ustawiło się pod ścianami knajpy, tak od tamtej pory nie drgnęło, niczym honorowa warta przy łożu zmarłego monarchy. Ich szklany wzrok był tępy

-168-

i zastygły, jak u lalek. „Zmarły monarcha” w tym czasie spokojnie spał, roztaczając aromaty najróżniejszych win.

- Ten, kto posiada Hełm, ma władzę nad Starożytnymi - powiedział szeptem Orlandar. - Co za moc... i w takich rękach...

- Taak - zgodził się Conan. - Hełm, za którym uganiają się wszystkie Czarne Moce, jest na przesiąkniętej spirytusem głowie pijaka. Byłoby to bardzo śmieszne... w innej sytuacji. Ale jak ten biedak Fagnir się tu znalazł?

- Po prostu szukał najbliższej knajpy, gdzie można spokojnie wypić - odpowiedziała Amazonka i smutno się uśmiechnęła. - Ci mężczyźni! Świat się wali, a on szlaja się po ginącym mieście w poszukiwaniu otwartej knajpy i nawet nie podejrzewa, że ma na głowie klucz do ratunku...

- Nie szukał tak po prostu karczmy - sprzeciwił się Aj -Berek. -Prowadziła go ręka Opatrzności. Nie przypadkiem my wszyscy -Conan, zdolny zabić martwego dwa razy, ja, zdolny pomóc mu na miarę swoich słabych sił, ty, Orlandarze, wiedzący wszystko o Hełmie i sam Hełm znaleźliśmy się w tej karczmie - również nie przypadkiem nazwanej „Brazowy Hełm”. Bogowie dają nam do zrozumienia, że jeszcze nie wszystko stracone, że mamy jeszcze szansę uratować świat... I naszym obowiązkiem jest ją wykorzystać.

- W takim razie zróbmy to i przestańmy przelewać z pustego w próżne - rzuciła rozdrażniona Amazonka.

- Orlandarze, włóż Hełm - polecił Aj-Berek. - Jesteś tu jedyny, który wie, jak z niego korzystać.

- Ja? Ja nie wiem, jak... - uniósł brwi Mistrz. - Wiem tylko, że właśnie z jego pomocą można włączyć Starożytnymi...

- No to władaj. Rozkaż im ochraniać nas w drodze do murów miejskich - poparł czarownika Cymmerianin.

Orlandar wahając się, popatrzył w milczeniu na czekających towarzyszy, na stojących pod ścianami Starożytnych, potem zdjął Hełm z chrapiącego Fagnira i założył sobie na głowę. Zachwiał się. Jęknął. Jego spojrzenie było utkwione w Nieskończoność.

- Widzę... - wyszeptały jego usta. - Widzę oczami Starożytnych. .. Zostało już tylko nas sześciu, pozostali zginęli w czarnej galarecie... Nie ma nikogo, nawet obmierzłych człowieczków...

Ciemno... Zimno... Strasznie... Niezrozumiale... Świat stał się zupełnie inny, gdy byliśmy na Szarych Równinach... Czern pełnie, jest wszędzie... Boimy się...

- Możesz im rozkazywać? - zapytał Aj-Berek.

-169-

- Zaraz, zaraz... - Orlandar skoncentrował się i nagle Starożytni ożyli - podnieśli siekiery, zgodnie obrócili się w lewo.

- Udało się! - zaklaskała Minolia.

Kiedyś na miejskim jarmarku w Tarantii Conan widział przedstawienie - trzy metalowe figurki podnosiły i opuszczały ręce, kręciły głowami, schylały się i poruszały - dzięki parze, która przepływała przez skomplikowany system zastawek i kłapek, i ożywiała je. Starożytni właśnie tak wyglądali: ich ruchy był tak samo urywane i bezsensowne. Ale stopniowo Orlandar nauczył się wydawać komendy, dające podwładnym większą swobodę wyboru - w rodzaju „walczyć”, „w pochod”, „odpoczynek” - i można było ruszać.

- Ale dlaczego Starożytni zabijali ludzi, skoro dowodził nimi ten pijak? Czy on mógł im rozkazać zabijać? - zapytała Minolia Aj--Bereka.

Czarownik wzruszył ramionami.

- Kto wie, co tam sobie taki pijak myśli... z drugiej strony, mógł im w ogóle niczego nie rozkazywać, i ci działali tak, jak uważali za słuszne. A tych sześciu po prostu chroniło noszącego Hełm... Nie zaprzataj sobie głowy takimi głupstwami, dziewczyno. Przed nami trudna droga i kto wie, co nas czeka...

- W takim razie ruszajmy - Conan nachylił się nad Fagnirem, podniósł go i zarzucił sobie na ramię jak worek.

- A tego, co - zdziwiła się Amazonka. - Zabieramy ze sobą?

- Kiedyś on mi pomógł - Conan nie miał zamiaru nic więcej tłumaczyć. - No? Idziemy czy nie? Najwyższa pora wynosić się z tej zgniłej miejsciny.

- Tak-zgodził się Aj-Berek. -I tojaknajszybciej. Nie wiadomo, ile nam zostało czasu.

Dziwna procesja porzuciła progi knajpy „Brazowy Hełm” i skierowała się ku bramie miejskiej: ustawione w czworobok szły potwory uzbrojone w siekiery i tarcze; drobna jasnowłosa dziewczynka biegła w środku czworoboku. Za nią szło dwóch starców, głowę jednego z nich wieńczył Hełm, prawie taki sam, jak te, które mieli na ohydnych głowach ich ochroniarze. Procesję zamykał czarnowłosy gigant z obnażonym mieczem w prawej ręce i bezwolnym ciałem na lewym ramieniu i wysoka smągła kobieta z szablą wysuniętą do przodu, przyciskająca do boku zakrwawioną opaskę. Ci ostatni co chwila oglądali się na wszystkie strony, spodziewając się napaści. Ale nikt

-170-

ich nie atakował: pogrążone w nocy ginące miasto było puste i ciche. Od strony pałacu Haszyda, już rozpuszczonego przez czarny potok, nie spiesząc się, wiedząc, że nic nie może się jej przeciwstawić, goniła ich Śmierć. I była szybsza, niż sądzili uciekinierzy.

Wiedzieli, że mogą nie zdążyć. I mimo to biegli, ile sił w nogach. Śmierć zachodziła ich z flank, falami przecinała im drogę, wstrętnymi językami spelzała z dachów domów, pod którymi przebiegali, próbując objąć ich, pogłaskać, pocałować, położyć na swoim lepkiem miłosnym łożu, utopić i na wieki pogrążyć we śnie... Czarne paskudztwo nie dotknie Orlandara, na którego głowie widniał Hełm, ale pozostali na pewno zostaną pogrzebani pod śmiertelnym całunem galaretowatej substancji... I ludzie biegli przed siebie, ku murom miejskim, które widać było przed nimi. Byli już całkiem blisko, widzieli już wąskie drewniane schody, po których na mury wchodziła straż, widzieli nawet szczerbiny na tych stopniach.

Jednego po drugim Orlandar wysyłał Starożytnych, żeby osłaniali ich wejście. Nie czuł litości, tak jak nie czuli jej wobec ludzi Starożytni. I wojownicy Przeszłości staczali nierówną walkę z czarną mocą, rąbali ją siekierami, odbijali tarczami... I czarne drań-stwo zatrzymywało się na chwilę - żeby pożreć nowy łakomy kąsek. Nie robiło mu różnicy, kto wpada w jego objęcia - człowiek,

Starożytny, zwierzę, drzewo czy budynek, ale dawało to ludziom kilka chwil. Do schodów pozostawało już tylko dwadzieścia kroków, piętnaście...

Ostatni Starożytny został z tyłu, żeby walczyć z substancją ze Świata Demonów, gdy uciekinierzy w końcu dotarli do schodów i zaczęli się wspinać. Nie kończąca się wspinaczka po nie kończących się schodach. Conan sapiąc pod ciężarem Fagnira, przeklinał się, że pozwolił sobie tak długo zamarudzić w „Brazowym Hełmie” - pogadać można było i na górze murów... ale teraz nie ma co żałować. Naprzód, naprzód, naprzód!

Czarna galareta pełzła za nimi po stopniach - po wertykalnej powierzchni jeszcze nie nauczyła się wspinać, brakło jej sił. To nic, jeszcze chwila i dobierze się do tych niepokornych człowieczków i udowodni przewagę Ciemności nad żalosnym Światłem.

Ludzie dotarli do grzbietu muru. Cymmerianin niezbyt troskliwie zrzucił Fagnira z ramienia.

Czarownik, Mistrz i Minolia ciężko dysząc siedli prosto na kamieniach. Amazonka...

- Szybciej, co się tam grzebiesz! - krzyknął barbarzyńca i skoczył z powrotem na schody, widząc, że wojowniczką wspina się nie

-171-

biegiem, tylko powoli, co chwila się oglądając. - Stój, głupia! Dokąd!

Amazonka odwróciła się po raz kolejny i nagle rzuciła się po schodach w dół, na spotkanie czarnej śmierci.

Na chwilę Conan stanął jak wryty. A potem pobiegł za nią.

Podpórki drewnianych schodów huśtały się, trzeszczały i skrzypiały, jakby ktoś rozrywał kawałek mocnej tkaniny - galareta pochłaniała je, w swoim ślepym głodzie nie zdając sobie sprawy, że wtedy nie będzie miała po czym gonić dużo smaczniejszych ludzi: kamieni nie zżera się tak szybko jak drewna.

Trzy pierwsze kondygnacje runęły w dół. Czarna masa zaczęła się za najniższy stopień ocalałej części schodów, rozciągnęła jak rozgrzany воск. I zaczęła podciągać się w górę. Powoli, ale nieodwracalnie. A zresztą, zdąży. Wystarczą dwa cięcia szablą, chyba więcej nie będzie potrzeba. I na jakiś czas przekłeta galareta przestanie im zagrażać. Och, jak boli bok... i Amazonka rzuciła się w dół po schodach, ku wspinającej się masie.

Cztery razy załśniła w świetle księżyca szablą. Zatrzeszczały pękające belki i część schodów, którą zajęła substancja z Tamtego Świata, runęła razem z nią w dół, w czern.

Ale pozostałą częścią schodów również porządnie zatrzęsło. Conan wczepił się w poręcz, żeby nie potoczyć się po stopniach. Amazonka straciła równowagę, jednak w ostatniej chwili udało jej się chwycić za jakiś sterczący z muru fragment, jedną ręką, końcami palców.

Wisiła nad przepaścią i czuła, jak zsuwają się z drewna jej palce. I nic nie może zrobić.

- Trzymaj się! Jeszcze chwilę!

Biegł do niej jej mężczyzna o pięknym imieniu Conan. Nie chciała się z nim rozstawać. Ale on nie zdąży. Ona trzyma się nad przepaścią dosłownie kawałkami skóry. To koniec...

Wydawało się, że przez kilka obrzydliwie długich chwil wisiła w powietrzu. Spojrzenie jej spokojnych, ogromnych czarnych oczu było utkwione w Cymmerianina.

- Moje imię - Zejra, wojowniku - usłyszał (a może wydawało mu się, że usłyszał?) Conan nieustraszony głos w tym momencie, gdy dzielna Amazonka zniknęła w czarnym grzędawisku, które połknęło całe miasto.

Cymmerianin zajęczał z irytacji i bezsilności i uderzył w poręcz pięścią, nie czując bólu i nie zdając sobie sprawy, że każdy

-172-

gwałtowny ruch może stać się fatalny dla chwiejnych, zdradzieckich schodów.

XXII

- Nikt na świecie nie zdoła przed tym uciec. Rośnie, staje się coraz żarłoczniej szej, a zaspokoić głodu nie zdoła nigdy.

- Mów jaśniej, czarowniku.

- Ta smołopodobna substancja, która zajęła i zniszczyła cały Vagaran, wy chlusnęła z Tamtego Świata. Pochłania substancje naszego świata i przetrawiając, hoduje swojowąłasność. Jej cel i cel Świata Demonów - pokryć sobą cały świat. Rozpłynie się na wszystkie strony, pochłaniając wszystko, co napotka, z każdą chwilą stając się coraz silniejsza. Jeśli ty, albo ktoś inny... ucieknie przed nią dzisiaj, jutro ona jego albo ciebie... dogoni.

- Jest niezwykła?

- Na świecie, barbarzyńco, nie ma takiej siły, której nie mogłaby pokonać inna siła. A my mamy Hełm. Ten, kto go nosi, nie może, nie powinien być wrażliwy na to... na to zło. Spójrz: mur, na którym stoimy, jeszcze nie runął. Dlatego, że jest na nim Hełm. I jego właściciel.

Czworo ludzi stało na grzbiecie muru, niegdyś otaczającego Va-garan. Oprócz nich nie było tu nikogo - straż na rozkaz Sdemaka zesłała na dół, na bój z potworami... i zginęła w objęciach czarnej masy.

Do muru dotarło pięciu żywych ludzi. Tylko pięciu. Jedyni, którym udało się wyrwać z łap śmierci. Czworo z nich stało teraz na grzbiecie muru i patrzyło w stronę, gdzie kilka godzin temu było bogate i potężne miasto. Piąty spał kamiennym snem.

Teraz przed nimi roztaczał się ocean ciemności. Ani jednego ruchu, ani najmniejszego światła nie było widać w kompletnych ciemnościach, w które zamienił się Vagaran. Nawet błękitnobiałe światło księżyca tonęło w tej ciemności. Rozpadły się, roztopiły w czarnej masie domy, pałace, minarety; utonęły w cuchnącej cieczy ludzie i Starożytni, mieszkańcy miasta, goście, członkowie zakonu; upadły, pozbawione korzeni drzewa, wszystko, wszystko pochłonęła nienasycona czerń. Orlandar i Minoliamilczeli wstrząśnięci.

Conan splunął i długo patrzył, jak jego ślina pobłyskując w świetle księżyca, leci w dół i niknie w zupełnych ciemnościach. Potem znowu odwrócił się do Aj-Bereka.

-173-

- No? I co dalej? Jak rozkażesz walczyć ze smołą?

- To nie smoła. To coś... coś żywego. Chociaż słowo „życie” oczywiście do niego nie pasuje. Ale i ono ma swoje słabe punkty. Trzeba je tylko zobaczyć.

- Jak?

- Za pomocą magicznego wzroku - Drugich Oczu.

- I gdzie można kupić te oczy?

- Dam ci je. Umiem widzieć Drugimi Oczami. U mnie i u ciebie powinna pozostać astralna... no, magiczna więź od tamtej pory... gdy... eee...

- Jasne. Mów dalej.

- Otworzę przed tobą magiczny wzrok. W Hełmie powinieneś być bezpieczny. I razem możemy spróbować pokonać Zło. Ono zagraża całemu światu, Conanie! Musisz zejść na dół i walczyć z Aminem, który stał się, jak powiedziała Minolia, częścią tej siły. Jego można pokonać. Albowiem - pamiętaj, barbarzyńco! - cztery elementy pierwotne - ziemia i ogień, woda i powietrze - leżą u podstawy tak naszego, jak i tamtego świata.

- Nic nie rozumiem. Ale to nieważne. Cóż. Mówię tak, czarowniku. Ale jeśli spróbujesz oszukać mnie, klnę się na Croma, wyleżę z powrotem z tego draństwa i wepchnę ci je w...

- Już się w życiu naoszukiwałem - powiedział zmęczonym głosem Aj-Berek. - Niewielu rzeczy oczekuję od życia. A już na pewno nie wyrównywania jakichś tam drobnych porachunków. W dodatku takim topornym sposobem.

- Mam z tobą dosyć poważne porachunki, czarowniku. Ale przebaczę ci, jeśli wszystko zrobisz tak, jak powiedziałeś... Dobrze, dosyć tego. Do rzeczy. Najpierw poszukajmy liny. W każdym mieście, a widziałem ich do tej pory niemało, tutaj, na górze, straż zawsze ma kilka zwój ów. Na wszelki wypadek. I taki wypadek właśnie zaszedł... Nie, jak ja nienawidzę czarowników, i kto by przypuszczał...

Od świtu do zmierzchu ze wszystkich stron słońce paliło je żarem, od zmierzchu do świtu odpoczywały, stygły, rozkoszowały się chłodem. One, wyrwane z rodzinnych gór głązy, złączone

niegdyś w jedną całość, nazywane murem miejskim. Po ich trupio zimnych ciałach, odpychając się nogami, zjeżdżał na linie człowiek, który tam, na dole, u podnóża muru, znajdzie albo natychmiastową śmierć, albo możliwość walki o życie.

174

Decyzja została podjęta, innego wyjścia nie było, dlatego Conan nawet nie zastanawiał się, co go czeka na dole. Leżąc w paszczę Śmierci niemal bez nadziei na ratunek, to dla niego nie pierwszyna. Ciągłe nie do końca wierzył czarownikowi, ale nic nie mógł zrobić. Musiał zaryzykować: jeśli Aj-Berek ma rację, to losy świata są w jego, Conana, rękach. Jeśli nie, jeśli go okłamuje, to...

Cymmerianin wolał pomyśleć o czymś innym.

Na górze pewnie sobie wyobrażali, że barbarzyńca wykorzysta ostatnią chwilę, by zapewnić sobie przychylność swoich barbarzyńskich bogów. Nie zaszkodziłoby... „Ej, Crom, słyszysz? To jak, pomożesz, czy znowu mam sobie radzić sam?... Milczy...”.

Dotarł już do czarnej masy, która wchłonęła miasto. Cuchnąca, bulgocząca ciecz czekała dwie dłonie poniżej obutych w mocne buty nóg Cymmerianina. Conan ostatni raz odbił się od kamiennej kładki, puścił linę i skoczył.

Kręgosłup Aj-Bereka zamienił się w stalowy pręt. Mag dosłownie skamieniał. Jakby życie na chwilę opuściło jego wyciągnięte cienkie, chorobliwie blade ręce i pozostałe części ciała.

Podkreślając wrażenie skamienienia, wiatr omijał czarownika, który odszedł w inny byt, nie szarpał jego ubraniem, nie stroszył wąsów, nie bawił się jego włosami. W powstałej wokół i wewnątrz czarownika martwej przestrzeni żył i pracował na granicy swoich możliwości mózg Aj-Bereka, maga, od którego w nie mniejszym stopniu niż od Conana zależał los ludzi na grzbiecie muru i przyszłość na razie jeszcze niczego nie podejrzewającej ludzkości.

Orlandar siedział, opierając się plecami o zimne kamienie balustrady. Czuł się okropnie. Do gardła co chwila podpływała fala mdłości. Mistrz bał się, że straci przytomność.

Lina, na której opuszczał się barbarzyńca, zwiotczała. Minolia, niebezpiecznie nachylając się w mrok, starała się nie oddychać, żeby nie przeszkadzać sobie w patrzeniu. Próbowwała dojrzeć, co się dzieje tam, na dole. Czy Conan żyje. Czy załśni Hełm. Czy już po wszystkim, czy ostatnia nadzieja rozwiała się jak mgła o świcie? Jedynym człowiekiem obojętnym wobec tego wszystkiego był Fagnir. Zwinięty w kłębek obok Orlandara, czule obejmując dzban po winie, spał jak dziecko. I cicho posapywał przez sen.

Minolia krzyknęła. Orlandar wpił w nią wzrok... I od razu domyślił się, czym spowodowany był ten okrzyk.

Nogi barbarzyńcy wbiły się w ścielącą się jak okiem sięgnąć czerń o niewiadomej głębokości. Nie napotykając żadnego oporu- ani tego,

-175-

jaki daje woda, ani tego, którego można by oczekiwać od wyglądającej jak smoła masy - Conan niespodziewanie szybko uderzył nogami o ziemię. Przysiadł. Żeby nie upaść na wznak, wystawił przed siebie ręce. Dłonie zaryły w coś delikatnego, ciepłego, w dotyku przypominającego popiół. Rozejrzał się wokół siebie. Spojrzał w dół.

Pod nim była wypalona ziemia.

Wokół - nieprzenikniona czarna masa, sięgająca barbarzyńcy do kolan. Masa odsunęła się od człowieka w Hełmie na trzy kroki, we wszystkie strony. Falowała, jak galareta, wzdymając się na brzegach - odnosiło się wrażenie, że próbuje zamknąć się znowu, przywrócić jedność rozerwanej tkaniny, ale coś jej przeszkadzało.

Conan stał na rozstawionych szeroko nogach, plecami zwrócony do uchodzącego w niebo muru, przygotowując miecz do walki. Jego spojrzenie biegło po powierzchni zrodzonej na tamtym świecie masy.

Coś się zmieniło w otoczeniu. Gdzieś daleko, na samej granicy odczuć, pojawiła się jakaś przeszkoda, ledwie zauważalna, ale nieprzyjemna. To, co kiedyś zwano Aminem, w myśli obmacało swoje bezkresne ciało, znalazło miejsce, w które wbiła się żywa drzazga i powoli ruszyło

w tę stronę. Mózg złączony z trzech znalazł imię przeszkody, i w nieludzkim umyśle trójjedynego Amina rozpalili się płomień dawnej nienawiści.

„Coonaaan...” — po astralnym polu przetoczyła się fala szeptu, podobnego, gdyby ludzkie ucho mogło go usłyszeć, do szelestu trzciny w trzęsawisku o północy.

Czarownicy mieli rację: Hełm chronił swojego właściciela przed dotykiem tego czarnego rzadkiego paskudztwa. Nie chronił jednak od duszącego smrodu, od którego łzawiły oczy i kręciło się w głowie.

Panowała taka cisza, jakby Conan znalazł się w nieprzeniknionym dusznym kokonie. Aż huczało w uszach. Każdy dźwięk, czy to szuranie podeszew, czy głośniejszy wydech, czy bulgotanie rzadkich pęcherzy w galarecie, która pochłoneła Vagaran, powoli tonął w tym grobowym milczeniu. A gdzie obiecany przez czarnoksiężnika nowy wzrok? Wszystko wokół wygląda po staremu. Znowu oszustwo? „Ech, mimo wszystko trzeba było zabić tego spryciarza” - pomyślał z irytacją Cymmerianin.

Gdyby nie przygotowana świadomość przeniknęła do przestrzeni astralnej, nie mającej niczego wspólnego z wyobrażeniem o czasie i przestrzeni, do świata, który nie zna granic, nie wie, czym jest prze-

-176-

szłość i przyszłość - taka świadomość została w najlepszym razie wchłonięta i rozpuszczona przez astralną substancję, a jej właściciel straciłby rozum, a w najgorszym razie człowieka czekałaby śmierć w takich męczarniach, że nie sposób pomyśleć o niej bez dreszczy.

Odszukanie w nieskończoności innego bytu rozerwanej pajęczynki, łączącej kiedyś kata i ofiarę, wycamanie jej wśród miriad różnorodnych istot - to praca porównywalna z szukaniem igły w stogu siana. Aj-Berek nie powiedział nikomu o swoich wątpliwościach, nie dał nawet do zrozumienia, że to, za co się wziął, ma wyłącznie iluzoryczną szansę powodzenia. Już lepiej niech wierzą w to powodzenie i tak nic innego im nie pozostaje. I tak nic innego nie można zrobić.

Aj-Berek oczywiście nie był jednym z wszechmogących magów naszego świata, którzy umieją podporządkować sobie astralne istoty, ale osiągnięta przez starego czarodzieja pełna koncentracja zdolności i umiejętności na określonym celu, uwolnienie umysłu z przeszkadzających poszukiwaniom innych myśli, prowadziły go właściwą drogą. Już zaczynał wyławiać w otaczającym go Uniwersum obecność potrzebnej mu materii. Z migotań i zjaw, z cieni i półtonów układał jak mozaikę obraz Minionego, w którym powinien znaleźć utracony koniuszek nici. Czas rzeczywisty został w rzeczywistym świecie i nie wiadomo było, ile upłynęło chwil, dni lub lat, gdy Aj--Berek znalazł w końcu cieniutką żółtą pajęczynę, odnowił utraconą magiczną więź z człowiekiem o imieniu Conan i skierował do niego wycieki astralu, wchłaniane przez jego, Aj-Bereka, mózg. Ale czy nie jest już za późno? Czy człowiek, któremu winny otworzyć się Drugie Oczy, jeszcze żyje?

Conan nie ruszał się, nie porzucił kawałka odsłoniętej, wypalonej ziemi. Nie było po co się ruszać - przeciwnik już do niego szedł i chyba bardzo się spieszył.

Cymmerianin zobaczył, jak na polu czerni wydał się ogromny, dwukrotnie wyższy od człowieka, bąbel, przypominający wrzód, gnijący pryszcz, wstrętny pęcherz na chorym ciele. Niespiesznie, chwiejąc się z boku na bok, bąbel ruszył w stronę Cymmerianina. Conan się przygotował. I wtedy znowu w jego kark wbiła się igła, przebiła na wylot mózg i wyszła, rozdławiając się, z oczu. Ból był tak nieoczekiwany, że barbarzyńca zakrzyczał, zacisnął powieki, dotknął ręką twarzy.

Trójjedynego coś, niegdyś zwane Aminem, ślizgało się do swojej ofiary coraz szybciej, z każdą chwilą zmniejszając między nimi odległość. Jego wściekłość rozpaliała się coraz silniej.

Podarowanym

12 - Conan i prorok ciemności

-177-

mu przez jego nowych władców wzrokiem widział ledwie zauważalną plamkę błękitnego ognia na tle absolutnego mroku. Głupi człowieczku, jak śmiałeś wejść do domeny, jego, Trójjedynego



Amina, władców? A zresztą, to dobrze, że tu jesteś, bezmózgi robaku, jeszcze nie wyrównaliśmy rachunków. Nie martw się i nie spiesz: już wkrótce będzie po wszystkim.

Ból ustąpił tak samo nieoczekiwanie jak się pojawił. Conan otworzył oczy i, rozładowując napięcie, najgorszymi słowami przeklął ohydneho czarownika i jemu podobnych, przeklął to obmierźłe miasto, wszelkie plugastwo i pomagających demonom bogów. Uspokoiwszy się, Cymmerianin wpatrzył się otaczający go świat nowymi (albo -jakże nazwał czarownik?) Drugimi Oczami.

Przeobrażony magicznym wzrokiem świat był rozjaśniony odbłaskiem, wydzielanym przez wszystkie przedmioty. Nie przyzwyczajone oczy bolały.

Pokrywająca miasto, przypominająca smołę ciecz wypromienio-wywała żółto-czerwone światło z szarym odcieniem na brzegach. Wyglądała teraz zupełnie inaczej. Przypominała grubą skórę jakiejś niewiarygodnie ogromnej istoty - poprzecinana zmarszczkami, pokryta krótkimi włoskami, z których każdy wyrastał z oddzielnego zagłębienia, upstrzona plamkami, z widocznymi żyłami, gdzieś pofałdowana. Rytmicznie wydymała się i opadała, jakby pracowały pod nią gigantyczne płuca. Miejsce, gdzie stał Conan i gdzie ciecz rozeszła się pod wpływem działania Hełmu, teraz wyglądało jak rozcięcie płaszcza skóry-jej kawałeczki zwisały, sterczały, miarowo falując, rurkowate wyrostki, z których sączyła się purpurowa ciecz.

Conan spojrzął pod nogi, na terytorium zgłodzonego miasta, na ten jedyny kawałek ziemi, którego nie przykrywała galareta-skóra... i zrobiło mu się niedobrze. Cymmerianin pospiesznie podniósł wzrok. Tak, człowiekowi, który po raz pierwszy styka się z takimi rzeczami nie jest łatwo.

Potrzeba czasu, żeby przywyknąć do nich i nie stracić rozumu. A czasu miał coraz mniej.

Barbarzyńca zobaczył pod sobą wirujący szaleńczo lej, uchodzący w jakąś niezmierną głębię. Stał nad nią, oddzielony kryształowo przezroczystą twardą warstwą czegoś, a pod nim wirowały, tworząc ściany leju, domy, pałace, minarety, drzewa, twarze, ciała. Z głębin tego wiru na górę wznosiła się skóra-galareta, nie mająca ani końca, ani początku, gotowa połknąć całą ziemię, zgasić słońce

-178-

i gwiazdy, utopić w swojej nieprzeniknionej czerni cały świat. Widok przyciągał, hipnotyzował, Conanowi zakręciło się w głowie...

„Starczy patrzeć na te plugawe magiczne sztuczki! Potem się będę przyglądał - rozkazał sobie Conan. - Czemu trzeba się uważnie przyjrzeć, to temu potworowi. Poza nim nie ma tu już nikogo, z kim można by walczyć...”

A potwór był oddalony od barbarzyńcy o dziesięć kroków i błyskawicznie zmniejszył tę odległość. Porównanie tego potomka Czarnych Mocy do czegokolwiek istniejącego na ziemi nie wydawało się możliwe.

W jeden organizm połączyły się trzy. Trzy istoty zlały się w jedną, w jedną trójjedyną istotę o imieniu Amin.

Spazmy targały żołądkiem Orlandara. Mistrz wymiotował, ale nie czuł ulgi. Poczuł, że coś zaczyna go dławić w gardle i ciężko mu oddychać. Zgęstniały magiczny eter, przecinany energetycznymi ładunkami ogromnej mocy dręczył wrażliwego na przejawy innego bytu człowieka. Przed oczami Orlandara wisiała zasłona w kolorze krwi, w uszach słychać było doprowadzający do szaleństwa huk. Nagle huk ucichł i wyraźnie zabrzmiało wypowiedziane starczym głosem: „... .imię jego - Nicość”.

„Amin” - ogniste litery zapłonęły przed oczami duszy Mistrza. Czyjaś woła słowo zostało przekręcone i płonęło teraz „Nima”.

Jak młotek rozbija orzech, tak ból rozkuł mózg Orlandara na dwie części. Umysł Mistrza nie był w stanie przyjąć napływającej wizji i stojącego za nią domysłu.

Ta strona z książki „Ghramar”, podręcznej książki wszystkich magów, gdzie jest mowa o końcu świata. Nauczyciel czytał mu ten foliał jeszcze w dzieciństwie. On sam nieraz czytał i tę stronę, i

całą księgę. W pamięci pojawiły się wersy: „... i wypełnie z nor czyste Zło. Dziecię Władcy Ciemności. A imię jego - Nicość...”

„Nima” w jednym z zapomnianych hyboryjskich języków, w których spisano wszystkie księgi prorocत्व, oznacza właśnie nicość.

- Nima - wymówiły wargi Orlandara. - Wypełzło z nor. Dziecię Ciemności jest tu. Wiem to. Więc przez całe życie na niego czekałem! Właśnie na Niego! Wierzyłem w przyjście Dziecięcia Ciemności! Służyłem Dziecięciu Ciemności!

Orlandar zawył, rwąc na sobie odzienie. Jego mózg pokonało ostatecznie odkrycie, była to ostatnia kropla do przepełnionej czary bólu,

-179-

rozczarowania i poczucia winy nie do odkupienia. Jego mózg zamienił się w ognisko.

Mistrz podbiegł do wewnętrznej krawędzi muru, przechylił się przez balustradę i skoczył. Rozbił się na kamieniach na brzegu fosy opasującej miasto.

Minolia, teraz już jedyna przedstawicielka Zakonu Dnia Ostatniego, krzyknęła i zapłakała, zasłaniając twarz rękami.

Aj -Berek niczego nie widział i nie słyszał. Był daleko stąd i czuł, że już niedługo wszystko się rozstrzygnie.

Drugimi Oczami Conan oglądał zbliżającą się do niego istotę. Czegoś tak parszywego nie widział nawet na rysunkach, którymi od góry do dołu pokryte były ściany posępnej świątyni jakichś nieznanych bogów w pewnym porzuconym, niszczącym starożytnym mieście, pełnym cieni i różnego plugastwa. A rękę tamtych, dawno zmarłych artystów, prowadził chyba sam ciemny Świat Demonów.

Cymmerianin widział teraz wewnątrz nadchodzącej istoty, aż do najmniejszego organu. Poznał Turańczyka, swojego przeciwnika z areny, tułowiem zrosniętego z tworem, jednym z tych, które do niedawna zaludniały Vagaran. Dwie głowy, ludzka i nieludzka (z trąbą i kościaną naroślą na głowie) wieńczyły dwuczłonowy tułów, w którym przeplatały się organy ludzi i nieludzi. Jedna ręka i noga były bezwłose, druga para - pokryte gęstą sierścią; obie ręce ścisnęły brązowe siekiery. To potworne stworzenie, dwa razy wyższe od człowieka, posuwało się na jeszcze jednej parze masywnych nóg, kończących się kopytami, a z jego beczkowatej piersi sterczał trzeci płód szaleństwa demonów: głowa na długiej, wijącej się szyi, pokrytej łuską i brodawkami, głowa składająca się niemal wyłącznie z paszczy, wypuszczającej zielonkawy dym, ozdobiona niewyobrażalnie pokręconymi rogami. Wydawało się, że pokrywająca wszystko wokół masa-skóra omija poruszający się Koszmar, jednocześnie jednak łącząc się z jego organami za pomocą tysięcy rurek, naczyń i naczynek, którymi płynęła purpurowa ciecz, dostarczana do organów monstrem. Naczynia towarzyszyły zbliżającemu się potworowi, nie tamując mu jednak ruchów.

„Otóż to! - ołśniło Cymmerianina. - To jest jego słabe miejsce. To gównno, w którym pływa, dokarmia go jakimś innym gównem. Właśnie te rurki trzeba będzie poprzecinać. No tak, nie ma co mówić, bez tych Drugich Oczu nie miałbym pojęcia, co to właściwie jest. Ale czym i jak z nim walczyć?”

-180-

- Miięęsooo! - zahuczało w mózgu barbarzyńcy. - Jeeesteees naaaasz! Zeeemsta, zeeemsta! Tyy naaasz! Poobawiiiiimy się z to-baa!

- Idź do licha - odezwał się niezbyt głośno Conan i splunął. Wysunął przed siebie ścisnany obiema rękami miecz. - Oho! - wyrwało mu się.

Jeszcze nigdy jego broń tak nie wyglądała.

Po długim, jarzącym się jaskrawo niebieskim światłem ostrzu przepływały wizje wszystkich bitew, w których miecz uczestniczył. Skrzyżowane klingi, wykrzywione twarze, zalane krwią zbroje, pożary, ruiny miast... Wydawało się, że miecz wibruje, próbując wyrwać się z rąk swojego pana i rzucić się w wir walki, użyć tych wszystkich chwytów, których używał Conan, pokonując

przeciwników, wykorzystać całą siłę, którą wykorzystywał Conan w nie kończących się starciach i walkach... Ciekawa rzecz, ten magiczny wzrok!

Potwór, potrząsając siekierami, po pajęczemu poruszał się na dwóch parach nóg i był już jakieś dziesięć kroków od Cymmeriani-na. Conan podniósł miecz i przyjął pozycję bojową.

- Hhheeełłmm! - zadzwoniło mu w głowie. - Maasz He-eełłmmm! Złoooodziej! Złoooodziej!

- Chodź i weź go sobie! - odpowiedział spokojnie barbarzyńca.

Zimna żółtawa błyskawica rozbłysła w widmowym świetle księżyca, wiszącego nad martwym miastem. Conan w tej samej chwili się pochylał - i ostrze siekiery zaświstało dwa palce nad jego głową. Groźna broń Dziecka Demonów nie zdążyła zakończyć swojego śmiercionośnego łuku, gdy Cymmerianin rzucił się do przodu z podniesionym mieczem, próbując przeciąć choćby jedną rurkę, łączącą monstrum z galareta.

Pomimo swojego wzrostu, potwór był dość szybki: wyrzucona błyskawicznie noga, uzbrojona w rozdwojone kopyto, uderzyła barbarzyńcę w brzuch i ten odleciał na bok. Masa-skóra posłusznie rozsunała się i Conan upadł na wypaloną ulicę Vagaranu. Przeturlał się, stanął na nogach. Poprawił zjeżdżający na ucho i diabelnie przeszkadzający Hełm. Nie bolał go ani brzuch, ani pozdzierany łokieć.

Chwiejąc się na rozkrzyżowanych pokrzywionych nogach, Trój-jedyny Amin czekał. Cekał również barbarzyńca, w półprzysiadzie, z mieczem wysuniętym przed siebie.

- Oooddaaj naaaam Hhhheeełłm, roobaaaku! - rozbrzmiało nad światem jak dźwięk pękniętego dzwonu. - Wteedy zabiiijeemy cięęę szyybko!...

-181-

- Nergal z tobą- odpowiedział spokojnie Conan. - Zabij mnie powoli.

Potwór zaryczał jak setka oszalałych huraganów i rzucił się na człowieka, ośmielającego przeciwstawić się samemu Złu. Patrzącemu z boku mogło się wydawać, że Cymmerianin walczy z szalejącym oceanem - fale ohydnej masy wzdymały się wokół niego, próbując utopić w swoich martwych głębinach, runąć na niego jak dziewiąta fala, tworząc przerażające wiry, plując czarną pianą... Ale samotny wojownik co chwila pojawiał się na powierzchni i bez ustanku pracując mieczem, odpierał atak po ataku.

W płaszczyźnie innego bytu widać było, jak wirują i spadają błyszczące siekiery Trójjedynego, jak lecą na wszystkie strony iskry, gdy metal, nie znajdując swojej ofiary, uderzał o kamienie ulicy, jak, zręcznie uchylając się przed półksiężycami, człowiek wymachuje swoim mieczem, przypominającym jaskrawy płomień -jedyny żywy ogień w tym Królestwie Mroku.

Obojętny księżyc oblewał scenę walki swoim zimnym błękitnym światłem.

Amin na chwilę odkrył się, czego nie omieszkiał wykorzystać Conan - jego miecz ciął po wypuszczającej dym na piersi głowie potwora - i to z taką siłą, że rozległ się dźwięk, jakby pękła struna na harfie wielkoluda. Nad wzburzonym czarnym morzem pojawiły się czerwone zygzakowate błyskawice, widoczne nawet z muru miejskiego.

- Żyje - wyszeptała Minolia, do bólu w oczach wpatrująca się w ciemności nocy. - Walczy...

Aj-Berek nie słyszał dziewczyny, ale do niego też doleciał ten dźwięk. „Nie tak, barbarzyńco, nie tak! - krzyknął w myśli. - Tak go nie weźmiesz!”.

Ten okrzyk nie dotarł do Conana, ale Cymmerianin sam zrozumiał, że nawet jeśli jego broń byłaby potrójnie magiczna, nie da rady temu potomkowi demonów - Amin był zbyt silny. Ale w takim razie jak, chytry Belu, z nim walczyć?!

Jak tylko lśniący miecz odskoczył od łuskowatej mordy, nie czyniąc jej żadnej krzywdy, Conan uchylał się przed lecącymi siekierami, zanurkował pod strumień jadowitego dymu, wypuszczonego przed demoniczną paszczą, ciął mieczem po jednej z rurek, odskoczył w bok i znowu zamarł.

-182-

Trójjedyny Amin przewierał go dwoma parami nalanych krwią oczu. Otwierały się i zamykały trzy cuchnące paszczęki, kopyta wściekle ryły kamienie ulicy. Z przeciętej arterii wylewała się

purpurowa, gęsta jak melasa substancja. Stykając się z ziemią, zaczynała dymić, bulgotać i bez śladu wsiąkała w kamienie ulicy. Potwór chyba nawet nie zauważył rany.

„Niedobrze - pomyślał barbarzyńca, ciężko dysząc. Czuł, jak po plecach ściekają mu strużki potu. - Ile rurek trzeba by przeciąć, żeby ta ślicznota wreszcie się uspokoila?”

Na razie udało mu się przerząbać tylko jedną arterię, łączącą potwora z galaretą- a już czuł się zmęczony. A na jego ciele pięć nie-głębokich, ale bolesnych ran, zadanych siekierami, spływało krwią.

- Mieęęęsoo, zaraaaz uuumrzeesz! - głos brzmiał jak kamienie spadające na metal.

Nowy taniec lśniących siekier i płonącego miecza. Szybki, piękny taniec rażącej broni. Wypad, odskok, parowanie, obrona, cios - zupełnie jak wtedy, wieki temu, na zalanej słońcem arenie... tylko że teraz chodziło nie tylko o życie Amina czy Conana; na kartę postawiono losy tysięcy ludzi. Walczący zadawali ciosy bez chwili przerwy; jakby podporządkowując się rytmowi dzwoniącej stali, przesuwali się po kawałku wolnej ziemi, niegdyś będącej miej skim placem i czarna galareta rozstępowała się przed nimi, robiąc miejsce do walki nieprzejednanym wrogom.

Rysując w nocnym chłodnym powietrzu wyszukaną krzywą, siekiera Trójjedynego runęła na człowieka z boku. Conan zdążył podstawić pod nią miecz, odbić zabójczy brąz. Druga siekiera już spadała z góry. Cymmerianin podniósł miecz nad głową, parując cios... I wtedy uzbrojona w liczne krzywe zęby paszcza, stercząca z ciała potwora, wypluła strumień palącego zielonego dymu prosto w odsłoniętą pierś barbarzyńcy. Człowieka owionął smród, nie mający nazwy w naszym świecie, otuliła go wstrętne wilgotna, nieprzenikniona mgła. Napór strumienia dymu okazał się tak silny, że człowieka odrzuciło na dziesięć kroków.

Uderzenie plecami o ulicę było tak mocne, że Conanowi wbiło oddech w płuca. Na chwilę pociemniało mu w oczach. Miecz wyleciał z rozwartych palców, z brzękiem upadł gdzieś z boku. Potwór zarechotał na dwa głosy. Był coraz bliżej. Łeb z rogami ohydnie syczał. Conan spróbował wstać, ale poślizgnął się i znowu rozciągnął na ziemi. Próbował odpełznąć nieco dalej, ukryć się pod pokrywą czarnej galarety, ale ta rozstępowała się przed człowiekiem w Heł-

-183-

mie. A monstrum zbliżało się i każdy krok jego ogromnego ciała wstrząsał ziemią.

- Jeesteeē naasz, robaakuuu! Naasz! Rooozdeepczeemy cięęę...

Wtem kilkanaście kamieni ulicznych, z trzaskiem wyrwanych niewidoczną siłą ze swojego wieloletniego legowiska, wzbilo się w powietrze, zakreśliło szalonym wichrem w martwym powietrzu i spadło na Conana. Barbarzyńca próbował uchylić się przed lecącymi kamieniami, osłonić się rękami, ale i tak trzy z nich trafiły: Co-nan poczuł, jak pod uderzeniami zachręściły zębra, jeden trafił go w skroń i świat na chwilę zgasł. Nowe kamienie już wirowały w powietrzu. Potwór otoczony rojem wściekłych kamieni zatrzymał się nad leżącym na ziemi Cymmerianinem. Podniosła się siekiera, żeby przepołowić bezbronny, pokiereszowanego człowieka. Na chwilę zamarła ... i runęła w dół.

XXIII

Aj-Berek jęknął: to był pierwszy dźwięk, jaki wydał w ciągu ostatnich godzin. Czarownik doskonale widział, jak upadł człowiek, jak monstrum, ten twór Czarnych Mocy zadaje swój ostatni cios. Jeszcze chwila i człowiek zginie. I Świat Demonów zapanuje na Ziemi po wsze czasy. I wtedy zrobił to, czego surowo zabraniają wszystkie rękopisy i foliały, ostrzegające niewtajemniczonych przed drugą stroną magii praktycznej. Przez astralny kanał, łączący jego mózg z mózgiem Conana, Aj-Berek przekazał leżącemu człowiekowi całą swoją siłę, całą moc, potęgę i władzę nad siłami stworzenia.

Minolia zobaczyła, jak postać czarownika rozżarzyła się widmową zielonkawożółtą aureolą z poszarpanymi brzegami, jak skurczyło się i w mgnieniu oka poczerniało jego ciało i na zimne kamienie muru z cichym szelestem upadła leciutka, szerniała, wyschnięta mumia.

Minolia krzyknęła.

Została zupełnie sama, sama z czarną galaretą, chciwie liżącą podnóże muru.

„Pamiętaj, barbarzyńco: cztery elementy pierwotne - ziemia i ogień, woda i powietrze - leżą u podstaw naszego świata i innego bytu...” - usłyszał Conan wyraźny, spokojny głos Aj-Bereka.  
-184-

Jego ciało i umysł owionęła fala gorąca, przepelniając je niespotykaną siłą. Czując, jak wypełnia go niebywała moc, Cymmeria-nin mimo woli zakrzyczał- długo, przeciągle, wściekle... i razem z krzykiem z jego płuc wyrwał się sztormowy potok powietrza, który uderzył w powierzchnię spadającej siekiery, obrócił ją jak proporzycyk, odrzucił na bok (półksiężyc wbił się w ziemię na dwie dłonie od głowy Conana) i odepchnął potwora na kilka kroków. Trójjedyny Amin, nie spodziewający się tego, zachwiał się, próbując zachować równowagę, wypuścił siekiery, które z brzękiem upadły na ziemię, ale ustał na swoich ohydnych nogach. Wicher kamieni i ziemi opadł, kamienie z łoskotem spadły na ziemię. Znowu zawisła cisza - ale tylko na chwilę.

Krótką jak mgnienie oka przerwa pozwoliła Conanowi wstać, poszukać oczami miecza - nigdzie go nie było - i przyjął pozycję do walki na pięści, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że to nie ma sensu. Ale potęga darła go na kawałki, rwała się na zewnątrz przez wszystkie pory ciała, dając mu przekonanie, że gołymi rękami zdoła pokonać nawet tuzin Aminów.

„Ziemia i powietrze, ogień i woda... - gorączkowo tłukło się po jego mózgu. - Co to znaczy? Ziemia - królestwo Ciemnych Mocy, które żyją w jej czarnych głębinach, potwór rzucał we mnie kamieniami. .. Powietrze - to, czym oddychamy, czym żyjemy, gdzie mieszka światło i dobrzy bogowie... Odpędziłem go krzykiem... Ogień i woda... I co z tego wszystkiego wychodzi...”. Nie pozwolono mu dokończyć myśli. Potwór wydał dźwięk, w którym zmieszał się gniew, zdziwienie i ból, i nagle zapłonął jaskrawo białym, huczącym płomieniem. Na masie-skorze zamigotały niewyraźne cienie, chwiejące się w blasku tego nieludzkiego płomienia. Jeszcze chwila - i strumień ognia runął w stronę zastygłego człowieka.

Conan odskoczył, upadł, przeturlał się na bok - w samą porę: rozpalony potok przemknął obok niego, tak blisko, że osmolił mu skórę na twarzy i oslepił swoim niemilosierdnym blaskiem; ubranie zadymiało się na plecach.

„Ogień... To, co jest ślepe i pożera wszystko na swojej drodze. Broń demonów, ich żywioł... A co zostaje dla mnie? Woda, dająca życie sadom i gasząca pragnienie?... Ale skąd, na Croma wszechmogącego, miałyby się tu wziąć woda?!”.  
Nowy wybuch i jeszcze jeden ognisty wicher runął na Cymmerianina. Zwęgliła się ziemia, po której się toczył, zasyczały w bezlitosnych płomieniach krople krwi z jego licznych ran.

-185-

Znowu przerwa.

I zadowolony rechot z dwóch gardeł, i radosny syk z trzeciej paszczy.

„Jesteś naaasz, mięęęso! Neeee uuuujdziesz! Heeełm jeeest naaasz!”.

Conan patrzył tępo na krwawy ślad, który zostawiał za sobą. Krew czerniała, krzepła od nieznośnego gorąca. I wtedy do niego dotarło. Wszystko było dokładnie tak, jak na tej przeklętej arenie. Nie mogąc pokonać przeciwnika za pomocą broni, walczący zaczęli bić się gołymi rękami. Ale wtedy Conan miał przeciwko sobie człowieka, choćby tylko w połowie, ale jednak. Teraz jego przeciwnik zamienił się w bestię ze Świata Demonów. Bronią go nie pokona. Gołymi rękami też nie. Potrzebna czegoś poważniejszego...

Z trudem, powoli, chwiejąc się, Conan wstał, złożył obie ręce razem, poczekał, aż napełnią się krwią (dlaczego krew miałyby być gorsza od wody?) zaryczał - tak, jakby miał to być ostatni krzyk w jego życiu... co było niewykluczone.

Istota, której część niedawno zwano Aminem, triumfowała. Chociaż człowieczek nie był tak słaby, jak Amin sądził, chociaż umiał wytrącić siekiery z jego rąk, to nie może się z nim równać.

Istota głęboko westchnęła, za chwilę miała zadać robakowi ostatni cios. Potok rozbudzonej ziemi w ognistym wirze - przeciwko czemuś takiemu nikt nie ustoi.

Dwie siły - płomień niosący gorącą ziemię i rozpalone do białości kamienie, i strumień krwawych kropli gnany z niewyobrażalną szybkością wiatrem, który wydarł się z piersi Cymmerianina -

zetknęły się. I stało się coś takiego, jakby gardziel plującego ogniem wulkanu zalała fala przyływu, jakby naraz pół kontynentu runęło w przepaść. Słup pomarańczowego światła wzniósł się nad miastem i przeszył niebo. Rozległ się łoskot, jakby Wszechświat pękał na szwach. Ziemia zakotłosała się i Minolia na murach chwyciła za balustradę, żeby nie spaść w dół. Rozszerzonymi z przerażenia oczami patrzyła, jak gaśnie w nocy to obłąkane światło i nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy płakać, czy Cymmerianin zginął, czy zwyciężył.

Conan wstał pierwszy. Był ogłuszony, poraniony, utracił sporo krwi. Dokuśtykał do swojego miecza, podniósł go trzęsącymi się rękami. Odwrócił się do rozciągniętego na ziemi potwora.

-186-

Ten leżał dwadzieścia kroków od niego, bezsilnie wierzgał dwoma parami nóg, kręcił głowami, bezsensownie darł ziemię potwornymi rękami.

Magiczny blask oburęcznego miecza zgasł. Cała siła Aj-Bereka skumulowała się w tym ostatnim ciosie i Conan czuł, że Drugi Wzrok również gaśnie - czarna skóra przemieniała się w czarną galaretę, kontury Trójjedynego Amina rozmywały się, ciemniały, gasł również odbłysek otaczającego go światła. Trzeba się spieszyć.

Na zdrewniałych nogach Conan zbliżył się do pokonanego przeciwnika. Pięcioma uderzeniami przeciął wszystkie żywiące go arterie. Potem popatrzył w ludzką twarz potwora.

Zmętniałe oczy Amina powoli skupiły się na Cymmerianinie. Z rozchylnych warg dobiegł bulgoczący dźwięk. Wreszcie w mózgu barbarzyńcy zaszeleściło:

„Cooonnnnaannn... Zmiiiłuuuj sięęę...”.

- Trzy głowy, a taki głupi - odpowiedział ochryple popękkanymi ustami barbarzyńca.

I wbił miecz w to miejsce, gdzie, jak sądził, było serce potwora.

Ziemia zakotłosała się. Długie żalosne westchnienie przebiegło nad światem.

Conan zakłopotany rozejrzał się.

Ten sam bezdenny, wirujący opętańczo lej, który widział Drugimi Oczami w innym bycie, i do którego wessało Vagaran, pojawił się w rzeczywistym świecie. Cymmerianin poczuł, jak ziemia pod nim pochyliła się w stronę centrum kwitnącego kiedyś miasta i czarna galareta, z początku powoli, jakby niechętnie, ale z każdą chwilą coraz szybciej, podążała tam, skąd przybyła - na arenę, ku Wrotom Czasu. Trup Trójjedynego Amina zaskowyczał i szarpnął się w tamtym kierunku. Ze zgrzytem ruszyły z miejsca ogromne siekiery.

Conan zaklął. W ten sposób jeszcze i jego wessie w tę szczelinę pomiędzy Światami...

Nie zaszczyciwszy dwa razy zabitego nawet jednym spojrzeniem, naj szybciej Jak pozwalało mu poranione ciało, rzucił się w kierunku widniejących w pobliżu murów miejskich.

Zbocze leja, wiodącego do niebytu, było coraz bardziej strome i Cymmerianinowi coraz trudniej było iść po nachylonej ziemi. Czarna galareta potokiem spływała do swojego źródła, ku arenie gladiator-skiej, ale omijała biegnącego w przeciwnym kierunku człowieka - jego głowę wieńczył Hełm...

-187-

Do murów było już tylko dwadzieścia kroków... Piętnaście... Azbo-czejest coraz bardziej strome...

Chyba nie zdąży... Już ślizgając się buty po zdradziecko nachylonej ulicy, zaraz upadnie, zaraz stoczy się po niemal pionowym zboczu w przepaść, no, już niedaleko, pięć kroków, dwa...

Krzycząc coś niezrozumiałego, Conan zebrał resztkę sił i skoczył. Jego palce chwyciły za koniec zwisającej z muru liny, wczepiły się w nią, zacisnęły do bólu...

I wtedy ziemia, na której niegdyś stał Vagaran, runęła w Nicość.

Szlochając i śmiejąc się, może ze smutku, a może z radości, Minolia pomogła Cymmerianinowi przeleźć przez balustradę.

Jęcząc głucho, gdy dziewczyna za mocno objęła go za bok, barbarzyńca osunął się na ziemię i przywarł do zachwycająco twardego, zimnego muru. Ściągnął z głowy przeklęty Hełm i odrzucił go jak najdalej.

- Jesteś ranny? - zapytała przestraszona Minolia.

- Głupstwo, same zadrapania - odpowiedział z trudem Conan, nie otwierając oczu. - A gdzie Aj-Berek i Orlandar?

W odpowiedzi Minolia zaszlochła.

- Nie ma nikogo... Wszyscy umarli... Tylko ja zostałam...

- Dlaczego... A ja?

- Tak. I ty... Zwyciężyłeś?

- Co tam. Nie ma o czym mówić - raz i po krzyku.

Kręciło mu się w głowie, rany paliły ogniem, krew (ile jej tam zostało, dwa łyki, nie więcej) tętniła w uszach.

- Co jest tam, wewnątrz, za murami?

- Nic, ciemno i pusto...

- Jasne... Słuchaj, dziecko... Pośpiętrochę, dobrze?

- Oczywiście, panie Conan, oczywiście...

I Cymmerianin natychmiast zapadł w ciemność i zapomnienie. Nie czuł radości, że po raz kolejny uratował świat. Nie poczuł też, że przytuliło się do niego drobne dziewczęce ciało, rozgrzewając go swoim ciepłem, oddzielając od nocnego chłodu.

Na wschodzie zajaśniał świt nowego dnia.

XXIV

Pierwszy ocknął się Conan.

Od świtu minęło już sporo czasu, ranek ustępował miej sca upalnemu południu.

-188-

Ciało nie chciało go słuchać - mięśnie błagały, żeby zostawić je w spokoju, pozwolić jeszcze choć przez chwilę odpocząć. Przytakiwał im zgodny chór bolących ran i oparzeń: i świeżych, i dawno zagojonych, i tych, o których już zupełnie zapomniał.

Barbarzyńca z trudem wygiął szyję - żeby popatrzeć, co zostało po słynnym mieście Vagaran.

Nic po nim nie zostało. Wysoki miejski mur bez sensu otaczał gigantyczny piaszczysty lej, głęboki na pół ligi, z łagodnymi zboczami, nad którym wznosił się złoty krąg słońca.

- Było miasto - i nie ma miasta - powiedział na głos Conan i nie poznał własnego głosu -

zachrypnięty, w gardle czuł smak krwi. Splunął, popatrzył na ślinę - tak jest - krew. Echeche...

W takich przypadkach Cymmerianinowi często pomagały przekleństwa - najbardziej wulgarne, wyszukane, wykrzyczane na cały głos. Nabrał powietrza w płuca i na wydechu przejechał się po wydarzeniach ubiegłej nocy, po mieście, które dostało to, na co zasłużyło, ale któremu należały się dodatkowo szczególnie ordynarne przekleństwa, po czarownikach wszelkiej maści i rodzaju.

Ulżyło mu.

Przybysz z Północy wstał, odwrócił głowę i napotkał niezadowolone, oburzone spojrzenie obudzonej Minolii. Conan odpowiedział jej spojrzeniem, nie kryjąc niezrozumienia, ale potem nagle pojął: dziewczynę obudziły, a potem rozniewały jego przekleństwa.

Nie przywykła do takich wyrażen w swoim zakonie, i nieważne, że obok jest lej po mieście, a świat został cudem uratowany przez niego, barbarzyńcę. Teraz Conan jest tym złym i złościć trzeba się na niego.

Cymmerianin nie mógł ustać na nogach. Trzęsło go ze śmiechu. Wraz ze śmiechem wychodził z

niego strach przeżytej nocy, resztką bólu ran, zmęczenie. Chichotał coraz głośniejsze i nie był w stanie przestać. Nie widział nic wokół siebie. Nawet nie zauważył, jak znowu osunął się na ciepłe kamienie, wstrząsany falami śmiechu. Łzy zasłoniły mu oczy. Trzymając się za brzuch,

Cymmerianin przewrócił się na bok.

Początkowo Minolia patrzyła na zbawcę świata ze zdziwieniem, potem ze złością, potem z urazą...

ale w końcu też nie wytrzymała, zarażona jego śmiechem, domyśliwszy się, czym jest on

spowodowany. Śmiechem odcięli się od minionej nocy, pozostawili ją w dalekiej Przeszłości.

Wrócili do nowego życia.

I obudzili Fagnira.

-189-

Rozklejając oczy, nie rozumiejąc - kto? dlaczego? gdzie? po co? - oficjalista otworzył usta, z których spłynęło pytanie:

- Machar jeszcze nie wrócił? ...

Conan turlał się po pylistych kamieniach, wstrząsany nowym atakiem śmiechu. Minolia stuknęła głową o kolana, jej ramiona kon-wulsyjnie drgały.

- Co z wami? - dźwięczał nad nimi rozdrażniony, przepity głos. - A gdzie Vagaran? Gdzieście mnie zaciągnęli?

A potem gniewnie:

- Przestańcie wreszcie rzeć! I bez tego łeb mi pęka! Oj, jak boli... Ale zem się wczoraj załatwił... Nic nie pamiętam... jakieś mordy z trąbami mi się całą noc zwidywały... przestańcie rzeć, mówię wam!

I wreszcie, błagalnie:

- Słuchajcie, a nie znalazłby się kubeczek wina?... no, chociaż łyczek, co?...

.. .Gdy zejda ze wzgórza, przestana widziec to, co kiedyś bylo Vagaranem. I nie umawiajac sie, trojka wędrowców zatrzymała się, żeby chwilę odpocząć. Z tyłu był milczący, niczego nie otaczający mur, grób, w którym pochowali maga Aj-Bereka i Mistrza Orlanda-ra - dwóch nieszczęśliwych, zbłąkanych starców. A przed nimi... Kto wie, co ich czeka?

- Stąd jest jakieś pięć lig do najbliższej ludzkiej osady - oznajmił Fagnir. - Mam nadzieję, że ze wsią nic się nie stało. Że przynajmniej im wino nie wyschło... Ale żeby tak całe miasto rozwalić!...

- Trzymaj - Conan rzucił pod nogi byłemu oficjaliście beużyteczny teraz i na wieki wieków Hełm. - Jest twój. Możesz go przepić.

Fagnir zamyślił się, potem na jego twarzy pojawił się chytry, szczerbaty uśmiech.

- Nieee. Zostawię sobie na pamiątkę Vagaranu i służby u Ma-chara... i jego piwnicy - podniósł brązowy wyrób starożytnych mistrzów. - Jak go komu pokażę - nie uwierzą. A, do licha z nimi... dziękuję, panie szczodry gladiatorze.

- Conan, co zamierzasz robić potem? - zapytała po cichu Minolia, nie patrząc na barbarzyńcę. Ten wzruszył ramionami i się uśmiechnął.

- No... Pewnie wrócę do Shemu, odszukam księcia Barucha, u którego byłem najemnikiem i zażądam zapłaty - przecież, jakkol-

-190-

wiek by było, spełniłem jego rozkaz. Można powiedziec, że sam jeden starłem miasto z lica ziemi...

- Weźmiesz... weźmiesz mnie ze sobą?

- Oczywiście, dziecino. Odpoczniemy we wsi i ruszymy.

- Nie mam już nikogo ani niczego - zaszlochała Minolia. - Brat zginął. Zakonu nie ma. To, czym żyliśmy... - zamilkła, bliska łez.

- Wszystko będzie dobrze - Conan podniósł się z ziemi i wyciągnął do niej rękę. - Chodźmy. Uwierz mi, Minolio, teraz już wszystko będzie wspaniale.

-191-